ROZMOWA „DO RZECZY”

Polska stała się państwem bezprawia – mówi Marcin Romanowski

Kim pan jest, panie Morawiecki? – pyta Warzecha

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 2/611 7–12 STYCZNIA 2025

CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NIE MA CZEGOŚ TAKIEGO JAK „POLSKI ANTYSEMITYZM” – TWIERDZI TOMASZ PANFIL, PROFESOR KUL

Wymiar (nie)sprawiedliwości w służbie stanu wojennego

KIESZONKOWY DYKTATOR W AKCJI

Czym się skończy „przejściowy stan wyjątkowy” Tuska

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 02 >

Nakład: 46 500 egzemplarzy

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

STANISŁAW STABRYŁA: ZNAK, KTÓREMU SPRZECIWIAĆ SIĘ BĘDĄ

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~560~~ ZŁ

272,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 288ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl fce8bbc297

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kto czego nie chce słyszeć

Jak można było z góry przewidzieć, ustalenia prokuratury na temat katastrofy w Smoleńsku nie wywołały w Polsce wstrząsu. Co nie zmienia faktu, że są one ważne.

Tak, wiem, że to gorzka pigułka dla wszystkich przekonanych do teorii zamachowej, ale badania w trzech różnych laboratoriach wykluczyły scenariusz, który mówił o wybuchu na pokładzie prezydenckiego Tu-154M 10 kwietnia 2010 r. pod Smoleńskiem. Co więcej, wątek dotyczący materiałów wybuchowych, które miały znajdować się na wraku, umorzyli śledczy powołani przez Zbigniewa Ziobrę.

Na czele tej grupy stał pierwotnie śp. prokurator Marek Pasionek, po jego śmierci zaś Krzysztof Schwartz, szef powołanego w czasach PiS Zespołu Śledczego nr 1 do wyjaśnienia katastrofy smoleńskiej. Trzy tygodnie temu sam Schwartz tak mówił o ustaleniach śledztwa w „Gazecie Wyborczej": „Znaleźliśmy trzy renomowane laboratoria: w Irlandii Północnej, w Wielkiej Brytanii i we Włoszech – laboratorium tamtejszych karabinierów. Laboratoria, których eksperci mają doświadczenie w badaniu tak dużych ilości śladów fizykochemicznych z miejsc wybuchów". Prokurator w rozmowie dodał, że „ślady materiałów wybuchowych na fragmentach samolotu bądź wyposażenia są w niewielkich ilościach, wyrażonych w nanogramach". Ostateczny wniosek: „Nasi biegli z zakresu medycyny sądowej stwierdzili, że w żadnym przypadku nie wskazano na obecność jakichkolwiek obrażeń lub innych cech, których charakter stanowiłby podstawę uprawdopodobnienia hipotezy gwałtownego wyzwolenia energii o charakterze eksplozji materiałów wybuchowych lub łatwopalnych".

Teoretycznie te ustalenia powinny zamknąć dyskusję na temat zamachu bombowego. Przecież nie sposób uznać, że trzy osobne laboratoria w trzech krajach zachodnich, pracujące niezależnie od siebie, mogłyby się tak pomylić. Podobnie nie sposób uznać, że w pewnym momencie zespół prokuratorów powołany za czasów PiS i podległy ogólnie prokuratorowi generalnemu Zbigniewowi Ziobrze oraz prokuratorowi krajowemu Bogdanowi Święczkowskiemu został zinfiltrowany przez wrogie siły i dlatego teraz postanowił wykluczyć wybuch, a co za tym idzie – zamach.

Dodatkowo na rzecz wiarygodności ustaleń prokuratury świadczą inne wypowiedzi prokuratora, które z kolei nie spodobają się furiatom antypisowskim. Po pierwsze, w ciągu ośmiu lat rządów PiS, wbrew nachalnej propagandzie PO i jej akolitów, wszechmocny Komendant i Naczelnik nie wywierał na śledczych żadnych nacisków! Prokurator Schwartz mówi, że Jarosław Kaczyński kontaktował się z zespołem prokuratorskim tak jak każda inna osoba z grona pokrzywdzonych, a mianowicie za pośrednictwem przedstawiciela prawnego. Schwartz wskazuje także, że nigdy nie rozmawiał z nim o sprawie minister Zbigniew Ziobro. Podobnie nie było żadnej presji ze strony ówczesnego prokuratora Święczkowskiego. I jeszcze jedno: nie istnieje nawet cień dowodu na istnienie stenogramu rzekomej rozmowy braci Kaczyńskich, w której to, według antypisowskich hejterów, Jarosław miał namawiać brata do lądowania za wszelką cenę. Krótko: mimo że dla PiS kwestia smoleńska była tak ważna, prokuratura mogła badać sprawę zgodnie z regułami sztuki.

Czy te ustalenia kończą dyskusję? Nie jestem aż tak naiwny, by w to uwierzyć. Powodów jest kilka. Pierwszy: żadne z plemion nie może ustąpić. Zbyt wielu zainwestowało zbyt wiele wcześniej, żeby teraz wycofać się bez utraty twarzy. Ci, którzy wierzą w „morderstwo dokonane na prezydencie" oraz opowiadają o poległych pod Smoleńskiem, nie mogą ot teraz po prostu przyznać, że się mylili. Podobnie nie mogą przyznać się do błędu fani opowieści o spisku braci Kaczyńskich czy wyznawcy teorii o diabolicznej mocy ministra Ziobry.

Po drugie, przyjęciu ustaleń zespołu Schwartza nie sprzyjają ani czas, ani sposób komunikacji prokuratury. Szkoda choćby, że informacji o tym, iż żadne z laboratoriów zachodnich nie stwierdziło wybuchu, nie można było podać podczas rządów PiS. Rozumiem, że prokuratorzy byli w trudnej sytuacji, skoro ich podstawowe ustalenie kłóciło się z narracją rządzącej partii, tak mocno opartej na mitologii zamachowej. Jednak dla interesu państwa byłoby znacznie lepiej, gdyby swoje ustalenia zespół prokuratorów nr 1 przedstawił publicznie przed październikiem 2023 r.

Tak samo nie wiem, dlaczego prokurator, zamiast przedstawić kluczowe tezy na konferencji prasowej, komunikuje się z opinią publiczną za pośrednictwem „GW", która jest przecież uczestnikiem walki politycznej. W oczywisty sposób ogranicza to wiarygodność jego przekazu.

Z jednej strony od czasu katastrofy smoleńskiej minęło tyle czasu, że odkrycie jej przyczyn nie ma wielkiego wpływu na obecne sympatie polityczne. Jednak jest druga strona medalu. Jeśli jest tak, że w dużej mierze polityka wschodnia PiS oparta była na przeświadczeniu, iż w kwietniu 2010 r. zamachu na polskiego prezydenta dokonał prezydent Rosji, to odrzucenie tej hipotezy dzięki ustaleniom prokuratury mogłoby wzmocnić podejście realistyczne i pragmatyczne, którego w Polsce zawsze brakowało. ©℗

eprasa.pl fce8bbc297

TEMAT TYGODNIA

14 PIOTR SEMKA
STAWKA ROKU 2025: PRZEJŚCIOWY PRAWNY STAN WYJĄTKOWY
Kieszonkowy dyktator w akcji

18 MIKOŁAJ DROZDOWICZ
PAŃSTWO BEZPRAWIA, CZYLI DEMOKRACJA WALCZĄCA NA PEŁNEJ PETARDZIE

22 MARIUSZ MUSZYŃSKI
TAK ZACZYNA SIĘ KAŻDA DYKTATURA

KRAJ

24 ROZMOWA Z MARCINEM ROMANOWSKIM
CZERWONA KARTKA DLA REŻIMU TUSKA
Polska stała się państwem bezprawia

27 ŁUKASZ WARZECHA
KIM PAN JEST, PANIE MORAWIECKI?

30 ROZMOWA Z DR. ARTUREM BARTOSZEWICZEM
NOWY KOŚCIUSZKO POTRZEBNY OD ZARAZ

33 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
OŚMIORNICZKI 2, CZYLI STRACHY I FRUSTRACJE ELITY

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
BABCIA PRZY TABLICY

38 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
NA SZCZYCIE ZŁOTEJ

KULTURA

40 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
RESORT „GROŹBY BEZPRAWNEJ"
Awantura o PISF

42 PIOTR GOCIEK
W DOMU NIEWOLI

45 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BARDOWIE – TADEUSZ SIKORA

NIE PRZEGAP

54 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, GRA

OPINIE

50 ROZMOWA Z TOMASZEM PANFILEM
NIE MA CZEGOŚ TAKIEGO JAK „POLSKI ANTYSEMITYZM"
W średniowieczu Żydów bronił Kościół

53 ROBERT BOGDAŃSKI
TRZECIA ERA NUKLEARNA?

56 PAWEŁ CHMIELEWSKI
DEMOKRATYCZNA MSZA ŚWIĘTA

HISTORIA

58 GRZEGORZ MAJCHRZAK
WYMIAR (NIE)SPRAWIEDLIWOŚCI W SŁUŻBIE STANU WOJENNEGO
Stłumienie karnawału Solidarności

ŚWIAT

64 TERESA STYLIŃSKA
NA DRODZE DO DAMASZKU
Turcja wielkim zwycięzcą

68 PIOTR WŁOCZYK
WŁADCA PIERŚCIENIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
JIMMY CARTER – PLANTATOR Z MISJĄ

EKONOMIA

72 JAKUB WOZINSKI
PLAGA OPUSZCZONYCH DOMÓW
Fatalne skutki depopulacji

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (62), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl fce8bbc297

TYGODNIK POLSKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Radek Pietruszka/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Woke znaczy obudzić

Szanowni Państwo,
w książce „W drodze na molo w Wigan" George Orwell niemal 100 lat temu pisze, że brodaci faceci w sandałach i flanelowych koszulach na wegetariańskiej diecie doprowadzą do upadku zachodnią kulturę. Jak zwykle jego słowa okazały się prorocze.

Do znanych ekscesów dzieci kwiatów dołączyła jakiś czas temu ideologia woke. Jak sama nazwa wskazuje, ma budzić – i faktycznie budzi – zwłaszcza nieczyste myśli. Niemal każdy film czy serial podszyty jest niezdrowym erotyzmem. Nie sposób już patrzeć na ojca całującego dziecko, by nie pomyśleć o molestowaniu seksualnym. Każdy dorosły życzliwy wobec dziecka z miejsca podejrzewany jest o pedofilię. Widząc serdeczną przyjaźń dwóch mężczyzn lub kobiet, natychmiast myślimy: Aha, homoseksualiści.

Wygląda na to, że nawet „liberałowie" zdają sobie sprawę, jakiego potwora obudzili. I na stworzony przez siebie problem wymyślili remedium, czyli „edukację przyjemności seksualnej". Jesteśmy uratowani. Hura!

Z poważaniem
Ewa Kowynia

„Złowrogi! Na ekranie i w życiu", Jan Pospieszalski, „DRz" nr 51/2024

Jakiś czas temu opublikowaliście felieton Jana Pospieszalskiego, w którym pan redaktor pisał o filmie „Złowrogi", a także o rozmowie wokół tego filmu z ks. Mateuszem Szerszeniem, którą opublikował na swoim kanale YouTube. Felieton zachęcił mnie do obejrzenia rozmowy, a rozmowa do pójścia do kina.

Przypomnę tu szybko, że „Złowrogi" to film, który w przeważającej części jest dialogiem między opętanym mordercą skazanym na śmierć a psychiatrą, który ma ocenić jego poczytalność i tym samym przesądzić, czy mężczyzna zostanie skazany na śmierć. Wybrałem się do kina ze znajomymi, którym niekoniecznie blisko do Boga. Zależało mi na poznaniu ich reakcji. Byli poruszeni. Podobnie jak wiele osób, które opuszczając salę kinową (prawie pełną), rozmawiali o swoich wrażeniach. Takich filmów nam trzeba. Bardzo dziękuję za tę rekomendację i gorąco polecam film „Złowrogi"!

Mariusz Wikło

eprasa.pl fce8bbc297

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ciekawy eksperyment

Powiedzieć, że relacje między papieżem Franciszkiem a Kościołem katolickim w USA są skomplikowane, to nic nie powiedzieć. Dla wychowanego w Ameryce Południowej pontifexa Stany Zjednoczone zawsze były państwem, do którego podchodził z dużym dystansem. Jak dotąd odwiedził ten stosunkowo ważny dla Kościoła kraj tylko raz, w 2015 r., czyli dekadę temu. Głośne były też zdecydowane kroki, które papież podejmował przeciwko swoim konserwatywnym polemistom za wielką wodą. Za krytykę papieża zawieszony został biskup diecezji Tyler w Teksasie – Joseph Strickland. Potem głośny był spór Franciszka z kard. Raymondem Burkiem, któremu karnie odebrano subsydiowane mieszkanie w Rzymie i pensję w instytucjach watykańskich.

Z kolei wielu katolików amerykańskich było wzburzonych, gdy z żadną negatywną reakcją Rzymu nie spotkał się występ kard. Blase'a Cupicha na konwencji Partii Demokratycznej w 2024 r. Kardynał Cupich nie odniósł się do formułowanego na konwencji żądania legalizacji aborcji na życzenie do dziewiątego miesiąca ciąży czy rozszerzenia agendy genderowej na kolejne obszary życia społecznego.

We wrześniu zeszłego roku papież zapytany o stosunek do dwóch głównych kandydatów prezydenckich – Donalda Trumpa i Kamali Harris – odpowiedział: „Musisz wybrać mniejsze zło. Kto nim jest? Ta pani czy ten pan? Nie wiem. Każdy w swoim sumieniu musi odpowiedzieć". Z wypowiedzi papieża wynikało, że uważa Harris i Trumpa za to samo zło.

Amerykańscy katolicy nie podzielili tej opinii. W większości poparli kandydata republikanów. Teraz Trump dziękuje za to poparcie. Nowym ambasadorem USA w Watykanie będzie Brian Burch. To właśnie on stworzył grupę Catholic Vote, która lobbowała za Trumpem w kampanii 2016 r. i w tej zeszłorocznej. Burch wyjaśniał wtedy na swoim portalu, że misją jego ruchu jest „inspirowanie każdego katolika w Ameryce, by realizował w życiu publicznym prawdy naszej wiary". W czasie kampanii Trumpa katolicy zrzeszeni w Catholic Vote zebrali 20 mln dol.

Nowy ambasador przybiera bardzo pojednawczy ton. Na platformie X pisze: „Kościół katolicki jest największą i najważniejszą instytucją religijną w świecie i jej relacje z USA mają fundamentalne znaczenie. Zamierzam współpracować z przywódcami w Watykanie i nową administracją prezydenta Trumpa na rzecz obrony godności wszystkich ludzi i wspólnego dobra".

W dziejach Stolicy Apostolskiej dość częste były sytuacje, gdy zachodnie kraje mianowały ambasadorami w Watykanie katolików o wyraźnie liberalnych poglądach. Szczególnie częste było to za rządów Jana Pawła II. Teraz będziemy mieli do czynienia z nową sytuacją. Przedstawicielem supermocarstwa będzie świecki katolik, który reprezentuje tych wierzących, którzy do części postanowień pontyfikatu Franciszka mają sceptyczny stosunek. Pytanie, czy Franciszek wykorzysta to do dialogu czy też wybierze konfrontację. Warto uważnie przyglądać się misji Briana Burcha w Wiecznym Mieście. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

DROŻSZA PODRÓŻ NAD MORZE

Od 1 stycznia 2025 r. kierowcy samochodów osobowych i motocykli znów muszą płacić za przejazd na popularnym odcinku autostrady A1 między Toruniem i Trójmiastem. Przejazd 152-kilometrowym odcinkiem kosztuje 29,90 zł (stawka netto dla aut osobowych i motocykli to 0,16 zł za 1 km). Wcześniej, od lipca 2023 r., za przejazdy osobówek i motocykli płacił rząd z budżetu państwa. Tylko w 2024 r. podatnicy wydali na ten cel 248 mln zł. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl fce8bbc297

Adam Bielan poleciał za ocean z delikatną misją zdobycia zaproszenia dla Karola Nawrockiego na inaugurację prezydentury Donalda Trumpa. Wynik misji jest jeszcze nieznany, choć wiadomo, że pewien sukces jest. A mianowicie jest nieformalna zgoda, by w inauguracji Dobrego Donalda z Waszyngtonu wziął udział Mateusz Morawiecki. Naszym zdaniem wystarczy. Już to jedno zaproszenie bez wątpienia uruchomi słynną frazę „Donald się wściekł". Chodzi o polskiego Donalda, Złego. Z Sopotu.

Inna sprawa, że zawistnicy z prawicy (wiecie sami, jest ich pełno) przypominają, iż Morawiecki na inauguracji Trumpa będzie nie jako Morawiecki ani nie jako były premier, ani nawet nie jako dumny Polak z Polski, lecz po prostu jako szef Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. I gdyby był nim akurat ktoś inny, kto ma całkiem inne nazwisko, to też by pojechał. Nie wierzcie tym ludziom. To nie ludzie, to wilki.

Na prawicy żartują sobie też, że nasz rodzimy Donald, czyli Zły z Sopotu, sam odrzucił zaproszenie do Waszyngtonu, i to już przed laty, wygłaszając słynną frazę: „Jeden Donald wystarczy". Jak tak, to tak. W każdym razie nikt go nie oczekuje.

Jeszcze à propos Morawieckiego i zawistników z jego własnego obozu. Sprawdzili oni byli, że były premier na swoją obecność w społecznościówkach wydał prawie dwa razy więcej niż całe ugrupowanie. No cóż, na biednego nie trafiło. Warto jednak pamiętać, że Mateusz na kutwę nie wygląda. Wszak zasila partię matkę kwotami znacznie większymi niż jej inni politycy. No, może z wyjątkiem Obajtka.

Pamiętacie może, jak informowaliśmy niedawno o wybuchu miłości Marka Brzezinskiego do Polski? Gubernator ambasador po zakończeniu misji chce pozostać nad Wisłą i nawet dostać obywatelstwo. Złe języki mówią, że Mark ma jeszcze jeden, prócz miłości, powód, by nie wracać do USA. Otóż trumpowcy szykują tam komisję śledczą, która ma sprawdzić, jak za czasów Bidena niesłusznie prześladowano trumpowców. Oraz działano na szkodę interesu USA, propagując różne głupoty i niewłaściwie ingerując w politykę innych krajów. Tak, Mark ma być jednym z wzywanych przed ową komisję.

Skoro już tyle o Ameryce, to musimy wyznać, że nawet w decyzji PKW, żeby jednak odblokować piniondze dla PiS poprzez przyjęcie sprawozdania jego finansowego, pojawia się amerykański trop. Otóż Amerykanie Trumpa są podobno przeczuleni na punkcie tępienia swoich ideowych sojuszników poprzez ingerencję w proces demokratyczny. A odbieranie prawem kaduka pieniędzy partii Make Polska Great Again, tzn., pardon, Prawo i Sprawiedliwość, pod taką ingerencję podchodzi. Podobnie jak zamykanie w więzieniach jej polityków. Takie numery mogą się nawet skończyć sankcjami. Pożyjemy, zobaczymy.

Tymczasem 29 stycznia w Brukseli odbędzie się ciekawa impreza. Megaciekawa impreza. A dokładnie impreza MEGA. Skrót rozszyfrowuje się jako Make Europe Great Again. Całkiem zgrabny, udany skrót. Wśród organizatorów są m.in. Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy. Przemawiać mają m.in. pani Meloni i pan Mateusz, a także np. prezydent Serbii, Aleksandar Vučić.

Niewiele brakowało, a MEGA impreza byłaby jeszcze bardziej światowa, bo pojawił się był pomysł zaproszenia prezydenta Turcji, Erdoğana. Inicjatywę storpedowali jednak Włosi.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

A szkoda. Dobry Donald Z Waszyngtonu ociepla bowiem relacje z Turcją, a coś nam mówi, że należało będzie bardzo dokładnie zwracać uwagę na posunięcia Dobrego Donalda.

Skoro o sprawach zagranicznych. Jest Radek w MSZ – jest ruch w nieruchomościach. Za poprzedniej kadencji Sknerusa zlikwidowano kilka placówek i upłynniono ich majątek. My wtedy najbardziej żałowaliśmy konsulatu w Kolonii, który za komuny był ambasadą w Niemczech Zachodnich. Obecnie trwają przygotowania do upłynnienia ambasady w Waszyngtonie. No bo czemu nie?

Nowa ambasada Polski w USA ma się mieścić w gmachu, który należy do Uniwersytetu Hopkinsa. Gmach jest od kilku lat nieużywany i będzie wymagał poważnego remontu. Złe języki zwracają uwagę, że zapewne dziełem przypadku jest to, że to na tym uniwersytecie pracuje żona Radka. Obliczono też, że nowy gmach ma mieć taką powierzchnię, że na jednego pracownika będzie przypadać ponad 300 mkw. Na bogato.

Jest jeszcze jedna wiadomość deweloperska z USA. Otóż obok ambasady ma powstać także rezydencja ambasadora. Jest tylko jeden problem. W 2013 r. kupiono już bowiem okazałą rezydencję dla ambasadora, którym wówczas był Schnepf. Kosztowała 10 mln zielonych, a na jej remont i adaptację wydano prawie drugie tyle. Cóż. Kto bogatemu zabroni?

À propos ambasadorów – wciąż czekamy na nowego amerykańskiego w Polsce. Słyszeliśmy, że ma mieć przeszłość w CIA. Czy Dobry Donald z Waszyngtonu da radę uczynić Ameryka and Ambasador Great Again? Przekonamy się na święta 2025 r. Bo przed świętami 2024 r. dostaliśmy z ambasady amerykańskiej w Polsce życzenia po staremu: „Holiday Greetings". Z ohydną świecką chatką w świeckim lesie i świeckim śniegu. A chcielibyśmy jednak otrzymywać „Merry Christmas" lub „Joy To The World, Jesus Christ Is Born", no i koniecznie z widoczkiem stajenki w Betlejem. ©℗

eprasa.pl fce8bbc297

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Elon Bezczelny

Gdy moja śp. babcia chciała powiedzieć o kimś, że jest nie tak zwyczajnie hipokrytą, ale hipokrytą wyjątkowym, gargantuicznym, używała określenia „krzyżacka obłuda". W dzieciństwie wydawało mi się, że to zrozumiałe w jej pokoleniu uprzedzenie do Niemców; później wiele razy przekonałem się jednak, że nacja ta faktycznie jest wyjątkowo skłonna do stosowania podwójnych standardów wobec siebie i innych. Jednym z wielu dowodów jest oburzenie, które właśnie wybuchło w Niemczech po artykule Elona Muska, znanego biznesmena i bliskiego współpracownika Donalda Trumpa.

Owoż napisał Musk, że jego zdaniem jedyną partią w Niemczech, która ma cokolwiek do zaproponowania w takich kwestiach, jak gospodarka, migracja i bezpieczeństwo, jest AfD i tylko ona może uratować Niemcy przed upadkiem. Słowa Muska spotkały się nie z polemiką, lecz z histerią oburzenia. Typowany na przyszłego kanclerza lider CDU, Friedrich Merz, zaniósł się, że artykuł Muska to „niedopuszczalna, zewnętrzna ingerencja" w niemieckie wybory. Jego zdanie podzieliło wiele osób znanych w niemieckim życiu publicznym, a szefowa działu opinii gazety, która gościnnie artykuł amerykańskiego milionera zamieściła, demonstracyjnie rzuciła dymisją. Kto wie, czy jeśli AfD w lutym wygra, to ta „bezprawna zagraniczna ingerencja" nie stanie się, mocą precedensu rumuńskiego, formalną podstawą wniosku o unieważnienie wyborów…

Wszystko to w kraju, którego elity z właściwą swej nacji butą i arogancją narzucały „właściwych" ze swego punktu widzenia kandydatów innym krajom – Polska jest tylko jednym z wielu – nie tylko przez natrętne pouczanie, uprawiane nawet nie przez ludzi o pozycji porównywalnej z Muskiem, lecz także przez byle korespondentów niemieckiej prasy, a także przez bezprawne obcinanie europejskich funduszy, nękanie mniejszych krajów unijnych eurodyrektywami, wstrzymywanie wspólnych przedsięwzięć do czasu, aż „zmądrzeją" etc. Doprawdy nic lepiej nie pokazuje, że wiara w wyższość Niemców nad „untermenszami" ma się świetnie. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Nowe dwójmyślenie

Wiesław Chrzanowski opowiadał, jak w czasach gomułkowskich pewien szwajcarski dziennikarz wyznał mu, że Polska to chyba jedyny kraj w „bloku wschodnim", gdzie ludzie wstydzą się przyznać, że należą do… partii, która rządzi. Tak właśnie wyglądało klasyczne orwellowskie dwójmyślenie. Poddający się mu ludzie musieli udawać, że wierzą w to, co prywatnie uznawali za zło. Byli świadomi, że ulegają przymusowi, przeżywali rozterki i nierzadko cierpieli z tego powodu. Nie usprawiedliwiam, nie tłumaczę, stwierdzam jedynie, że tak często było.

Dziś, w świecie demokratycznej propagandy, pojawiło się nowe dwójmyślenie. Jego objawem nie jest cierpienie czy wstyd, ale entuzjazm i euforia. Aktywiści czy zwolennicy walczących o władzę partii są zachwyceni, że ich liderzy opinię publiczną nabierają, np. deklamując o pogodzeniu Polaków. Są zachwyceni, że ich ulubieńcy robią to tak sprawnie, tak przekonująco, bo i sami są przekonani, że inaczej polityki uprawiać nie można. I cieszą się, że to ich liderzy potrafią lepiej od innych bałamucić wyborców.

To nowe dwójmyślenie ma jednak pewien aspekt komiczny. Praktykujący je ludzie, wierząc, że wszystko jest tylko propagandą, nie biorą pod uwagę, że ich liderzy czasami mówią po prostu to… co myślą. I że to nie ogół wyborców, ale oni sami są po prostu naiwni.

Kiedy zwolennicy radykalnej centroprawicy słyszą, że „być w Europie to znaczy być w Unii Europejskiej, nie ma innego sposobu", a „ci, którzy twierdzą inaczej" są „politycznymi awanturnikami i szkodnikami", że „chcemy Polski takiej jak Unia Europejska", bo „w sprawach wartości nic nas nie różni" – myślą najczęściej, że to tylko pusta, choć sprawna, konieczna retoryka „no bo przecież dziś tak mówić trzeba". W głowie im się nie mieści, że często to nie żadna retoryka i że ich przywódcy po prostu tak myślą, a przynajmniej – nie są w stanie myśleć inaczej. ©℗

eprasa.pl fce8bbc297

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

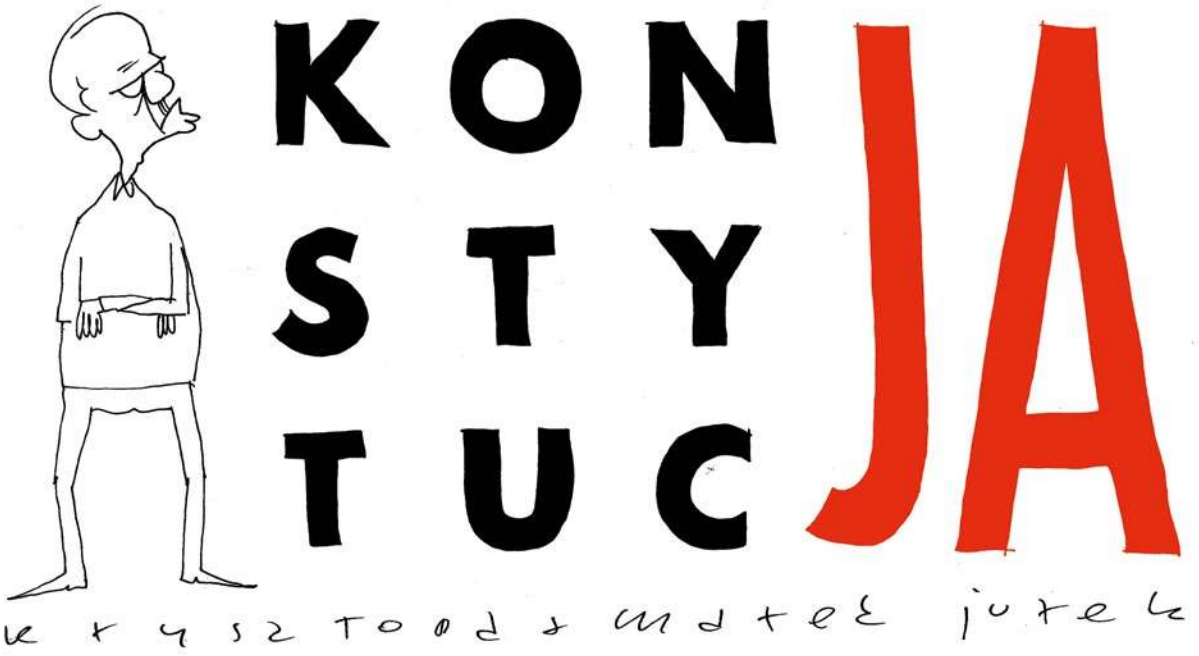

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O brodaczach i szajbolewicy

13 grudnia na mediolańskim lotnisku Malpensa na podstawie amerykańskiego listu gończego aresztowany został Irańczyk Mohammad Abedini. Sąd w Bostonie oskarżył go o terroryzm. Jest podejrzany o dostarczanie Iranowi technologii wojskowej i zaawansowanych gadżetów służących do konstrukcji dronów, które potem trafiają na Bliski Wschód. Ponoć za sprawą jego usług w Libanie zginęli amerykańscy żołnierze.

Trzy dni potem w hotelu w Teheranie aresztowana została 29-letnia Cecilia Sala, reporterka dziennika „Foglio" i firmy podcastowej Chora Media. Posiadała irańską wizę dziennikarską. Nie przedstawiono jej żadnych zarzutów. Zanim połączono oba aresztowania, minęło sporo czasu. Niemniej jednak wydaje się pewne, że obskurny irański reżim porwał kobietę, by ją potem wymienić na swojego agenta. Sprawa jest złożona. Z jednej strony włoskie zobowiązania wobec amerykańskiego sojusznika, z drugiej okrutny islamski reżim, z trzeciej włoska opinia publiczna, a z czwartej włoska opozycja, która stara się tę ponurą sytuację wykorzystać politycznie.

Za kulisami toczą się trudne negocjacje włosko-irańskie. Premier Giorgia Meloni i szef włoskiej dyplomacji Antonio Tajani prosili media i polityków o ostrożność i wstrzemięźliwość. Na próżno. Opozycja żąda, aby minister Tajani złożył wyjaśnienia w senacie. W Turynie zorganizowano protest, ale nie przed irańskim konsulatem, a przed kwesturą, czyli przedstawicielstwem rządu, bo zdaniem szajbolewicy rząd działa opieszale, nie ostrzegł Włochów przed podróżami do Iranu, a na dodatek chodzi na smyczy winnych wszystkiemu imperialistów amerykańskich.

Nad problemem pochylił się Gabriele Rubini, były ambasador Amnesty International w Italii, a teraz dość obrzydliwa osobistość medialna. Napisał na X: „Niech żyje Iran i wszyscy opierający się imperialistom. Syjonistkom i żydowskim agentkom z predylekcją do podróży nie należy współczuć. Trzeba je skazać. Syjonizm jest złem tego świata". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl fce8bbc297

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

DLA ZWYKLAKÓW

Modelka Karolina Pisarek założyła własną markę modową. Wraz ze wspólnikiem i partnerem biznesowym stworzyli linię ubrań premium. Kroje są proste, wyraziste, materiały najwyższej jakości, a właściciele przekonują, że moda ma mieć wymiar nie tylko wizualny, lecz także praktyczny. Dodatkowo mają to być ubrania na przeciętną kieszeń. – Na pewno nie chcę, żeby te ubrania były przesadzone cenowo, bo nie na tym mi zależy. Chciałabym, żeby każda z dziewczyn dotknęła tego i zobaczyła, że to jest naprawdę wysoka jakość w przystępnej cenie. Nie możemy mówić tutaj o najniższej półce cenowej, dlatego że sam koszt produkcji już jest bardzo wysoki – tłumaczyła Pisarek. No cóż, skoro o przesadzie cenowej mowa… Ceny ubrań zaczynają się od 350 zł, ale za takie „drobne" kupimy tylko T-shirt – i to nie zwykły, ale crop top. Koszulka normalna, czyli zakrywająca brzuch, kosztuje już 450 zł. Im dalej w kolekcję modelki, tym drożej. Najtańsze spodnie, dresowe, to wydatek 690 zł.

Jeśli ktoś wybiera się dalej niż na spacer z psem, to za ubrania nowej marki musiałby dać grube tysiące (5,5 tys. zł za skórzaną kurtkę). Co zabawne, influencerka próbuje przekonać świat, że to marka dla „zwyklaków", dziewczyn z sąsiedztwa. – Ja też patrzę na Karolinę, która zaczynała swoją karierę 10 lat temu, która marzyła o tym, żeby mieć wysokiej jakości rzeczy, a nie oszukujmy się – najgłośniejsi designerzy i marki międzynarodowe są bardzo drogie. Nie każdą osobę na to stać. Chciałabym, żeby każda z dziewczyn mogła mieć taką jakość w atrakcyjniejszej cenie – stwierdza Pisarek. Modelka zaczynała karierę w programie „Top Model" stacji TVN faktycznie jako zwykła dziewczyna. Jak to się można szybko odkleić od ziemi.

FOT. ALIAKSANDR VALODZIN/EAST NEWS

CIĄŻA WIDMO

Posłanka PiS Dominika Chorosińska zaliczyła tak niezręczną wtopę, że aż jej trochę żal. Chociaż może nie, bo przecież wiedziała, co pisze. Parlamentarzystka opublikowała w swoich mediach społecznościowych zdjęcie byłej gwiazdy TVP Idy Nowakowskiej z synkiem na rękach, które podpisała: „Ida Nowakowska ogłosiła kolejną ciążę. Gratulacje". Sęk w tym, że prezenterka niczego takiego nie ogłaszała. Nie dziwi więc jej oburzenie, któremu dała upust w jednym z wywiadów. – Już mnie wielokrotnie uśmiercano, bez przerwy są publikowane fałszywe wiadomości o mojej rodzinie. Byłam też w ekstremalnych sytuacjach na wygenerowanych zdjęciach, a teraz po sieci krąży kolejny fake news o mojej ciąży. Pytanie: Czego nowego dowiem się o sobie jutro? – zastanawiała się Nowakowska. Tancerka podkreśla, że ma dość fake newsów na swój temat. – Przerażające dla mnie jest to, że teraz częściej dziennikarze zostają zastępowani przez oszustów, którzy produkują fake newsy. Jeśli mam pytanie do kogoś, to kontaktuję się z nim zawsze bezpośrednio. Po to stworzone są indywidualne konta na mediach społecznościowych – wskazała. W przeszłości Nowakowska w ironiczny i celny sposób skomentowała pytanie dziennikarki o to, czy jest w drugiej ciąży. – Nie jestem w ciąży. Tak mi się wydaje. Ale pewności nie mam – powiedziała. Tylko kobiety zrozumieją.

HERBATKA U LARY

Przed nami czas kolędy, a więc media-workerzy już grzeją klawiatury. Ile „trzeba" dać księdzu w kopercie? Co postawić na stole? Czy można odmówić wizyty duszpasterza? Głupie artykuły zawsze klikają się jak szalone. Do tego opinie celebrytów i mamy przepis na sukces. Cukierniczka Lara Gessler w rozmowie z Plejadą mówi wprost, czy otworzy kapłanowi drzwi do swojego domu. – Nie jesteśmy katolikami, więc gdyby chciał się napić herbaty i porozmawiać o pogodzie, bez agitacji, wiedząc, że nie dostanie na tacę, to chętnie byśmy go zaprosili – powiedziała. „Bez agitacji". Wybitne.

RATY ZA WZMOŻENIE

Spłacanie długów trwa. Barbara Kurdej-Szatan, ta od obrzucania funkcjonariuszy Straży Granicznej obelgami, dostała kolejny angaż w TVP. Tym razem to główna rola w nowym serialu. Zdjęcia do „Zaraz wracam" już trwają. Ma to być jedna z pierwszych produkcji TVP po zmianie władzy. Serial opowiada o pracownikach urzędu gminny w fikcyjnej miejscowości Polskie Pole. Oprócz Barbary Kurdej-Szatan wystąpią w nim także Mariusz Kiljan, Violetta Arlak, Katarzyna Zielińska, Dominika Lignicka, Marcin Kwaśny, Mikołaj Krawczyk, Dawid Dziarkowski, Paweł Koślik czy Wiktor Loga. Na stronie TVP czytamy: „W malowniczej wsi Polskie Pole życie toczy się pozornie spokojnie, lecz na urzędowych korytarzach wrze od intryg, osobistych dramatów i zabawnych sytuacji. Urzędnicy, na czele z wójtem Eligiuszem Czaplą (w tej roli Mateusz Kilian), muszą mierzyć się nie tylko z problemami mieszkańców, lecz także z własnymi, niełatwymi życiowymi wyborami". Cóż z tego, że nowy format rozrywkowy z udziałem gwiazd – „Cudowne lata" – w którym Kurdej-Szatan została prowadzącą, dołował w wynikach? Długi trzeba spłacać. Tylko czy koniecznie za publiczne pieniądze? ©℗

eprasa.pl fce8bbc297

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, minęły Winter Holiday, za nami Nowy Rok, Sześciu Króli, więc pora na to, co lubicie najbardziej, a w czym i my się odnajdujemy całkiem nieźle, a więc analizy społeczno-ekonomiczne.

Otósh, jak spędzaliście sylwestra? Na Bali czy na bani? Wybaczcie ten wyraźnie januszowy żart, ale służy nam on do tego, iżby zilustrować, że według badań zdecydowana większość Polaków wybiera imprezowanie we własnym domu lub gdzieś u znajomych lub rodziny, zamiast zdecydować się na coś bardziej odjechanego, ekstrawaganckiego i odważnego. Jak np. wyjazd na Bali.

Oczywiście hejterzy rządu będą mówili, iż to przez to, że czasy są niepewne, ludzie gorzej zarabiają, są ostrożniejsi finansowo itd. Ale to nie do końca tak. Praprzyczyną takiego stanu rzeczy jest to, iż Polakom od lat brakuje fantazji i decydują się na rozwiązania najprostsze. A co jest łatwiejsze niż popijawa ze szwagrem przy sałatce jarzynowej?

Poza tym pamiętajcie, iż pieniądze to tylko wymówka. Najważniejsze są: odpowiednie nastawienie, kreatywność, „can do attitude" i wizualizowanie sobie sukcesu.

Widzieliśmy wyniki innego badania, według którego ponad połowa osób w tym kraju uważa, iż po zmianie rządu na rząd Donalda Tuska żyje się im gorzej.

Niesamowite, jak ludzie potrafią być niewdzięczni i mieć krótką pamięć. Kiedy trzeba było odsunąć pis od władzy, to wtedy wszyscy „Tusku, ratuj", a teraz zaczyna się ta typowa polska małostkowość, i to w sytuacji, kiedy rząd podobno spełnił już 26 ze 100 obietnic. A 26 proc. to już całkiem przyzwoity KPI, nawet jeśli trochę po terminie.

Obawiamy się, iż jeśli nastroje społeczne będą nadal tak wyglądały, to pan premier w końcu się tak porządnie wścieknie, na dobre, i rzuci tym wszystkim, uznawszy, iż nie ma sensu się starać, bo cokolwiek by się zrobiło, to i tak będzie źle.

A wtedy sami wiecie, kto wróci, i znów będzie błaganie, żeby pan premier wrócił i pomógł. I tak w kółko, ten naród niczego się nie potrafi nauczyć :(.

A tymczasem, kochani, dla rządu należy być wyrozumiałym, iż działa w skrajnie niesprzyjających warunkach, czyli użerając się z prezydentem Dudą.

Słyszeliście pewnie o rewolucyjnym i odważnym projekcie Ministerstwa Sportu i Turystyki, iżby wprowadzić parytety w związkach sportowych, które obecnie są poddane silnej patriarchalnej dominacji i w których dominują wąsate janusze, które siedzą w tych związkach jeszcze od poprzedniego ustroju.

No i co zrobił Duda, widząc tak śmiały i europejski poziom? No wziął i uwalił oczywiście, no bo co xD.

Na przykład taki Polski Związek Piłki Nożnej ma prezesa, wiceprezesa i 12 członków. A w tym gronie nie ma ani jednej waginoosoby. Po wprowadzeniu zmian musiałoby ich być 30 proc., a więc dużo, kto chce, niech policzy. Podobnie dzieje się w innych związkach.

Pewnym problemem mogłoby być znalezienie odpowiedniej liczby zainteresowanych i kompetentnych waginoosób, które rzeczywiście chciałyby w takich sportowych związkach pracować, ale to się zaraz ustanowiłoby jakieś dodatki motywacyjne, działacze pewnie mają córki i synowe, więc dałoby się to ogarnąć. No ale szkoda, iż nie będziemy pewnie mieć szansy, aby się o tym przekonać. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Gosposia z Sopotu

Donald, myślisz, że przesadziłem z tym zdjęciem, jak pompki robię?
A naprawdę robiłeś?

No co ty! Przecież ja po jednej pompce mam puls 150. A jakie to ma znaczenie?
Żadne, pytam z ciekawości.

Ale myślisz, że mi to nie zaszkodzi?
Bez znaczenia. I tak będziesz prezydentem.

Myślisz?
Nie myślę, tylko wiem. Jak wygra ten ich kulturysta, to się powie, że ruscy za tym stali. I się anuluje.

Ale kto anuluje?
Ktokolwiek. Szymek albo moja gosposia z Sopotu. Ona może dzisiaj tyle samo co jacyś tam sędziowie. Oczywiście jeśli ja pozwolę. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] uczciwa, rzetelna i poważna telewizja publiczna".

TOMASZ LIS, *na X, o „odzyskanej" w grudniu 2023 r. przez koalicję antypisowską TVP*

eprasa.pl fce8bbc297

ISLAMSCY TERRORYŚCI UDERZYLI NA AMERYKĘ

Początek roku w Stanach Zjednoczonych miał dramatyczny przebieg. Niemal ćwierć wieku od ataków na Nowy Jork i Waszyngton islamscy terroryści znów uderzyli na USA.

Ameryką wstrząsnęły dwa ataki terrorystyczne: w Nowym Orleanie oraz w Las Vegas. 1 stycznia nad ranem na Bourbon Street (na zdjęciu) w znanej na całym świecie Dzielnicy Francuskiej w Nowym Orleanie w świętujących ludzi z piskiem opon wjechał potężny biały pick-up Ford F-150. Kierowca z premedytacją rozjeżdżał kolejnych przechodniów, a następnie wyskoczył z kabiny i zaczął strzelać. Został zabity podczas wymiany ognia z policjantami.

W zamachu w Nowym Orleanie zginęło co najmniej 15 osób, a ok. 30 zostało rannych. Jego sprawca, 42-letni Shamsud-Din Bahar Jabbar, był weteranem amerykańskiej armii. Studiował informatykę, miał dobrze płatną pracę i – według sąsiadów – wiódł spokojne życie. Zamachowiec urodził się w Stanach Zjednoczonych i wychowywał się w wierze chrześcijańskiej, ale przeszedł na islam. W rozbitym pick-upie służby bezpieczeństwa znalazły flagę Państwa Islamskiego. Jabbar kilka godzin przed zamachem opublikował również na swoim profilu na Facebooku kilka filmów, w których „przysięgał wierność ISIS".

FBI prowadzi również śledztwo w sprawie wybuchu tesli pod hotelem Donalda Trumpa w Las Vegas. Nie wiadomo jeszcze, czy oba ataki były ze sobą powiązane. Wiadomo jednak, że kierowcą samochodu, który zdetonował ładunek i który stał się jedyną śmiertelną ofiarą wybuchu (poza nim niegroźne obrażenia odniosło siedem osób), był 36-letni czynny żołnierz wojsk specjalnych, starszy sierżant Matthew Alan Livelsberger. W tym przypadku nie ustalono jednak jeszcze powodów, dla których sprawca zdecydował się wysadzić ładunek wybuchowy.

(jap) ©℗

FOT. MATTHEW HINTON/AFP/EAST NEWS

eprasa:nice8bbc297

eprasa.pl fce8bbc297

Stawka roku 2025: Przejściowy prawny stan wyjątkowy

Piotr Semka

Do coraz większej liczby Polaków zaczyna docierać, że faktyczną stawką wyborów prezydenckich jest wybór między demokracją realną a pozorowaną

O Konstytucji RP nagle zrobiło się całkiem cicho. W obozie obecnej koalicji przestano o niej wspominać. Zwolennicy KOD nie wymachują już jej egzemplarzami. Szymon Hołownia nie płacze już przy jej lekturze. Tylko Lech Wałęsa, mający coraz słabszy kontakt z rzeczywistością, ciągle pokazuje się w koszulach z nadrukiem nawiązującym do konstytucji. Skoro o naczelnym dokumencie Rzeczypospolitej tak ucichło, to co zajęło jego miejsce?

Jak to co? Pojęcia wytrychy mające maskować stan faktycznego zamachu stanu i lekceważenia przepisów prawa.

ELEGANCKIE OPAKOWANIE I SZPETNA TREŚĆ

Piotr Pacewicz, publicysta prorządowego portalu OKO.press, w tekście z 15 grudnia zeszłego roku pochwalił Państwową Komisję Wyborczą. Większość jej członków postanowiła nie realizować decyzji Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, która uwzględniła skargę PiS na decyzję PKW w sprawie odebrania subwencji budżetowej. Jak Piotr Pacewicz uzasadnił poparcie dla bezprawnej decyzji PKW? Jak napisał: „Kodeks wyborczy wymaga, by PKW »niezwłocznie« przyjęła sprawozdanie wyborcze PiS, ale byłaby to polityczna katastrofa. Zgodnie ze »standardami prawa okresu przejściowego« PKW zignoruje postanowienie Izby Kontroli Nadzwyczajnej".

Ostatecznie PKW dokonała korekty swojej decyzji, ale nadal nie wiadomo, czy Donald Tusk nie zmusi ministra finansów,

eprasa.pl fce8bbc297

FOT. JAKUB PORZYCKI/FORUM

by zignorował tę decyzję. Jeśli tak się stanie, to quasi-prawna teoria Pacewicza może być używana w przyszłości. Choćby w momencie przyjęcia ostatecznych wyników prezydenckich, kiedy to znów Tusk może nagle ogłosić, że nie uznaje legitymacji tych członków Izby, których nie uważa za sędziów. W tym sensie teoria prawa okresu przejściowego jest niezwykle groźną i destrukcyjną dla ładu demokratycznego pałką w ręku Tuska.

Pacewicz w swojej szczerości wyjaśnia czytelnikom, czym są owe „standardy prawa okresu przejściowego". Publicysta OKO.press powołuje się na precedens w sprawie uchwały Sejmu z grudnia 2023 r. w sprawie mediów publicznych. Jak przypomina: „Sejmowa większość wezwała wówczas [Skarb Państwa] do »podjęcia niezwłocznie zadań naprawczych [...] w zgodzie ze standardami państwa prawa w okresie przejściowym, tj. do czasu uchwalenia i wdrożenia stosownych rozwiązań legislacyjnych«".

Jak wyjaśnia Pacewicz: „Przywracanie demokracji w okresie przejściowym, tzn. w czasie, gdy prezydent Andrzej Duda stoi na straży przepisów prawa i instytucji ancien regime'u, stawia organy państwa (np. PKW) przed opisanym wyżej niekomfortowym wyborem".

Spróbujmy rozłożyć sposób myślenia Pacewicza na czynniki pierwsze. Uznaje on okres rządów Andrzeja Dudy za czas, kiedy organy państwa mogą ignorować prezydenta. Andrzeja Dudę trzeba po prostu przeczekać. Warto zwrócić uwagę, że jeden z czołowych publicystów obozu prorządowego w ogóle nie posługuje się kategorią prawa, tylko pojęciem interesu politycznego, i to jednej ze stron politycznej gry w Polsce.

Sposób myślenia Pacewicza przyjmuje coraz więcej osób, które aspirują do roli autorytetów prawnych po stronie III RP. Oto prof. Andrzej Zoll, wypowiadając się 28 grudnia dla stacji TVN24, zaprezentował interpretację sporu z PKW dla odmiany nieomijającą prerogatyw prezydenta, ale wyprowadzającą całkowite bezprawne deklaracje nacisku na Andrzeja Dudę. Zoll, podobnie jak Pacewicz, faktycznie pochwalił PKW za powstrzymanie się od realizacji werdyktu Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN, ale jednocześnie stwierdził, że do czasu wyborów prezydenckich musi zostać przyjęta nowa ustawa, która uznaje, że sędziowie Izby Kontroli nie są sędziami i nie mają prawa orzekać w sprawie ważności wyborów. Na zasadzie pogróżki dał do zrozumienia, że Andrzej Duda musi podpisać stosowną nowelizację ustawową, która by odbierała sędziom Izby Kontroli prawo orzekania o ważności wyborów, a jeżeli tego nie zrobi, to musi mieć świadomość, że w przyszłości zostanie postawiony przed Trybunałem Stanu.

Zarówno wypowiedź Pacewicza, jak i prof. Zolla to ilustracja zadziwiająco szczerych słów jednego z liderów Platformy Grzegorza Schetyny z października. Schetyna na antenie Polsat News zapytany został o wypowiedź Donalda Tuska na zebraniu klubu KO, w której premier zapowiedział, że jeżeli rządzący przegrają wybory prezydenckie, to przegrają wszystko. Schetyna poparł stanowisko swego szefa i oświadczył: „Te wybory są najważniejsze, bo one pozwolą domknąć system".

Jak można interpretować słowa Schetyny? Ano tak, że ekipa Tuska chce za wszelką cenę stworzyć system ustaw, który unieważni legalne istnienie dwóch czołowych organów konstytucyjnych: Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego. Aby to osiągnąć, tacy zwolennicy Platformy jak prof. Zoll chcą zastraszyć prezydenta wizją postawienia go przed Trybunałem Stanu w razie odmowy podpisania ustaw, które wyczyszczą niewygodne dla władzy organy państwa. Inni – jak Ryszard Kalisz – sugerują, że po zakończeniu kadencji Andrzeja Dudy władzę na pewien czas mógłby przejąć marszałek Sejmu, który zastąpi głowę państwa na czas uchwalenia przez większość sejmową prawa dewastującego obecny status Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego. Jak można się domyśleć, miałaby wtedy nastąpić „przy okazji" także likwidacja ostatnich organów państwa niezależnych od ekipy Tuska, takich jak Rada Polityki Pieniężnej, Rada Mediów Narodowych czy Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji.

Przy okazji zresztą Tusk miałby pełną swobodę w decydowaniu o wyniku wyborów prezydenckich. Bo albo wygra Rafał Trzaskowski i wtedy to kandydat koalicji przeprowadzi ustawową rewolucję, albo – w razie wygranej Karola Nawrockiego – za pomocą takiego puczu prawnego w okresie interregnum Hołowni odbierze się ewentualnemu prezydentowi prawicy wszystkie kompetencje i potem będzie można mu oddać władzę, bo będzie całkowicie bezsilny.

WSZYSTKO W JEDNEJ GARŚCI

Nietrudno zauważyć, że przeforsowanie takiego politycznego planu stworzyłoby sytuację absolutnej dominacji politycznej Platformy Obywatelskiej i częściowo jej koalicjantów nad partiami opozycji. Już w momencie przejmowania władzy po 13 grudnia 2023 r. widać było, że Tusk zamierza wykorzystać przejęcie władzy

eprasa.pl fce8bbc297

do trwałej systemowej marginalizacji opozycji i jej ludzi. Wówczas zakładano, że przejęcie mediów publicznych zdruzgocze całkowicie oddziaływanie opozycji na wyborców. Można przypuszczać, że przyjmowano, iż szybka akcja upolitycznionej prokuratury spowoduje zastraszenie PiS i wyłonienie się grupy świadków koronnych, którzy w kolejnych pokazowych procesach mieli utorować drogę do delegalizacji PiS jako „zorganizowanej grupy przestępczej".

Realia polityczne kolejnych 12 miesięcy nie układały się jednak tak, jak to przewidzieli stratedzy z otoczenia lidera PO. PiS wytrzymał atak, a aresztowania najpierw duetu Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik, a potem ks. Michała Olszewskiego i dwóch urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości nie okazały się medialnymi sukcesami. Przejęta siłowo telewizja publiczna i radio publiczne nie okazały się czynnikiem sukcesu propagandowego Platformy. Co więcej, stratedzy od Tuska zbyt łatwo uwierzyli we własną propagandę. Tak długo powtarzali, że dziennikarze z telewizji Jacka Kurskiego, a potem Mateusza Matyszkowicza kierowani byli jedynie żądzą zysków w postaci lukratywnych pensji, że uwierzyli, iż po przejęciu TVP i Polskiego Radia dziennikarze z poprzedniej epoki nie będą zdolni do stworzenia nowych mediów. Tymczasem w ciągu ostatniego roku powstały dwie silne stacje, które naruszyły monopol medialny na linii neoTVP – Polsat – TVN.

Tak samo nie spełniły się rachuby ludzi z otoczenia Tuska, że wystarczy parę punktowych uderzeń w wybrane postacie z epoki PiS, by cała partia posypała się jak domek z kart. Oczywiście pewne założenia przyjęte przy planie faktycznego konstytucyjnego zamachu stanu się sprawdziły. Tylko nieliczni profesorowie prawa, tacy jak prof. Ryszard Piotrowski czy prof. Genowefa Grabowska, potrafili nazwać rzecz po imieniu i protestować przeciwko oczywistym aktom bezprawia. Bezprawia sytuacji, gdy władza stosownie do swojej wygody raz uznaje legalność wyroków Sądu Najwyższego, a innym razem nie. Na żaden protest nie zdecydowały się też wydziały prawa najważniejszych polskich uczelni, które w latach rządów PiS chętnie produkowały protestacyjne pisma.

Wyniki sondażowe Platformy utrzymały się na poziomie z dnia wyborów 15 października 2023 r. i na razie o wyraźnym tąpnięciu nie ma mowy. Ale też nie sprawdziło się założenie, że otwarte łamanie prawa przejdzie niezauważone. W rezultacie Tusk zaczął maskować niepowodzenia pierwszych 12 miesięcy swoich rządów kolejnym hasłem: „Nie da się przeprowadzić rozliczenia z PiS bez wygrania wyborów prezydenckich". Towarzyszyła temu też bardzo bałamutna narracja o prezydencie Andrzeju Dudzie, który rzekomo miał blokować wszelkie zmiany proponowane przez rząd. Była to oczywista bzdura, bo w ciągu ostatniego roku gospodarz Pałacu Prezydenckiego zawetował jedynie cztery ustawy nowej koalicji przy blisko 100, które zaakceptował. Hasło Tuska: „Jeśli przegramy wybory prezydenckie, to przegramy wszystko" brzmi jednak w uszach PiS bardzo niepokojąco. Oznaczać może, że jeśli kandydat PO nie wygra, to Donald Tusk nie dopuści do przejęcia władzy przez kogokolwiek innego, czyli Karola Nawrockiego. Tak czy inaczej, oznacza to, że margines praworządności w Polsce dramatycznie się zacieśnia.

Tak zwane rozliczenie PiS ma być faktycznie procesem anihilacji głównej partii opozycyjnej

JAK TO SIĘ ROBI GDZIE INDZIEJ?

Kryzysy konstytucyjne zdarzają się na całym świecie. Także w krajach dojrzałej demokracji. Tyle że w takich państwach jak Republika Włoska czy Republika Francuska samo pojawienie się tego typu problemu było uważane przez polityków z różnych stron politycznej barykady za stan szczególny, wyjątkowy, który trzeba jak najszybciej rozwiązać drogą konsensusu.

Nie jest przypadkiem, że stan sporu o skład Trybunału Konstytucyjnego, który wybuchł na przełomie lat 2015 i 2016, wzbudził niepokój Jarosława Kaczyńskiego. I dlatego już w styczniu 2016 r. lider PiS udzielił wywiadu dziennikowi „Rzeczpospolita", w którym zadeklarował gotowość na kompromis w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, o ile tylko opozycja zgodzi się na zmianę konstytucji. „Jesteśmy gotowi wybierać osoby zgłoszone też przez inne opcje polityczne" – mówił Kaczyński. W myśl nowego układu sił ośmiu członków TK miał wybrać PiS, a siedmiu opozycja. Platforma natychmiast odrzuciła ten projekt.

Potem, gdy doszło do bardzo nieśmiałych prób rozmów na temat takiego porozumienia, w które zaangażował się lider Nowoczesnej Ryszard Petru, w mediach wspierających PO wybuchła taka histeria sugerująca, że Petru jest piątą kolumną PiS, iż ten został zmuszony do wycofania się z rozmów. Przez kolejne lata jednak PiS próbował przetrzymać kryzys konstytucyjny, ale miał też świadomość, jak bardzo jest to niszczące dla siły państwa. Nie miał jednak specjalnego wyjścia, bo opozycja postanowiła przeczekać PiS.

Co więcej, wśród publicystów sprzyjających Donaldowi Tuskowi pojawiła się argumentacja, że taka wojna na śmierć i życie jest wręcz korzystna na dłuższą metę. Wyraźnie zaczęto stawiać tezę, że gdy w końcu Platforma i sojusznicy wygrają wybory, to będzie to dobry punkt wyjścia do rozliczenia się raz na zawsze z PiS. I dokładnie ten plan zaczęto wcielać w życie po wygranej PO i jej sojuszników w wyborach 15 października 2023 r.

W pewnym sensie cała ta taktyka anihilacji PiS z życia publicznego jest kwintesencją ewolucji myślenia obozu liberalnego i lewicowego w Polsce w ciągu ostatnich 35 lat. Na wszystkich etapach tego okresu obóz liberalny na czele z jej głównym ideologicznym organem, „Gazetą Wyborczą", formalnie akceptował zasady demokracji, ale widać, że tolerował jedynie stan, w którym rządzić mogły najpierw Unia Wolności i SLD, a potem Platforma i jej słabsi koalicjanci: PSL, Polska 2050 Szymona Hołowni czy szeroko rozumiana Lewica. W najgorszym razie, tak jak to było w wypadku wygranej AWS w 1997 r., akceptowano rządy prawicy, ale pod warunkiem koalicji z Unią Wolności jako stróżem liberalnego ładu. I na odwrót. Gdy czy to na początku lat 90. dochodził do władzy rząd Jana Olszewskiego, czy potem przez dwa lata rządził PiS w sojuszu z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin, strona liberalna rozpętywała atmosferę zimnej politycznej wojny domowej. A w okresie rządów PiS w latach 2015–2023 do wewnętrznej zimnej wojny domowej

eprasa.pl fce8bbc297

dochodziła zewnętrzna wojna polityczna z Komisją Europejską i organami sądowymi UE.

POLICZYĆ SIĘ RAZ NA ZAWSZE

Donald Tusk postanowił wyciągnąć z tych sporów jeden – w swoim pojęciu twórczy – wniosek. Tak zwane rozliczenie PiS ma być faktycznie procesem anihilacji głównej partii opozycyjnej i uczynienia z ludzi, którzy otarli się o wszelkie szczeble władzy w latach 2015–2023, obywateli drugiej kategorii. To oni mają bać się prokuratury, służb specjalnych, to oni mają zderzać się z faktycznym zakazem podejmowania pracy w mediach publicznych i instytucjach kultury, to oni są usuwani ze stanowisk ambasadorskich. A zamiast nich przychodzą ludzie, którzy chcą mieć teraz pewność, że dominacja ich opcji nie będzie już zależna od zmiennych wyników kolejnych wyborów. Ta nowa dominacja trwać ma długie lata, jeśli nie dekady.

Zauważmy, że stan ten znacząco różni się od tego, czego byliśmy świadkami w trakcie dwóch kadencji PiS. Wówczas czy to urzędnicy, czy to dziennikarze, z którymi nominaci PiS się rozstawali, mieli nieporównywalnie większe możliwości znalezienia pracy niż dziś osoby z postpisowskim „wilczym biletem".

Kolejnym efektem ofensywy bezprawia, którą zainicjował ponad rok temu Donald Tusk, jest erozja zaufania publicznego do instytucji publicznych. Dziś już nawet centrowi publicyści przyznają, że Marcin Romanowski miał pewne powody, by zakładać, iż areszt tymczasowy może być wykorzystany do próby złamania go za pomocą nacisków i oddziaływania za pomocą podobnych środków, które stosowano wobec ks. Michała Olszewskiego.

Zaufanie do systemu losowania sędziów jest już znikome. Wiara w bezstronność prokuratury czy służb specjalnych dawno już wyparowała. Bardzo charakterystyczny był przypadek niedawnego raportu Rzecznika Praw Obywatelskich o skali przekroczeń przepisów w czasie aresztu ks. Michała Olszewskiego. Choć raport RPO był dość krytyczny wobec władz, to i tak rozległy się głosy, że został on wygładzony wskutek obaw rzecznika, że jego zbyt daleko posunięty krytycyzm może zostać ukarany przez większość sejmową obcięciem ustawowych dotacji dla prowadzenia biura RPO.

Jeśli dodamy do tego teraz bardzo wyraźne wprowadzanie przez ekipę Tuska atmosfery niepewności wobec przeprowadzenia wyborów prezydenckich, to można postawić tezę, że ten brak zaufania wywoła reakcje społeczne, które paraliżować będą normalne działanie mechanizmów demokratycznych w Polsce.

Zauważyć też trzeba bardzo niepokojącą tendencję do mściwości i przesady w działaniu organów podległych Donaldowi Tuskowi. Tak było w wypadku aresztowania ks. Michała Olszewskiego i dwóch urzędniczek z Ministerstwa Sprawiedliwości i tak było niedawno przy okazji nalotu służb na klasztor Dominikanów w Lublinie. W obu wypadkach ktoś nadzorujący te działania albo zlecił, albo tolerował dużą dozę złej woli. I nieważne jest, czy to było działanie zaplanowane na najwyższym szczeblu władzy czy też była to nadgorliwość urzędników i funkcjonariuszy, którzy chcieli się wykazać z nadzieją na przyszłe awanse.

Rządy Tuska są groźne dla demokracji także z racji jego niezwykłej wręcz umiejętności utrzymywania swej partii i swej koalicji rządowej w hipnotycznej uległości. W tej kwestii nie ma porównania z epoką rządów PiS z lat 2015–2023.

W jednym z programów neoTVP prowadząca Renata Grochal spytała polityka PiS, dlaczego obawia się „domknięcia systemu" w razie prezydenckiej wygranej Rafała Trzaskowskiego. „Czy system nie był domknięty, gdy to PiS miał prezydenta i większość w Sejmie?" – pytała.

Publicysta Krzysztof Panek trafnie odpowiedział na to pytanie: „Cóż, jednak Kaczyński, inaczej niż Tusk, nie mógł wszystkiego. Prezydent zawetował mu najdalej idące zmiany w sądach, a posłowie potrafili stanąć okoniem, choćby przy aborcji czy jego ukochanym projekcie »piątki dla zwierząt«. Tych buntów było bez liku. Dziś Tusk ma w Sejmie karną armię janczarów, a nie po prostu większość. Nikt brwi nie podniesie wbrew jego woli. Nawet Schetyna nie podnosi już głowy".

KTO POWIE TUSKOWI „STOP"?

Raz stworzony mechanizm braku poszanowania dla zasad prawa musi przynosić demoralizację kadr. Tak samo groteskową iluzją jest przekonanie, że można wykreować „przejściowość" prawnego stanu wyjątkowego. W imię jakich zasad po takim przejściowym okresie wszystko ma wrócić do normy? Przecież osoby, które ten system obecnie niszczy i upokarza, będą chciały w przyszłości dochodzić odszkodowania za swoje krzywdy. W związku z tym owa nadzwyczajność będzie musiała trwać wiecznie, bo tego wymagać będą ci, którzy dziś łamią prawo i chcą mieć pełną gwarancję, że w przyszłości nikt za to nie pociągnie ich do odpowiedzialności.

Rządy Tuska są groźne dla demokracji także z racji jego niezwykłej wręcz umiejętności utrzymywania swej partii i swej koalicji rządowej w hipnotycznej uległości

Jeśli coś może ten diabelski plan Donalda Tuska wprowadzenia demokracji pozorowanej zakłócić, to mogą to być dwa czynniki. Pierwszy to kruchość układu władzy zbudowanego na bezprawiu i systemie hakowym Donalda Tuska. Całkiem niedawno mogliśmy obserwować, jak Szymon Hołownia publicznie wyraża opinię, że za wyciąganiem kłopotliwych dla niego faktów z przeszłości w kwestii jego relacji z Collegium Humanum stoją służby specjalne podległe przecież nikomu innemu jak premierowi. Koalicja sklecona takim klejem strachu i haków na dłuższą metę może okazać się bardzo krucha.

Drugi czynnik, którego Tusk nie brał pod uwagę, to zmiana w USA. Lider PO być może wierzył w zachowanie władzy demokratów nad Białym Domem, ale stało się inaczej. A Donald Trump być może nie będzie milczał wobec pseudodemokratycznej dyktatury Tuska nad Polską.

I wreszcie ostatni czynnik. Zdolność konserwatywnej opinii publicznej do samoorganizacji obywatelskich protestów. Skala ofiarności zwolenników prawicy dla Telewizji Republika i Telewizji wPolsce24 to potencjał, którego nie należy lekceważyć. Do coraz większej liczby Polaków zaczyna docierać, że faktyczną stawką wyborów prezydenckich jest wybór między demokracją realną a pozorowaną. I to nada najbliższym miesiącom trudne do wyobrażenia dramatyzm i ostrość konfliktu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fce8bbc297

Państwo bezprawia, czyli demokracja walcząca na pełnej petardzie

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl fce8bbc297

Mikołaj Drozdowicz

Towarzyszący bezprawiu chaos oznacza, że bez względu na poglądy polityczne tracimy własne państwo, i to w niebezpiecznych czasach, w których powinno być ono szczególnie sprawne. Bo państwo to przede wszystkim wspólnota interesów. Kiedy instytucje przestają działać, maleje zdolność państwa do obrony naszych praw i wolności bez względu na to, kto na kogo głosował

Aby zrozumieć, co tak naprawdę dzieje się w Polsce u progu 2025 r., cofnijmy się do roku 2015. Na ostatnim posiedzeniu Sejmu VII kadencji, 8 października 2015 r., rządząca wówczas koalicja PO-PSL przegłosowała wybór pięciu sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Przypomnijmy: zgodnie z art. 194 ust. 1 konstytucji Trybunał składa się z 15 sędziów wybieranych przez Sejm na dziewięć lat. W tamtym czasie w Trybunale nie było żadnego wakatu, wszystkie stanowiska sędziowskie w chwili podejmowania uchwał przez Sejm były wciąż obsadzone. To wówczas za sprawą PO i PSL pojawili się w Polsce dublerzy, czyli sędziowie wybrani przez polityków awansem wyłącznie po to, aby zagwarantować rządzącym wpływy w TK, na wypadek gdyby nie wszystko poszło po ich myśli w nadchodzących wyborach. Awantura o Trybunał, rozpoczęta w 2015 r., pokazała niczym w laboratoryjnej probówce jeszcze jedną rzecz. Po 1989 r. Polska nigdy nie stała się państwem w pełni demokratycznym. Owszem, organizowano wybory, prowadzono kampanie wyborcze i zaganiano Polaków do urn, ale od 2015 r. stało się jasne, że były to zjawiska mające w sumie rytualny i fasadowy charakter. Wybory, owszem, są pożądane wyłącznie wówczas, gdy wygrywa opcja liberalno-lewicowa. Gdyby jednak wybory wygrała prawica, system ma działać tak, jakby nie wygrała.

Zgodnie z art. 4 konstytucji władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu, który sprawuje ją przez swoich przedstawicieli lub bezpośrednio. Przepis ten doprecyzowuje znaną niemal każdemu deklarację ustrojową zamieszczoną w art. 2 ustawy zasadniczej, stanowiącą o tym, że Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym, urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej. Bo w istocie państwo demokratyczne to takie, w którym to my – obywatele – mamy władzę, a jej wykonywanie jedynie powierzamy naszym przedstawicielom. Dodajmy – wykonywanie każdej władzy bez wyjątku, a więc także władzy sądowniczej. To nie postkomunistyczne elity, celebryci, znający się na wszystkim aktorzy, salonowi dziennikarze czy nadęci prawnicy stanowią desygnat pojęcia „Naród", lecz wszyscy obywatele. Probierzem demokracji jest zaś stosunek polityków i elit do znaczenia legitymizacji władzy przez obywateli w drodze wyborów. To kwestia polityczna, a także prawna, tak silnie zakorzeniona w ustrojowych podstawach Rzeczypospolitej.

PAPIERKI LAKMUSOWE DEMOKRACJI

W sprawie wyboru sędziów do Trybunału Konstytucyjnego w 2015 r. można zgłaszać różne koncepcje, jednak jeden argument ma znaczenie rozstrzygające. Jest to właśnie stosunek do demokracji jako ustrojowej zasady Rzeczypospolitej. Zatem jeżeli istnieje kilka możliwych rozwiązań odnośnie do wyłonienia nowych władz, a więc także sędziów Trybunału, to należy zrobić tak, aby było jak najbardziej demokratycznie. Skoro więc Trybunał jest w pełni obsadzony, wybory parlamentarne mają się odbyć za dwa tygodnie, nie wiadomo kiedy rozpocznie się kolejna kadencja Sejmu (to zależy od prezydenta), to nie obsadza się stanowisk w Trybunale na ostatnią chwilę czy na zapas, bo to dokładnie oznacza, że politycy dokonujący takiego wyboru mają w nosie obywateli i całą demokrację. Trudno też takie działania pogodzić z art. 2 oraz 4 konstytucji.

Do dzisiaj obecna władza, nazywająca siebie, o ironio, obozem demokratycznym, nie uznaje Trybunału Konstytucyjnego, nie publikuje jego wyroków, nie dokonuje wyborów nowych sędziów na miejsca opróżnione wskutek upływu kadencji poprzedników, a ostatnio postanowiła wziąć Trybunał głodem, nie przewidując środków w budżecie na opłacenie sędziowskich wynagrodzeń. To jakby kamień węgielny bezprawia rządu Donalda Tuska, fundament, na którym od lat budowana jest antypaństwowa narracja gwałcąca podstawowe zasady ustrojowe państwa, w tym zasadę państwa demokratycznego, państwa prawa oraz trójpodziału władz w imię… przywracania praworządności.

W 2017 r. PiS zmienił zasady powoływania sędziów w Polsce. Zgodnie z art. 179 konstytucji „sędziowie są powoływani przez Prezydenta Rzeczypospolitej, na wniosek Krajowej Rady Sądownictwa, na czas nieoznaczony". Do tej pory zgodnie z najlepszą praktyką antydemokratyczną sędziowie wybierali sami siebie. Owszem, prezydent wręczający sędziowskie nominacje pochodzi z wyboru, ale przyjęto, że decyzje prezydenckie są konsekwencją w zasadzie wiążącego wniosku KRS, w której wybierani sami przez siebie sędziowie mieli większość. Na jedno więc wychodzi. Tyle że taki sposób wyłaniania sędziów z konstytucji nie wynika. Zgodnie z art. 187 konstytucji w składzie KRS co prawda powinno się znajdować m.in. 15 członków wybranych spośród sędziów Sądu Najwyższego, sądów powszechnych, sądów administracyjnych i sądów wojskowych, jednak konstytucja nigdzie nie wskazuje, że mieliby oni wybierać sami siebie! Artykuł 187 ust. 4 konstytucji wskazuje jedynie, że „ustrój, zakres działania i tryb pracy KRS oraz sposób wyboru jej członków określa ustawa".

Odwołajmy się więc znowu do naszych papierków lakmusowych demokracji, czyli art. 2 oraz 4 konstytucji. Jaka metoda wyboru sędziów jest demokratyczna? Taka, gdy sędziowie zachowujący dożywotnio swój status wybierają sami siebie? Czy jednak taka, gdy to wybrany przez naród Sejm, działający

eprasa.pl fce8bbc297

kadencyjnie, a więc odnawiający swój mandat do sprawowania władzy z woli obywateli, wyłania sędziów – członków KRS? Wybór jakiejkolwiek władzy przez nią samą pachnie absurdem. To rozwiązanie w duchu Orwellowskim, które z demokracją ma tyle samo wspólnego, co „Babcia Kasia", czy tyle, co Marta Lempart z Towarzystwem Literackim. Ale taki system obowiązywał w Polsce właśnie dlatego, że stanowił jeden z niewzruszalnych fundamentów post-PRL, najtrwalszy element ładu okrągłostołowego, który definiował, do kogo III RP miała należeć. System wyłaniania sędziów do 2017 r. stanowił dyskretnie zaszyty w praktyce ustrojowej (bo nie w samej konstytucji) relikt PRL, gwarantujący nienaruszalność najważniejszych interesów i zapewniający nadwładzę w najważniejszych procesach politycznych i gospodarczych zachodzących w Polsce, bez względu na to, kto aktualnie sprawował rządy.

To właśnie ten element systemowy zapewnił w przeszłości nietykalność procesów prywatyzacyjnych, nierozliczenie zbrodni komunistycznych czy osobliwą, lecz dla niektórych użyteczną definicję współpracy z komunistycznymi służbami specjalnymi. To sądy ustanawiały kuratorów dla 140-letnich właścicieli warszawskich kamienic, umożliwiając ich przejęcie przez mafijną sitwę z udziałem polityków i prawników. Obecnie system ten zapewnia ciągłość działania doktryny Neumanna, a także odpowiednią kuratelę ideologiczną nad społeczeństwem oraz osłonę procesu wyzbywania się polskiej suwerenności na rzecz Unii Europejskiej, wbrew oczywistym zapisom konstytucji oraz traktatów. Mam tu na myśli art. 4 i 5 Traktatu o Unii Europejskiej, zgodnie z którymi wszelkie kompetencje nieprzyznane Unii w traktatach należą do państw członkowskich, a granice kompetencji Unii wyznacza zasada przyznania, a nie domniemania czy uzurpacji, jak to ma miejsce w obecnej praktyce. Paradoks polega na tym, że naprawdę sporą grupę sędziów stanowią przyzwoici ludzie, co jednak nie przeszkadza wymiarowi sprawiedliwości działać według opisanego wyżej schematu.

Wybór sędziowskich członków KRS przez Sejm nie niesie ze sobą możliwości zawłaszczenia sądownictwa przez jedną opcję polityczną. Na przestrzeni wielu lat oraz kolejnych kadencji skład Sejmu się zmienia. Zatem w dłuższej perspektywie skutkiem zmiany zasad wyboru sędziowskiej większości KRS będzie zrównoważenie środowiska sędziowskiego i nadanie mu bardziej pluralistycznego wymiaru. Jednak pomysł, że władza sądownicza może zostać zdemokratyzowana, wywołuje do dziś histeryczne reakcje liberalnych salonów, gdyż prowadzi do odebrania im uprzywilejowanej pozycji. W obronie naruszonego statusu władzy sądowniczej uruchomiono niespotykany nigdy w historii front elit III RP, co pokazuje, czym ta atrapa państwa demokratycznego w istocie zawsze była. Najwyraźniej w 2017 r. PiS zagroził interesom twardego jądra systemu, które postanowiło nie okazywać tym razem litości.

NA RYMPAŁ

O ile w przeszłości system działał subtelnie i punktowo, unikając nadmiernej brutalizacji, o tyle obecnie najbardziej pożądaną metodą sprawowania władzy jest metoda „na rympał". Uwolnione zostały antypaństwowe żywioły, otwarcie zapowiedziano rezygnację nawet z pozorów państwa prawa. Donald Tusk i Adam Bodnar bez cienia zawahania deklarują, że w walce o „przywracanie praworządności i demokracji" zamierzają otwarcie łamać prawo i reguły demokracji!

Naczelną zasadą rządu Tuska jest nieuznawanie funkcjonujących w ramach trójpodziału władzy organów, które pozostają poza jego polityczną kontrolą. Obecna władza wybiórczo nie uznaje wyroków sądów, w tym Sądu Najwyższego, w których wydaniu wzięli udział sędziowie powołani na wniosek zdemokratyzowanej KRS. Doszło do tego, że przez szczujnię obecnej władzy spostponowany został prezes Izby Karnej SN Zbigniew Kapiński, sędzia z kilkudziesięcioletnim doświadczeniem oraz człowiek wielkiej kultury osobistej. Sędziego Kapińskiego zaatakowano wyłącznie dlatego, że sąd z jego udziałem nie uznał bezprawnego odwołania prokuratora krajowego Dariusza Barskiego przez Adama Bodnara. Bodnar odwołał Barskiego wbrew art. 14 par. 1 ustawy o prokuraturze, który stanowi, że odwołanie prokuratora krajowego może nastąpić za pisemną zgodą prezydenta. Powołał się przy tym na, jak się okazało, chybione argumenty dotyczące przywrócenia Barskiego ze stanu spoczynku, z którymi właśnie rozprawił się Sąd Najwyższy.

Postawione przez Bartłomieja Sienkiewicza w stan likwidacji media publiczne funkcjonują w tym stanie od roku. O żadnych posunięciach likwidatorów zmierzających do zaprzestania działalności przez te podmioty nie słychać, co tylko dowodzi, że mieliśmy do czynienia z działaniami pozornymi

Państwowa Komisja Wyborcza ostatecznie przyjęła sprawozdanie finansowe PiS, lecz i tak nie ma pewności, czy minister finansów wypłaci największej partii opozycyjnej subwencję. Awantura wokół finansowania działalności politycznej poprzedniego obozu władzy jest doskonałym przykładem hipokryzji wszechogarniającej polskie życie publiczne oraz przyjmowania podwójnych standardów prawnych. Gdyby policzyć wartość czasu antenowego TVN i TVN24 poświęconego na przestrzeni lat partyjnej propagandzie PO, środki wykorzystywane do walki z partią Jarosława Kaczyńskiego przez samorządy, zagraniczne fundacje oraz WOŚP Jerzego Owsiaka pod pozorem walki z sepsą, to zapewne okazałoby się, że fundusze publiczne przeznaczone na organizowane przez polityków PiS pikniki można by uznać za drobne „na waciki".

W tle zawirowań wokół PKW oraz SN czynione są przygotowania do nieprzeprowadzenia lub przynajmniej nieuznania wyborów prezydenckich, gdyby sprawy poszły wbrew oczekiwaniom obozu władzy i wygrał je Karol Nawrocki.

eprasa.pl fce8bbc297

Postawione przez Bartłomieja Sienkiewicza w stan likwidacji media publiczne funkcjonują w tym stanie od roku. O żadnych posunięciach likwidatorów zmierzających do zaprzestania działalności przez te podmioty nie słychać, co tylko dowodzi, że mieliśmy do czynienia z działaniami pozornymi, służącymi jedynie obejściu przepisów uniemożliwiających odwołanie władz spółek w ramach normalnej, wynikającej z prawa procedury. Zgodnie natomiast z art. 58 § 1 Kodeksu cywilnego czynność prawna sprzeczna z ustawą albo mająca na celu obejście ustawy jest nieważna […]. Z tą motywacją obecny europoseł Bartłomiej Sienkiewicz, biorący na siebie ryzyko odpowiedzialności karnej, w ogóle się nie kryje, co jedynie wskazuje, że bezprawnym działaniom rządu towarzyszy przekonanie, iż raz zdobytej władzy nie oddamy już nigdy.

Od roku trwa polowanie na polityków PiS oraz osoby związane z poprzednim rządem. Stosowane są absurdalne areszty tymczasowe mające ewidentnie charakter szykan. Należy podkreślić, że w sprawach natury gospodarczej lub dotyczących nadużyć w wydatkowaniu publicznych środków z samej natury tych przestępstw materiał dowodowy musi opierać się na dokumentach lub zapisach na nośnikach informatycznych. Jeżeli zatem przez kilka miesięcy przetrzymuje się za kratami ks. Olszewskiego oraz urzędniczki Ministerstwa Sprawiedliwości, a po wielu miesiącach od wykrycia rzekomej afery aresztuje się posła Romanowskiego, to jest jasne, że stoją za tym zupełnie inne cele aniżeli dobro prowadzonych postępowań karnych. Nie zamierzam przy tym komukolwiek wystawiać certyfikatu niewinności. Rzecz w tym, że sprawy rzekomych nadużyć PiS są od roku badane w ramach trzech komisji śledczych, których jedynym efektem do tej pory jest autokompromitacja posłów obozu rządzącego. Nie przemawia to za wiarygodnością zarzutów stawianych politykom PiS.

W grudniu 2024 r. Donald Tusk zapowiedział wpisanie na listę podmiotów o znaczeniu strategicznym telewizji TVN oraz Polsat. Równie dobrze mógłby tam wpisać naleśnikarnię posła Zembaczyńskiego. Wpisanie przedsiębiorstwa na taką listę ma umożliwić rządowi przeciwdziałanie jego zbyciu, a nawet unieważnienie zawartej już transakcji. Problem polega na tym, że ustawa z dnia 24 lipca 2015 r. o kontroli niektórych inwestycji wyraźnie wskazuje branże, które mogą być tego rodzaju ingerencją władzy objęte. Nie ma tam jednak wymienionej działalności nadawczej radiowo-telewizyjnej. Tego rodzaju wystąpienia premiera to nic innego jak zapowiedź kolejnego bezprawia, tym razem podjętego w obronie swojego zaplecza medialnego, czyli telewizji TVN w jej obecnej postaci. Jednak podejmując tego rodzaju działania, Tusk zagraża właścicielom TVN, czyli amerykańskiej korporacji Warner Bros. Discovery, a przy okazji narusza art. II pkt 6 Traktatu o stosunkach handlowych i gospodarczych między Rzecząpospolitą Polską a Stanami Zjednoczonymi Ameryki z 21 marca 1990 r. oraz naraża interes polski na poważną szkodę.

TRACIMY WSZYSCY

To tylko niektóre przykłady łamania prawa przez obecną władzę. Jest ich oczywiście znacznie więcej, coby wymienić choćby kuriozalne cofnięcie kontrasygnaty przez premiera pod postanowieniem prezydenta czy nasłanie policji na Pałac Prezydencki w pościgu za ułaskawionymi posłami Wąsikiem i Kamińskim. 18 grudnia 2024 r. Rada Ministrów wydała uchwałę nr 162, która zupełnie otwarcie bezprawne działania władzy w obszarze wymiaru sprawiedliwości uznaje za program rządu. Co charakterystyczne, jako podstawę wydania uchwały nie wymieniono żadnego przepisu prawa, a jedynie wiele orzeczeń ETPC oraz TSUE. Bo obecnie prawo to nie żadne przepisy dla maluczkich, tylko opinie, uchwały, analizy i orzeczenia wydawane przez świat prawniczy broniący również swojej uprzywilejowanej pozycji w III RP.

Można by w tym miejscu wymienić całe mnóstwo przepisów prawa karnego, które mogły być naruszone przez ludzi obecnej władzy. Począwszy od art. 231 Kodeksu karnego, czyli przestępstwa przekroczenia uprawnień, a skończywszy na art. 128 Kodeksu karnego. Jednak nie to wydaje się najgorsze. Towarzyszący bezprawiu chaos oznacza, że bez względu na poglądy polityczne tracimy własne państwo, i to w niebezpiecznych czasach, w których powinno być ono szczególnie sprawne. Bo państwo to przede wszystkim wspólnota interesów. Kiedy instytucje przestają działać, maleje zdolność państwa do obrony naszych praw i wolności – bez względu na to, kto na kogo głosował. Nigdy nie mogłem się nadziwić optymizmowi wyborców obecnej koalicji rządowej, którzy otumanieni propagandą powtarzają brednie o przywracaniu demokracji i praworządności, czego jedynym skutkiem jest uderzenie w ich własne interesy. Bo na końcu to wyborcy Donalda Tuska jako osoby przynajmniej statystycznie zamożniejsze mają najwięcej do stracenia na instytucjonalnej słabości państwa.

Napisałem kiedyś (cytując ten jeden jedyny raz Karola Marksa), że skoro „historia lubi się powtarzać, raz jako tragedia, a drugim jako farsa", to zapewne w XXI w. Polska utraci niepodległość – tym razem nie na skutek wojny, zaborów czy okupacji, lecz… na sali sądowej. Bo wszystkie te bezeceństwa władzy nie byłyby możliwe bez udziału prawników kreujących – w duchu jak najgorzej pojmowanej sofistyki – narzędzia służące osłabianiu państwa, fałszywie legitymizujących szkodliwe i pełne hipokryzji fasadowe pojmowanie praworządności, które Donald Tusk ubrał w doktrynę demokracji walczącej. Albo siedzących cicho, sytych i zadowolonych z siebie egoistów, niezdolnych do wyrażenia w duchu troski o dobro wspólne sprzeciwu non possumus. Dlatego przynajmniej postanowiłem nie milczeć.

Od roku trwa polowanie na polityków PiS oraz osoby związane z poprzednim rządem. Stosowane są absurdalne areszty tymczasowe mające ewidentnie charakter szykan

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fce8bbc297

Mariusz Muszyński

Projekt nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym zakłada następujący scenariusz: jeśli wybory prezydenckie wygra kandydat opozycji, to SN je unieważni, a rządzący ogłoszą ponowne. Jednak te przeprowadzą już na własnych warunkach. Ich wynik jest łatwy do przewidzenia

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

Tak zaczyna się każda dyktatura

Przed świętami Bożego Narodzenia marszałek Szymon Hołownia znów dał popis. Najpierw zasugerował, że ogłosi termin wyborów prezydenckich szybciej, niż pozwala mu konstytucja. Następnie bez skrępowania zapowiedział zamach stanu w swoim wykonaniu. Otóż według Hołowni w obecnym stanie prawnym nie będzie możliwości zaprzysiężenia zwycięzcy wyborów prezydenckich w 2025 r. Przeszkodą ma być Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, której sędziowie orzekają o ważności wyborów prezydenckich. Takie orzeczenie jest konstytutywną przesłanką umożliwiającą prezydentowi elektowi złożenie przysięgi wobec Zgromadzenia Narodowego, a ta jest konieczna do rozpoczęcia prezydenckiego urzędowania.

Dla Hołowni Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN nie jest sądem, bo tak orzekły europejskie trybunały. Jej orzeczenie nie będzie ważne. Wtedy Zgromadzenie Narodowe nie zostanie zwołane i sam marszałek będzie musiał przejąć tymczasowe pełnienie urzędu prezydenta RP.

PEŁNIA KONTROLI

Oczywiście jako szczery „demokrata" Hołownia uczyniłby to bardzo niechętnie. Dlatego zaproponował, by zadania orzecznicze związane z wyborami powierzyć innym izbom SN. Przedstawił projekt nowelizacji ustawy o SN, zgodnie z którym w sprawach wyborczych, w tym o stwierdzaniu ważności wyborów prezydenckich, rozstrzygać miałyby trzy połączone izby SN: Karna, Cywilna oraz Pracy i Ubezpieczeń Społecznych.

Propozycja spotkała się z natychmiastowym poparciem premiera Donalda Tuska, który wyraził nadzieję, że marszałkowi uda się do tego rozwiązania przekonać prezydenta i opozycję. Hołownię poparł też wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz. I w tym momencie wszystko stało się jasne. To nie jest pomysł wyciągnięty ad hoc z kapelusza przez Hołownię. To uknuta przez rządzących intryga, której prawdziwym celem nie jest żadna „proceduralna czystość" wyborów prezydenckich. Tu chodzi o domknięcie systemu władzy. Nowelizacja ma im pomóc przejąć pełnię kontroli nad procesem wyborczym i zabetonować ich władzę na długie lata.

Scenariusz jest prosty. Etap pierwszy to pozbawienie opozycji środków finansowych. Jest on już realizowany. Tu główną rolę odgrywa Państwowa Komisja Wyborcza, która oprócz obcięcia pieniędzy opozycji ma ją wystraszyć. Służą temu nie tylko publiczne wypowiedzi członków PKW, lecz także zabawa tego organu w kotka i myszkę z komitetem wyborczym PiS. To ma uświadomić opozycji jej bezsilność. A każda partia opozycyjna wystawiła kandydata na prezydenta i jest zainteresowana tym, by po ewentualnym zwycięstwie przejął on władzę bez jakiegokolwiek zamieszania. Groźba przyszłej awantury o legalność orzeczeń w sprawach wyborczych, w tym kluczowego – stwierdzającego ważność wyborów prezydenckich – ma wymusić na opozycji poparcie zaproponowanych przez Hołownię zmian ustawowych. Konsensus ponadpartyjny będzie legitymizował przyszłe domknięcie układu władzy. Volenti non fit iniuria.

Etap drugi opiera się sędziach SN. Izby przewidziane w projekcie to forpoczta walki z reformą wymiaru sprawiedliwości w latach 2018–2023. Zasiadający w nich tzw. starzy sędziowie drwią z apolityczności i są w stanie złamać wszelkie rudy-

eprasa.pl fce8bbc297

menty prawa w procesie orzeczniczym. A ponieważ w tych trzech izbach orzekają także sędziowie powołani po 2017 r., których projekt ustawy nie wyklucza z zajmowania się sprawami wyborczymi, jest jasne, że zaproponowane rozwiązanie obliczono na wywołanie dysfunkcjonalności SN w kluczowym momencie wyborczym. Przecież ta grupka nowych sędziów z perspektywy powołania niczym nie różni się od sędziów Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN. W efekcie kiedy trzy izby SN zbiorą się, by orzec o ważności wyborów prezydenckich, zaczną się cyrki – wnioski o wyłączenie zasiadających w nich nowych sędziów – co sparaliżuje SN i posłuży przeciąganiu sprawy. A to jest kluczowe dla obecnej władzy. Bez uchwały o ważności wyborów prezydent elekt nie złoży przysięgi. Obowiązki prezydenta – w takim przypadku już całkiem legalnie – przejmie tymczasowo marszałek Sejmu. Wtedy Sejm w ekspresowym tempie uchwali wiele ustaw, które „tymczasowy prezydent" podpisze. I choć to wymaga naprawdę zmian na poziomie konstytucyjnym, to rządzący de facto wyczyszczą sobie SN, Trybunał Konstytucyjny, Krajową Radę Sądownictwa, a może także inne instytucje. Opinia publiczna nie zna niuansów. Pokaże się ustawę, a kraj i świat zaleje propagandą. I jakoś to się będzie bronić.

Ale „wielka czystka" to nie koniec planu. Rządzącym chodzi o domknięcie systemu władzy. W tym celu przeprowadzą kolejne działania. Rozpoczną trzeci etap, gdzie główną rolę odegra już wyczyszczony SN. I jeśli zwycięzcą wyborów prezydenckich będzie kandydat środowiska władzy, to obejmie on funkcję po tym, jak nowy skład SN wyda w końcu uchwałę o ważności wyborów prezydenckich. Jeśli wygra kandydat opozycji, to SN unieważni wybory. Rządzący ogłoszą ponowne. Jednak przeprowadzą je już na własnych warunkach. Ich wynik jest łatwy do przewidzenia.

Czwarty etap to dalsze czyszczenie sceny politycznej i finał procesu zaduszenia demokratycznego procesu wyborczego. Opozycja będzie już bez środków finansowych, co ograniczy jej możliwości prowadzenia jakiejkolwiek kampanii wyborczej. Wtedy dołoży się zmiany legislacyjne – przedefiniuje okręgi wyborcze, ograniczy obywatelską kontrolę wyborów itp. Do tego wyłączy się możliwość krytyki władzy. Wystarczy przecież

Suche zapisy kodeksowe – choćby te dotyczące ochrony przed mową nienawiści – będą wypełniane w praktyce orzeczniczej przez sprzyjające rządowi sądy

zamknąć media prawicowe. W Sejmie znajduje się już rządowy projekt zmiany ustawy Kodeks karny, który jest sprzedawany społeczeństwu jako rozszerzenie ochrony przed mową nienawiści. Lektura lakonicznie sformułowanych przepisów nie wzbudza podejrzeń. Ale cel doskonale ujawnia uzasadnienie do projektu, gdzie czytamy, że chodzi o realizację zaleceń międzynarodowych, aby wzmocnić wysiłki na rzecz zapobiegania i zwalczania aktów rasizmu, ksenofobii, islamofobii, antysemityzmu i homofobii.

Pamiętajmy, że suche zapisy kodeksowe będą wypełniane w praktyce orzeczniczej przez sprzyjające rządowi sądy. To jasne, że obrona Żołnierzy Wyklętych przed lewackimi pomówieniami, dyskusje na temat LGBT, krytyka aborcji i propagowania zmiany płci czy nawet unijnych planów przyjmowania uchodźców, będą mową nienawiści. Według tego projektu nawet nawiązywanie w publicznej dyskusji do rasy, religii, koloru skóry sprawców zamachów czy innych przestępstw będzie publicznym znieważaniem, a może nawet nawoływaniem do popełniania przestępstw. To pozwoli nie tylko zamykać dziennikarzy, lecz także szybciutko przerwać nadawanie niewygodnych dla rządu mediów – Telewizji Republika, Telewizji Trwam, telewizji w Polsce24 – pod byle pretekstem. A w wyłączaniu sygnału telewizyjnego rządzący mają już wprawę. Można będzie paraliżować działalność gazet i portali prawicowych. Europa tylko przyklaśnie. Polskie społeczeństwo dostanie do wyboru „czystą wodę" w TVP lub „niezależność dziennikarską" w TVN, ewentualnie Polsat siedzący okrakiem na barykadzie. I w tak ukształtowanej rzeczywistości rządzący utrwalą swoją władzę na lata. Będą panować nad całym procesem wyborczym i jego okolicami: od inicjowania wyborów (prezydent lub marszałek Sejmu), przez ich prowadzenie i liczenie głosów (komisje wyborcze i PKW), do ich zatwierdzania (SN). Opozycja nawet nie będzie miała gdzie zaskarżyć tych zmian, bo potencjalną kontrolą konstytucyjności przepisów wyborczych (i innych) zajmie się na nowo obsadzony TK. Wybory będą się odbywać, ale ich wynik jest łatwy do przewidzenia.

WARIANT RUMUŃSKI

I w tym miejscu wyobrażam sobie uśmiechy czytelników. Muszyński oferuje nam tu jakąś political fiction. Poproszę jednak, by się zastanowili, czy aby na pewno przesadzam. Czy jeszcze rok temu ktoś pomyślał, że rząd będzie przejmować szturmem TVP? Że prokuratora krajowego wyrzucą z posady na podstawie kretyńskich ekspertyz, a członkowie PKW będą bezkarnie głosić, iż nie respektują wyroków SN? Że Sejm będzie mógł zabierać budżet niektórym organom państwa, bo mu się nie podoba ich skład? Na to nie pozwolił sobie nawet tak dziś krytykowany rząd Zjednoczonej Prawicy.

Cóż, kiedyś wojny polityczne prowadzono w ramach prawa. Dziś władza nie tylko łamie reguły praworządności, lecz także lekceważąc drastycznie konstytucję, wprost wypowiada umowę społeczną zawartą w 1997 r. poprzez jej uchwalenie. A przypomnę, że miało to miejsce w drodze referendum. Tak zaczyna się każda dyktatura.

I czas na puentę. Polakom żadna zmiana ustawy nie jest teraz potrzebna. Niedopuszczenie prezydenta elekta do złożenia przysięgi pod pretekstem jakichś wyroków europejskich trybunałów jest nierealne. Byłoby klasycznym zamachem stanu. Tego nikt by światu nie wytłumaczył. Dlatego nie sądzę, by prezydent i opozycja dali się nabrać na te podchody rządzących, które mają jedynie umożliwić zalegalizowanie pozawyborczego dojścia marszałka Hołowni do władzy prezydenckiej.

W tym całym działaniu jest także nadzieja. Bo dlaczego rządzący decydują się na tę całą szopkę? Nie czekają na formalne przejęcie urzędu prezydenta? Odpowiedź jest prosta – mają stracha, że ich kandydat nie jest wcale takim pewniakiem, jakim chcą go przedstawiać. Stąd szykują wariant awaryjny. Rumuński.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prawnikiem, profesorem na Wydziale Prawa i Administracji UKSW.

eprasa.pl fce8bbc297

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Z posłem Marcinem Romanowskim, byłym wiceministrem sprawiedliwości
rozmawia Karol Gac

Czerwona kartka dla reżimu Tuska

KAROL GAC: Jest pan pierwszym politykiem po 1989 r., który otrzymał azyl polityczny w innym państwie. Dlaczego zdecydował się pan na taki ruch i poprosił Budapeszt o pomoc?

MARCIN ROMANOWSKI: Powodów jest wiele i na pewno nie była to dla mnie łatwa decyzja. Zapewne prościej byłoby robić to, co do tej pory, czyli pozwalać na bezprawie w stosunku do mnie, zgłaszać się do nielegalnie przejętej prokuratury, dać się zamknąć w areszcie, ale myślę, że nie o to chodzi. Nie po to zostałem politykiem, by pozwalać na bezprawie. Azyl, który przyznała mi Republika Węgierska, jest czerwoną kartką pokazaną reżimowi Donalda Tuska przez europejskie państwo. To jasny sygnał do wspólnoty międzynarodowej, że w Polsce źle się dzieje.

Myślę, że czytelnicy „Do Rzeczy" doskonale wiedzą, co ma miejsce od roku. Przypomnę też, że w moim przypadku doszło do bezprawnego pozbawienia wolności w lipcu, co jest przestępstwem. Tego dokonali Adam Bodnar, podający się za prokuratora krajowego Dariusz Korneluk czy prokuratorzy, którzy cały czas próbują stawiać mi kolejne zarzuty. Do tego mieliśmy fałszowanie dowodów, nielegalne podsłuchiwanie czy grożenie mojemu adwokatowi. Przecież to są standardy białoruskie. Ten ciąg bezprawia skłonił mnie do oceny, że nie ma co liczyć na uczciwe postępowanie w Polsce.

Wydarzenia, o których pan wspomniał, miały miejsce przez ostatnie miesiące. Kiedy pan uznał, że dłużej nie ma to sensu i trzeba wystąpić o azyl polityczny?

Rozważałem różne argumenty za i przeciw. Ostatnio powtarzam jedno z moich ulubionych sformułowań sędziego Sądu Najwyższego USA Oliviera Holmesa, że nawet pies potrafi odróżnić kopniaka od przypadkowego nadepnięcia. W sytuacji, kiedy dochodzi do bezprawnego pozbawienia wolności, z naruszeniem prawa międzynarodowego, co potwierdzają prawomocnie sądy w dwóch niezależnych postępowaniach, a następnie ludzie za to odpowiedzialni nadal nadzorują i prowadzą postępowanie, stawiają kolejne zarzuty, wnioskują o areszt, to zapala się już czerwona lampka. Chodzi o problem systemowy, z którym mamy do czynienia w Polsce, która stała się państwem bezprawia, rządzonym przez bandytów, którzy trafią do więzienia, gdy stracą władzę, a stracą ją, bo żaden reżim nie trwa wiecznie. Chciałem skuteczniej przyczynić się do walki z tymi politycznymi bandytami w urzędniczych kołnierzykach, sędziowskich i prokuratorskich togach czy mundurach. Niestety, ale z taką sytuacją mamy do czynienia. Musiałem się zastanowić, w jakiej sytuacji i w jakim miejscu będę mógł być bardziej skuteczny. Nie ukrywam, że miałem też w tyle głowy myśl,

eprasa.pl fce8bbc297

że skoro Tuskowi tak bardzo zależy na tym, by mieć zamkniętego posła opozycji w areszcie, to w takim razie trzeba mu przeszkodzić.

Spodziewał się pan, że środki, które zaangażowano, by pana zatrzymać i osadzić w areszcie, będą tak duże? Potraktowano pana na równi z najgroźniejszymi przestępcami.

Od samego początku te środki były niewspółmierne i było to niczym strzelanie z armaty do wróbla. Jeśli popatrzymy obiektywnie na jakość zarzutów, pomijając w ogóle ich zasadność, a później na działania bodnarowców, to mamy jeden wielki absurd. Miałem takie poczucie choćby wtedy, gdy byłem wożony w lipcu w towarzystwie kilku zamaskowanych funkcjonariuszy, choć kilka dni wcześniej sam zgłosiłem się do prokuratury, ale mnie odprawiono z kwitkiem, bo potrzebowano medialnej ustawki.

Może w całej sprawie nie chodziło o pana, ale o byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę?

Nie jestem na tyle zadufany w sobie, żeby myśleć, iż chodzi o mnie. Co prawda, zalazłem za skórę temu towarzystwu jako wiceminister sprawiedliwości, ale niestety jeszcze nie na tyle, by wytaczać wobec mnie takie działa. Nie mam jednak wątpliwości, że chodziło o uderzenie w Zbigniewa Ziobrę, który działa jak czerwona płachta na Tuska, Bodnara, Giertycha i tę przestępczą bandę. Miałem być „wyjściem" na Ziobrę. Może zakładali, jak w przypadku ks. Olszewskiego, że nieludzkim traktowaniem wymuszą na mnie jakieś nieprawdziwe wyjaśnienia? Traktuję to jako uderzenie w środowisko dawnej Suwerennej Polski, która była nastawiona na walkę z lewacką ideologią i przestępczością w białych kołnierzykach. Mnóstwo kolegów Tuska znalazło się w aresztach za rzeczywistą korupcję. Bodnarowcy uderzają na oślep, licząc, że w końcu uda im się coś trafić. Mimo aresztów wydobywczych okazało się, że w sprawie dotacji dla Profeto nic nie było, bo wszystko było uczciwe. Już widzą, że usuwa im się grunt pod nogami. Nie ma ani chleba, ani igrzysk.

Jak zareagowali Węgrzy, gdy zwrócił się pan do nich z wnioskiem o azyl?

Moje relacje z Węgrami są wieloletnie. Bardzo dobrze i blisko współpracowaliśmy, gdy byłem wiceministrem sprawiedliwości, a wcześniej dyrektorem Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości. Węgrzy uważnie przyglądają się Polsce i doskonale zdają sobie sprawę z tego, co się u nas dzieje. Zarówno oni, jak i środowiska prawicowe z innych państw doskonale rozumieją, że Polska jest polem doświadczalnym dla niszczenia obozu konserwatywnego. Wszyscy patrzą na to z niepokojem. Zresztą to, co robią Tusk i Bodnar, to metody wypracowane przez środowiska powiązane z George'em Sorosem pierwotnie przeciwko Węgrom. Doskonale wiedzą, że to oni byli celem, więc obserwują, co by się u nich wydarzyło, gdyby Fidesz stracił w 2022 r. władzę. Faktem jest, że po wybuchu wojny na Ukrainie doszło niestety do ochłodzenia relacji Zjednoczonej Prawicy z Węgrami, a trzeba pamiętać, że nie dotyczyło to środowiska ówczesnej Suwerennej Polski. Władze węgierskie mają za zadanie dbać o interes narodowy Węgier. To nie musi się nam zawsze podobać, ale Viktor Orbán robił to zawsze perfekcyjnie. Mogę powiedzieć tylko tyle, że Węgrzy nie byli zaskoczeni moją prośbą. W obszernym wniosku przedstawiłem cały opis mojej sprawy, a także tego, co dzieje się w Polsce.

Pana sprawa zostanie zapewne umiędzynarodowiona. Polskie MSZ wezwało ambasadora Węgier w Polsce, by wręczyć mu protest, jak również zaprosiło na konsultacje ambasadora Polski w Budapeszcie. Do tego mamy zapowiedzi interwencji w UE.

Reakcje ze strony przedstawicieli reżimu koalicji 13 grudnia tylko potwierdzają moją wcześniejszą ocenę. Obnażono ich bezprawne działania, a dodatkowo nie będą sobie już mogli pozwolić na jawne i bezczelne organizowanie prześladowań politycznych, jak dotychczas. W Niemczech mamy polityczne trzęsienie ziemi, a w Stanach Zjednoczonych prezydentem zostanie za chwilę Donald Trump. W związku z tym obecne władze zostaną za chwilę na geopolitycznym marginesie, stąd takie nerwowe reakcje. „Licencja na zabijanie", którą dostali od USA Bidena i Niemiec Scholza, właśnie traci swoją ważność. Tusk i jego pomagierzy dokonali poważnych przestępstw, za które grozi wieloletnie więzienie. Myślę, że wiedzą, iż nie ujdzie im to na sucho. Do tego ich nieudolność w zarządzaniu gospodarką i państwem doprowadzi do tego, że ludzie lada moment wywiozą ich na taczkach. Moje zadanie będzie polegać m.in. na tym, by na tych taczkach zostali wywiezieni wprost do aresztów śledczych.

Pana ruch wywołał prawdziwą furię po stronie liberalno-lewicowej. W pierwszych reakcjach porównywano pana m.in. do Tomasza Szmydta, który uciekł na Białoruś, albo pisano wprost, że jest pan złodziejem. Co pan na to?

No cóż, było to takie przejechanie prętem po klatce, więc furia jest zrozumiała. Padają wtedy też słowa idące zdecydowanie za daleko. Będę miał teraz więcej czasu i możliwości, by dochodzić roszczeń z powodu naruszenia dóbr osobistych. Ta wściekłość jest kierowana w stosunku do całego środowiska PiS. Oni chcieliby widzieć wszystkich, którzy myślą inaczej niż oni, w aresztach. Boją się o własne interesy, stąd polityczne nagonki i prześladowania. Ten medialno-polityczny establishment przenika się ze sobą, tworząc jedną całość, co widzieliśmy np. podczas niedawnego spotkania w warszawskiej restauracji. Podchodzę jednak do tych ataków ze spokojem.

Nie obawia się pan, że pana ruch w odbiorze społecznym może być postrzegany jako przyznanie się do tego, co się panu zarzuca?

eprasa.pl fce8bbc297

Takie zagrożenie oczywiście jest. Jednakże działa też mechanizm, że jeśli ktoś przebywa w areszcie, to jest winny. Nie wszyscy interesują się prawem, rozumieją mechanizmy politycznej manipulacji i bazują na pewnych stereotypach. Jednak nawet z tego punktu widzenia łatwiej jest walczyć o prawdę, kiedy mogę ją komunikować. Chociażby dzięki tej rozmowie. Traktuję swoją emigrację jako zadanie. Jesteśmy w kluczowym momencie naszej historii. Jeśli w wyborach prezydenckich domkną system, to możemy stoczyć się poniżej poziomu niemieckiego landu. Nie chcę należeć do tego pokolenia, które zgasi światło polskiej państwowości. Chcę walczyć o suwerenną, chrześcijańską, silną Polskę, która będzie się rozwijała. Nigdy nie oczekiwałem nadzwyczajnego traktowania i nigdy przed niczym nie uciekałem.

Nie uciekam przed wymiarem sprawiedliwości, ale bronię się przed bezprawiem i walczę z nim. Żeby móc przedstawić swoje racje, to wymiar sprawiedliwości musi być bezstronny, apolityczny

To się jednak panu teraz zarzuca. Przypomina się też panu stare wypowiedzi i wpisy.

Nie uciekam przed wymiarem sprawiedliwości, ale bronię się przed bezprawiem i walczę z nim. Żeby móc przedstawić swoje racje, to wymiar sprawiedliwości musi być bezstronny, apolityczny, a w tym przypadku mamy do czynienia z dokładną odwrotnością. Walczę z bezprawiem, nie tylko w swojej sprawie, lecz także w sprawie każdego, kto musi dochodzić swoich spraw w sądzie czy urzędzie. Właśnie dlatego zadeklarowałem, że wrócę w ciągu sześciu godzin, jak tylko władza przestanie łamać prawo i zacznie uznawać wyroki SN, przywróci legalnych prezesów sądów, kierowników jednostek organizacyjnych prokuratury czy przestanie manipulować składami sędziowskimi.

Co pan planuje w Budapeszcie? Jak pan chce sprawować mandat posła, przebywając na Węgrzech?

Nie jest to niemożliwe, a wręcz otwiera nowe możliwości. Moje biura poselskie działają, będę otwierał w kolejnych miejscach. Traktuję mój pobyt na Węgrzech jako szansę. Budapeszt to obecnie lepsze miejsce niż Warszawa, by budować projekty i relacje. Budapeszt jest ośrodkiem koncentrującym relacje Europy Środkowej, Międzymorza, które są kluczowe dla Polski, a całkowicie zaniedbane przez reżim Tuska. Jednocześnie jest jedynym miejscem w Europie, które jest podstawą do budowania relacji transatlantyckich, przynajmniej w najbliższych latach. W tym zakresie będę działał na rzecz rzeczywistych interesów polskich.

Marszałek Sejmu Szymon Hołownia przekonuje, że trzeba zabrać panu uposażenie poselskie, ponieważ zdradził pan własne państwo.

Ludzie o mentalności klauna nie potrafią odróżnić interesów państwa od interesów swojej partyjnej szajki. Zresztą trudno oczekiwać czegoś więcej od człowieka, który nawet Collegium Humanum nie potrafił skończyć. Jest wielkim wstydem dla Polski, że ktoś taki jest drugą osobą w państwie. Nie miałem czasu jeszcze zająć się kwestiami formalnymi, ale na pewno będę jeszcze aktywniej działał – i w wymiarze ogólnopolskim, i na rzecz mojego regionu. Nie mam zamiaru pobierać jakichś nienależnych świadczeń. To dla mnie oczywiste i żaden marszałek rotacyjny nie musi mi o tym przypominać.

Już po otrzymaniu przez pana azylu Dariusz Korneluk poinformował, że prokuratura chce panu postawić kolejnych siedem zarzutów dotyczących „bardzo poważnych przestępstw natury kryminalnej związanych z wydatkowaniem przez pana w sposób przestępczy środków z Funduszu Sprawiedliwości". Nie wiadomo jednak na razie, o jakie zarzuty chodzi. Co pan na to?

Robi się ciekawie, bo „przestępstwa natury kryminalnej" to rozbój, kradzież z włamaniem czy wymuszenia rozbójnicze. Myślę, że podający się za prokuratora krajowego powinien się raczej douczyć prawa karnego, a może podnieść kompetencje i przestać zachowywać się jak niskich lotów PR-owiec. Na wszystko będzie miał już niedługo czas, bo sam dopuścił się licznych przestępstw, zwłaszcza udziału w zorganizowanej grupie przestępczej i siłowej zmiany ustroju państwa przez bezprawne przejęcie Prokuratury Krajowej. Za to grozi dożywotnia odsiadka. Swoją drogą ogłaszanie nowych zarzutów na konferencji prasowej z udziałem polityka najlepiej pokazuje ich charakter. Z chęcią się do nich odniosę, jak je poznam. Oczywiście spodziewałem się, że będą. Nie mam wątpliwości, że były przygotowywane na kilka kolejnych przedłużeń aresztu wydobywczego, który chcieli mi zaserwować.

Podczas świąt Bożego Narodzenia dowiedzieliśmy się też, że 19 grudnia na polecenie prokuratury zamaskowani policjanci weszli do klasztoru św. Stanisława o. Dominikanów w Lublinie. Rzekomo miał pan być tam widziany.

Sprawa jest bulwersująca, bo poza naruszeniem procedury karnej i konkordatu to kolejny akt buty i opiłowywania katolików. Wszystko wydarzyło się w czasie, kiedy rzekomo znali każdy mój ruch za granicą i przygotowywali wniosek o Europejski Nakaz Aresztowania i czerwoną notę Interpolu. Pytanie: Kiedy kłamali? W uzasadnieniu postanowienia o przeszukaniu w Lublinie czy w uzasadnieniu wniosków o te międzynarodowe narzędzia? Dlatego zwróciłem się o ujawnienie wszystkich materiałów z postępowania i dowodów w tym zakresie. Jeśli wszystko było lege artis, to niech pokażą transparentność. Te sprawy z punktu widzenia procesowego są incydentalne, ale są fundamentalne dla naszej tożsamości, bo ostatnie najazdy na budynki zakonne były w stanie wojennym. A mieszkańcom Lubelszczyzny kojarzą się z bandami banderowców, niemieckimi zbrodniarzami czy strzelającymi na oślep pijanymi czerwonoarmiejcami. Teraz te wyssane z mlekiem matki „tradycje" przejęli Bodnar z Kornelukiem i Tusk z Siemoniakiem. Telewizję zajęli siłą przed Bożym Narodzeniem, ks. Michała zatrzymali w Wielkim Tygodniu przy stosowaniu tortur, teraz też „wykazali się" w okresie przedświątecznym. Sprowadzają Polskę do poziomu Rosji i Białorusi. Musimy z tym walczyć i to zmienić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fce8bbc297

Kim pan jest, panie Morawiecki?

Łukasz Warzecha

Polityczna twórczość byłego premiera prowokuje, by zadać nieco filmowe pytanie: Kim pan jest, panie Morawiecki? Łatwiej może odpowiedzieć na pytanie, kim były premier na pewno nie jest. Otóż na pewno nie jest tym, kim stara się prezentować w swoich filmikach, reklamówkach i wystąpieniach

Niestrudzony wojownik o polską suwerenność. Pogromca Zielonego Ładu. Niezłomny patriota i strażnik osobistej wolności polskich obywateli. Taki jest Mateusz Morawiecki, były premier. Przynajmniej jeśli wierzyć jego coraz natrętniejszej autoreklamie, którą od momentu przegranych przez PiS wyborów były szef rządu uprawia namiętnie.

Mateusz Morawiecki nie został co prawda kandydatem PiS na prezydenta – czego bardzo chciał – ale za to doczekał się stanowiska przewodniczącego międzynarodowej grupy politycznej Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy, które objął jako następca premier Włoch Giorgii Meloni. Reprezentująca tę strukturę polityczną grupa w Parlamencie Europejskim jest pod względem liczebności na czwartym miejscu. Najwięcej członków pochodzi z ugrupowania pani Meloni Bracia Włosi (24 osoby) i z PiS (20 osób). Wśród grup prawicy EKR ustępuje nowo założonym Patriotom dla Europy, do której przenieśli się posłowie hiszpańskiego VOX oraz w której zasiadają reprezentanci węgierskiego Fideszu, a także polskiego Ruchu Narodowego (części Konfederacji).

Stanowisko szefa europejskiej partii – czyli specyficznego tworu, zrzeszającego ugrupowania z różnych krajów UE – nie jest może specjalnie eksponowane, ale wiele zależy od tego, jak wykorzysta je dana osoba. Donald Tusk po zakończeniu kadencji na stanowisku przewodniczącego Rady Europejskiej był przewodniczącym działającej na analogicznych zasadach Europejskiej Partii Ludowej (mającej wciąż największą grupę w Parlamencie Europejskim) i wykorzystywał to miejsce dla autopromocji. Jeśli Morawiecki o to zadba – a wszystko wskazuje na to, że tak właśnie będzie – to będzie miał szansę wylansować się na swoim nowym stanowisku, jeszcze wyraźniej ustawiając się w roli zbawcy europejskiej prawicy, obrońcy tradycji i wolności. No i oczywiście znaczącego pretendenta do zajęcia miejsca po Jarosławie Kaczyńskim.

POD CZYM PODPISAŁ SIĘ PREMIER

Problem w tym, że autokreacja Morawieckiego jest w dużej części nieprawdziwa. Były premier za pomocą przede wszystkim niezwykłej aktywności w mediach społecznościowych próbuje przekonywać nas, że był kimś innym, niż był faktycznie.

Najwięcej czasu i wysiłku Morawiecki poświęca na walkę z najczęściej powtarzanym zarzutem dotyczącym zgody na pakiet „Fit for 55", czyli redukcję emisji CO_2 o 55 proc. do roku 2030 w relacji do roku 1990 (od tego czasu cel został jeszcze bardziej zaostrzony i wynosi obecnie 90 proc. do roku 2040, co zdaniem ogromnej części ekspertów jest całkowicie nierealistyczne). Wypowiedzi byłego premiera na ten temat było w ostatnim czasie sporo. Między innymi bronił się przed tym zarzutem w wyjątkowo jak na siebie długim, 20-minutowym filmie na własnym kanale na YouTube. Na wstępie Morawiecki stwierdził, że ci, którzy oskarżają go o „podpisanie Fit for 55", nie rozumieją, jak działa Unia Europejska. Tyle że on sam w swoich wyjaśnieniach właśnie na tej niewiedzy żeruje.

Przeanalizujmy tę kwestię. Czym są konkluzje ze spotkań Rady Europejskiej, czyli gremium gromadzącego szefów rządów i ewentualnie głowy państw członkowskich? Nie są źródłem prawa – i tu Morawiecki ma rację – ale nie są to także dokumenty bez znaczenia. W UE prawo inicjatywy ustawodawczej ma jedynie Komisja Europejska, jednak kierunek polityki unijnej wyznacza właśnie Rada Europejska.

Jaki zatem kierunek wyznaczyła 10 i 11 grudnia 2020 r., pod czym – rezygnując z weta – swój podpis złożył ówczesny premier? Konkluzje z tamtego szczytu liczą sobie 14 stron. Dla Polski ważne są zwłaszcza dwa ich rozdziały: pierwszy, poświęcony funduszom Next Generation EU – czyli KPO, oraz trzeci, poświęcony „zmianom klimatu". Zresztą Morawiecki jakoś zadziwiająco milczy o tej pierwszej z wymienionych kwestii. Zapewne dlatego, że w tym właśnie rozdziale zawarto zapowiedź powołania mechanizmu warunkowości, znanego jako system „pieniądze za praworządność", rzekomo w celu ochrony właściwego wykorzystania unijnych funduszy. Doskonale jednak wiemy, że tak naprawdę jest to mechanizm finansowego szantażu – sposób na wymuszenie politycznego posłuszeństwa państw, które zdecydowałyby się rzucić wyzwanie mainstreamowi. Mateusz Morawiecki złożył pod tym swój podpis, a konsekwencje znamy.

Z kolei rozdział poświęcony zmianie klimatu jest wyjątkowo konkretny jak na konkluzje szczytu RE, które na ogół są utrzymane w ogólniejszym tonie. Czytamy w nim: „Aby sprostać celowi neutralności klimatycznej UE do roku 2050, zgodnie z celami porozumienia

eprasa.pl fce8bbc297

paryskiego, Unia musi zwiększyć swoje ambicje na nadchodzącą dekadę i zaktualizować swój mechanizm klimatu i polityki energetycznej. W tym celu Rada Europejska popiera [endorses] wiążący cel redukcji wewnętrznych emisji gazów cieplarnianych netto o przynajmniej 55 proc. do roku 2030 w relacji do roku 1990. Apeluje do kolegislatorów o zawarcie tego nowego celu w propozycjach europejskiego prawa klimatycznego i o jak najszybsze jego przyjęcie".

To nie wszystko. W rozdziale znajdziemy również apel o wzmocnienie systemu ETS, czyli mechanizmu handlu emisjami – tego samego, który kosztował polski przemysł, elektrownie i ciepłownie miliardy złotych. Jest tam również zalecenie dla Komisji Europejskiej, aby stworzyła międzynarodowy standard „zielonych obligacji" dla finansowania transformacji energetycznej, a także zalecenie, aby utworzyć graniczny mechanizm zapewniający „środowiskową integralność" zielonej polityki UE. Taki mechanizm został wkrótce zaprojektowany. To Carbon Border Adjustment Mechanism (CBAM), znany też jako cło węglowe. W uproszczeniu chodzi o to, żeby europejskim producentom lub importerom nie opłacało się sprowadzać surowców czy produktów spoza Unii, z krajów, które nie mają mechanizmów chroniących klimat. Za takie produkty trzeba będzie na granicy UE uiścić specjalną opłatę, która ma wyrównywać koszt wyemitowanego w trakcie produkcji lub wydobycia dwutlenku węgla. Inaczej mówiąc, UE, zdając sobie sprawę z tego, że jej polityka klimatyczna w rynkowych warunkach oznaczałaby ucieczkę produkcji i wydobycia poza jej granice, stara się temu zapobiec, obciążając gospodarkę kolejnymi kosztami.

„WYBITNE" DOKONANIA

Co na temat swojego podpisu pod tym dokumentem mówi Morawiecki? Twierdzi, że konkluzje rady nie mają znaczenia, ponieważ nie są źródłem prawa, a Komisja Europejska uruchomiła pakiet „Fit for 55" w formie 14 dyrektyw, z których wszystkie głosowane były większością kwalifikowaną przez Radę UE (czyli ciało złożone z odpowiednich dla danej dziedziny ministrów lub stałych przedstawicieli krajów członkowskich). Polska zaś nie miała mniejszości blokującej. I stwierdza, że KE zrobiłaby to samo również, gdyby zawetował konkluzje.

Tu właśnie mamy do czynienia z manipulacją. Faktycznie, KE w teorii mogła nie zwracać uwagi na to, że wskutek polskiego weta konkluzje w ogóle nie zostałyby uchwalone (tak czasami bywa). Ale to teoria. W praktyce to konkluzje dają polityczną podstawę dla działań Komisji. Gdyby więc Mateusz Morawiecki w grudniu 2020 r. postawił twarde weto zaostrzeniu polityki klimatycznej oraz mechanizmowi warunkowości, w najlepszym wypadku „Fit for 55" nie zostałoby zrealizowane do momentu znalezienia formy bardziej akceptowalnej dla Polski – bardzo możliwe, że ostatecznie wyznaczony próg redukcji musiałby być niższy, a więc i dzisiaj nie mielibyśmy nowego, 90-procentowego celu, a w najgorszym zostałoby przynajmniej opóźnione. Mechanizm „pieniądze za praworządność" zaś mógłby w ogóle nie zostać wdrożony. Komisja Europejska nie może bowiem kompletnie abstrahować od postanowień Rady – te są dla niej kluczowym politycznym sygnałem.

Czy można się dziwić, że Morawiecki faktycznie wspierał unijną politykę klimatyczną, skoro podczas szczytu klimatycznego COP 24 w Katowicach w 2018 r. z dumą oznajmiał: „W 2015 r. Polska z Unią Europejską przedłożyła zobowiązanie do ograniczenia emisji o 40 proc. w 2040 r. i jest to najambitniejsze zobowiązanie spośród wszystkich stron porozumienia paryskiego"? To pan Morawiecki był również zwolennikiem wspólnych europejskich podatków – nie tylko cyfrowego, lecz także podatku od śladu węglowego! Swoje wystąpienia na ten temat – takie jak to w Sejmie z kwietnia 2020 r. – wolałby zapewne dzisiaj zapomnieć.

O innych swoich „wybitnych" dokonaniach Morawiecki wspomina mniej chętnie. Dziełem jego rządu jest kształt polskiego Krajowego Planu Odbudowy. Warto przypomnieć, jak ówczesny premier puszył się wielokrotnie tym, że KPO wynegocjował jego rząd. Nie za bardzo chwalił się jednak warunkami całego pakietu. Przypomnijmy więc, na czym to wiekopomne osiągnięcie polegało i jakie miało skutki dla zakresu naszej suwerenności oraz polskich obywateli.

KPO (bazujący na unijnym Funduszu Odbudowy i Zwiększania Odporności), oficjalnie mający wspierać odbudowę po pandemii COVID, faktycznie w największej części musi wspierać „zieloną transformację" (42,7 proc.), a w blisko jednej czwartej (23,3 proc.) – cyfryzację. Nie są to zatem pieniądze, które rzeczywiście wspomagają gałęzie gospodarki, pokrzywdzone COVID-em.

Dziewięć transz polskiego KPO to wsparcie bezzwrotne (23,8 mld euro), a kolejnych dziewięć to pożyczka (8,6 mld euro). W sumie mówimy zatem o ok. 140 mld zł – to niespełna jedna czwarta rocznych dochodów polskiego

eprasa.pl fce8bbc297

FOT. FILIPPO MONTEFORTE/AFP/EAST NEWS

budżetu. Jednak podział na pożyczki i pieniądze bezzwrotne jest złudny – faktycznie całość funduszu jest finansowana ze wspólnie zaciągniętego przez Unię kredytu, który Polska jest zobowiązana spłacać.

Do każdej z 18 transz pieniędzy, zawierających od ok. 1 do 4 mld euro, przypisane są oddzielne kamienie milowe i warunki. To rząd Morawieckiego zgodził się zatem na takie zobowiązania jak kamienie milowe E3G i E4G, czyli dodatkowe podatki od rejestracji i posiadania samochodów spalinowych. Prezydent dopiero co podpisał nowelizację Ustawy o elektromobilności wprowadzającą obowiązkowe strefy czystego transportu w miastach powyżej 100 tys. mieszkańców, gdzie zostaną przekroczone normy dwutlenku azotu. Takie miasta są obecnie w Polsce – oprócz Warszawy i Krakowa – cztery. Nowelizacja jest realizacją kolejnych kamieni milowych KPO: E1G – „obowiązek zakupu przez operatorów oraz organizatorów publicznego transportu zbiorowego tylko zeroemisyjnych autobusów w miastach powyżej 100 tys. mieszkańców, począwszy od 1 stycznia 2026 r." – oraz E1L – wprowadzenie wspomnianych SCT.

To również z KPO wynika obowiązek ozusowania umów cywilnoprawnych, który sprawiłby, że kilka milionów ludzi dostałoby na rękę radykalnie niższe wynagrodzenia. Tę zmianę na razie powstrzymała obecna władza.

Nie sposób dociec, kto konkretnie stał za opisanymi warunkami, będącymi realizacją totalniackiej polityki Zielonego Ładu – nikt z rządu Morawieckiego się do tego nie przyznaje, choć nie ma wątpliwości, że odpowiedzialność polityczną ponosi on sam. A pamiętać trzeba, że KPO zawierał także warunki i kamienie milowe wkraczające w sferę najściślej pojmowanej suwerenności: wymiar sprawiedliwości czy nawet regulamin Sejmu.

Gdy nieliczni analitycy czy publicyści (z satysfakcją przypominam, że byłem w tym gronie) próbowali wskazywać na zagrożenia wynikające z listy wskaźników i kamieni milowych, Morawiecki mówił, że „99 proc. tych wskaźników jest w interesie Polski". I stwierdzał, że krytycy KPO „leją wodę na młyn ruskiej propagandy".

UDAWANY KONSERWATYZM

Skoro zaś tłem dla powstania Funduszu Odbudowy i Wspierania Odporności była pandemia COVID, to trzeba wspomnieć o tym, że to pod rządami Mateusza Morawieckiego łamano w Polsce podczas pandemii prawo, nasyłano policję na przedsiębiorców, drastycznie ograniczano prawa obywateli, a starając się ograniczyć katastrofalne skutki własnych błędów, wrzucono w gospodarkę ponad 200 mld zł w postaci tarcz antycovidowych – tym „osiągnięciem" także lubi się były premier chwalić. Premier, który uwielbia się dzisiaj prezentować jako zagorzały konserwatysta, poprzez wydawane przez jego rząd rozporządzenia przyczynił się również walnie do osłabienia polskiego Kościoła, narzucając mu drakońskie normy liczby osób w świątyniach lub nawet wymuszając ich zamknięcie. Nieposłuszni, a wierni swojej misji kapłani, byli ścigani przez policję i sanepid.

Wybitny obrońca tradycyjnych wartości i polskiej suwerenności ma również na sumieniu zaniechanie w postaci niewypowiedzenia przez Polskę konwencji stambulskiej, wprowadzającej do polskiego porządku prawnego pojęcia takie jak „płeć społeczno-kulturowa". Nie powinno więc również dziwić, że w czerwcu 2024 r., gdy Sejm głosował nad lewackim projektem zmiany definicji gwałtu w Kodeksie karnym, Morawiecki nie dołączył do zwolenników odrzucenia projektu – których w klubie PiS było zresztą jedynie 26 – ale kunktatorsko wstrzymał się od głosu.

To oczywiście jedynie kilka wątków politycznej twórczości byłego premiera. Ale już te wystarczą, żeby zadać nieco filmowe pytanie: Kim pan jest, panie Morawiecki? Łatwiej może odpowiedzieć na pytanie, kim były premier na pewno nie jest. Otóż na pewno nie jest tym, kim stara się prezentować w swoich filmikach, reklamówkach i wystąpieniach. Kim natomiast jest naprawdę – poza tym, że napędza go niespożyta, może nawet chorobliwa ambicja – tego możemy się jedynie domyślać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Sprostowanie

W artykule opublikowanym 14 sierpnia 2023 r. w tygodniku „Do Rzeczy" pt. „Oskarżeni o normalność" zawarto nieprawdziwe informacje dotyczące Pawła Kostowskiego o tym, że:

1. w swoich publikacjach P. Kostowski hejtuje członków wspólnoty ks. Łukasza Kadzińskiego, w sytuacji gdy publikuje prawdziwe informacje na jej temat oparte na rzetelnych źródłach, a nie atakuje jej poszczególnych członków;
2. P. Kostowski odszedł ze wspólnoty 12 lat temu i zniknął, w sytuacji gdy do 2013 r. był jej aktywnym członkiem, a do czerwca 2023 r. utrzymywał kontakt z innymi członkami i brał udział w publicznych wydarzeniach z ich udziałem;
3. P. Kostowski opisuje w swoich publikacjach rzeczywistość, której nie zna, gdyż odszedł ze wspólnoty, zanim M. Kozerski i J. Sawicki zostali ojcami, w sytuacji gdy P. Kostowski pozostawał aktywnym członkiem wspólnoty, gdy ww. osoby zostały rodzicami, a w swoich materiałach opisuje rzeczywistość na podstawie rzetelnie zebranych i zweryfikowanych materiałów;
4. P. Kostowski robi filmy atakujące egzorcyzmy, w sytuacji gdy P. Kostowski sprzeciwiał się zakazowi egzorcyzmów, a jego film piętnował molestowanie seksualne, którego dopuszczał się ksiądz, a nie same egzorcyzmy.

Paweł Kostowski

eprasa.pl fce8bbc297

Z dr. Arturem Bartoszewiczem, ekonomistą ze Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie
rozmawia Ryszard Gromadzki

Nowy Kościuszko potrzebny od zaraz

RYSZARD GROMADZKI: Polska i jej system gospodarczy są już w takim punkcie, w którym niezbędna jest końska kuracja na wzór tej zaaplikowanej Argentynie przez jej prezydenta Javiera Mileia?

DR ARTUR BARTOSZEWICZ: Może nie aż tak radykalna kuracja. Ale z pewnością powinna ona objąć decydentów. Gospodarka w Polsce niestety jest intensywnie uzależniona od decyzji politycznych bieżących podejmowanych w kraju. Ale również oparta jest na decyzjach, które zapadają poza Polską, w Unii Europejskiej. Pomijam już oddziaływania ze strony wielkich międzynarodowych korporacji, które prowadzą własną politykę. Prawodawstwo, reguły i ideologie, które są nam narzucane, idą do nas z Unii Europejskiej, a polska gospodarka bezpośrednio odczuwa ich skutki.

Co do terapii zaradczej, sądzę, że w pierwszym kroku konieczne jest odszokowanie efektów wszystkich tych precyzyjnie zaplanowanych decyzji, bardzo negatywnie oddziaływujących na stan gospodarki wewnątrz polskiego państwa. Przejawiają się one m.in. w zaniechaniu kluczowych inwestycji, uderzeniu w stabilność społeczną, proces edukacji, a tym samym w ograniczaniu pewności i jakości kapitału ludzkiego, a co za tym idzie – degradacji kapitału społecznego. Ponadto nakładaniu na nas obciążeń związanych z ideologią Europejskiego Zielonego Ładu w postaci systemu ETS1, a wkrótce ETS2, bardzo dotkliwie uderzających w polską gospodarkę poprzez obniżanie rentowności i konkurencyjności naszych przedsiębiorstw. Nie jestem zwolennikiem terapii, które dodatkowo, poza tym, co zostało nam narzucone, skutkowałyby budowaniem nowych obciążeń opartych na jakiejś ideologii. To może skończyć się katastrofą gospodarczą, bo przedsiębiorstwa nie wytrzymają presji ze strony państwa albo państwo nie wytrzyma, gdyż efektem rewolucji w systemie podatkowym będzie utrata zdolności państwa do zaspakajania podstawowych potrzeb obywateli.

Javier Milei postawił na totalną deregulację i kontrolę wydatków rządu. Podobną ścieżką zamierza pójść nowa administracja tworzona przez prezydenta elekta Donalda Trumpa. Czy nie przydałoby się nam porządne ministerstwo deregulacji, które rozpędziłoby na cztery wiatry armię nikomu niepotrzebnych urzędników?

Doświadczenie uczy, że w Polsce ciała deregulacyjne produkowały kolejne regulacje. Dlatego byłbym bardzo ostrożny w założeniu, że rozwiązaniem problemu biurokracji w Polsce będzie zbudowanie nowej struktury biurokratycznej.

To jak w takim razie odciąć łeb tej hydrze?

Istota pomysłu, który ujawnił się w Argentynie, polega na tym, że tam likwiduje się zbędne instytucje. Nie widzę potrzeby utrzymywania większości ministerstw w Polsce, np. Ministerstwa Sportu i Turystyki.

Umówmy się, że wymienię kilka resortów, a pan oceni, czy są one potrzebne czy nie. Zacznijmy od Ministerstwa Równości...

Ministerstwo Równości nie jest do niczego potrzebne. To jest wyłącznie struktura kosztowa. Wystarczyłoby w zupełności, żeby w Ministerstwie Kultury funkcjonowała osoba, która zajmowałaby się roztropnym monitorowaniem zjawisk dyskryminacyjnych. Jeżeli rzeczywiście występują one w przestrzeni społecznej, to należy je identyfikować i ograniczać, ale na pewno nie potrzeba do tego specjalnego ministerstwa.

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej...

Nie widzę powodu, żeby nie zastąpić go małą sprawną agencją wykonawczą, która zajmowałaby się dystrybucją środków w ramach pomocy społecznej, plus powiatowe i wojewódzkie urzędy pracy. Tym bardziej że gros świadczeń w Polsce ZUS realizuje poprzez współpracę z systemem bankowym. Niepotrzebne ministerstwo.

Czy sens ma Ministerstwo Klimatu i Środowiska?

Ministerstwo Klimatu jest ideologiczną wydmuszką, która obciąża całą gospodarkę. Do likwidacji.

eprasa.pl fce8bbc297

FOT. MAREK WIŚNIEWSKI/PULS BIZNESU/FORUM

Lista ministerstw do likwidacji jest pewnie znacznie dłuższa.

Idźmy po kolei. Myślę, że warto uświadomić społeczeństwu to, co jest na pewno do utrzymania.

Resorty obrony, bezpieczeństwa wewnętrznego i gospodarki nie wystarczą?

Dodajmy do tego zestawu Ministerstwo Kultury.

Ministerstwo Kultury?

Tak. Uważam, że Ministerstwo Kultury z Dziedzictwem Narodowym jest instytucją bardzo w Polsce niedocenianą, sprowadzaną ro roli drugorzędnej. A przecież budowanie tożsamości narodowej jest fundamentem.

To stan idealny, ale kiedy resort kultury obsadzony jest przez lewicowych radykałów, jak obecnie, o budowaniu tożsamości narodowej można zapomnieć.

To inny problem, związany z dopuszczeniem przez społeczeństwo w procesie wyborczym do poddania się ideologii. Uważam, że edukacja i kultura powinny być ze sobą połączone, bo tworzy to efekt narodowotwórczy. Ogromnym problemem jest, że każdorazowo kiedy środowiska lewicowe dochodzą do władzy, domagają się wpływu na tworzenie reguł w szkolnictwie. Od poziomu podstawowego do wyższego.

Bez tego nie da się budować ich „nowego wspaniałego świata"...

Jest pytanie o resort, który nazwałbym Ministerstwem Jakości Życia. Czyli instytucję, która łączyłaby cały proces życiowy Kowalskiego, a więc Ministerstwa Zdrowia, Sportu i Edukacji. Drugi newralgiczny obszar to Ministerstwo Gospodarki, które powinno kształtować reguły dla biznesu. Tam też powinny być aktywa państwowe – spółki Skarbu Państwa.

A więc Ministerstwo Infrastruktury do likwidacji?

Ministerstwo Infrastruktury nie jest do niczego potrzebne. Potrzebna jest silna agencja wykonawcza, która realizuje programy rozwojowe w obszarze infrastruktury, wobec których decyzje zapadają na Radzie Ministrów. Przy czym nie powinna się ona składać z ponad 114 ministrów, jak jest obecnie, ale maksymalnie z 7–10, którzy poprzez agencje wykonawcze realizują działania w państwie.

A kto nakarmi partyjną klientelę?

Proszę zwrócić uwagę, że globalnymi koncernami kierują zarządy liczące od 5 do 10 osób. Ja rozumiem, że chcemy zaspokoić potrzeby wszystkich, którzy chcą mieć w CV epizod rządowy i zyskać przywileje emerytalne w postaci wejścia do rządowej „R", ale to rujnuje państwo. Rozmawiam z ministrami tworzącymi rząd w czasie kadencji PiS oraz obecnie i muszę stwierdzić, że poziom intelektualny wielu tych ludzi jest przerażająco niski. Co gorsza, doszedł do tego w czasie obecnej kadencji „marsz przez instytucje". Środowiska marksistowskie umieściły swoich ludzi na poziomie dyrektorów departamentów. Lewicowe organizacje zatroszczyły się o to, żeby ich działacze rozsiedli się w strukturach rządowych. To oznacza paraliż państwa przez kolejne lata. Żeby było jasne, równie duży dystans miałem wobec ludzi, którzy rządzili Polską w okresie kadencji PiS. Jednostki były do rozmowy, zdecydowana większość nie była przygotowana do sprawowania władzy. Tak było wtedy i tak jest dziś.

Zgodzi się pan z poglądem, że jednym z głównych problemów polskiego państwa jest marnotrawstwo zasobów?

Na pewno mamy do czynienia z marnowaniem potencjału, to bezwzględnie. Nie potrafimy wymierzyć i wyważyć

eprasa.pl fce8bbc297

tego, co posiadamy. Mamy wbudowaną od lat awersję do tego, co jest polskie, co jest polskością, co jest nasze. Wszystko, co jest z nami związane, jest niższej wartości. Ekscytujemy się tym, co pochodzi z zewnątrz. To także efekt 45 lat komuny, marzyliśmy o dobrach zewnętrznych jako czymś lepszym. Od lat okres transformacji bardzo się temu przysłużył, jesteśmy przygotowywani do nienawidzenia państwa polskiego. Ten zabieg jest cały czas skutecznie realizowany, a jego finałem ma być odrzucenie państwa polskiego przez większość Polaków. Proces, który opisuję, ma swoje odniesienia historyczne. W przeszłości też szukaliśmy władcy naszego państwa za granicą. Potrafimy obrzydzić sobie Polskę i polskość. Za to nie potrafimy właściwie wycenić naszych zasobów i potencjału. Oddajemy się pod władzę hegemona europejskiego. Współcześnie tym hegemonem będzie państwo europejskie. Wielu z nas z dumą przyznaje się, że bardziej czuje się Europejczykami niż Polakami. Jesteśmy jako naród bardzo podatni na taki przekaz.

W jednym z wywiadów powiedział pan, że polska gospodarka, polscy przedsiębiorcy są w stanie okupacji. Kto nas okupuje? Unia Europejska? Globalne korporacje? Własny rząd, który wykonuje ich rozkazy?

Tym okupantem są siły i ludzie, którzy z premedytacją obniżają wartość polskiej gospodarki i naszych przedsiębiorstw. Mamy do czynienia również z okupantem zewnętrznym, czyli Unią Europejską, która kształtując reguły, nie widzi nas w roli realnego beneficjenta. W praktyce jesteśmy przestrzenią, z której czerpie się korzyści. W momencie, kiedy kwestionujemy prawo zewnętrznych gospodarek do czerpania korzyści z naszej gospodarki, automatycznie pojawiają się reperkusje, łącznie z nakładaniem kar. Okupant nakłada kary. Właśnie to robi Komisja Europejska wobec polskiego państwa i społeczeństwa, wobec polskich przedsiębiorców, dyskryminując ich w relacji z podmiotami zewnętrznymi. Okupantem wewnętrznym są osoby, które pełnią funkcje władcze, które działają nie w interesie polskiej gospodarki. Ktoś, kto działa przeciw interesom polskiej gospodarki, faktycznie dokonuje jej okupacji.

W Polsce nie brakuje ludzi wielkiego formatu. Niestety, nie uczestniczą oni w realnym życiu politycznym

Widzi pan na scenie politycznej siły, środowiska, które wyrwałyby Polskę spod tej okupacji?

W Polsce nie brakuje ludzi wielkiego formatu. Niestety, nie uczestniczą oni w realnym życiu politycznym. Dwie największe partie polityczne stworzyły u nas partiokrację. Platforma i PiS (jedna partia PO-PiS) zawłaszczyły sobie państwo, a właściwie zawłaszczyło je dwóch ludzi, czyli liderzy tych ugrupowań, którzy nie dopuszczają do zmiany tego fatalnego status quo. Nie mam żadnych oczekiwań co do Donalda Tuska. Miałem duże oczekiwania wobec Jarosława Kaczyńskiego. Niestety, okazało się, że nie potrafił on wyjść poza swoje rozumienie partii politycznej jako spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Mając w otoczeniu wielkich ludzi, nie potrafił zadbać o to, żeby znaleźli się oni w rządzie w ciągu ostatnich ośmiu lat. A teraz nie potrafi doprowadzić do sytuacji, w której ci ludzie zostaliby zaproszeni przez niego do tworzenia bezpiecznej i mądrej odpowiedzi, co realizuje marksistowski rząd koalicji 13 grudnia. Przykładem tego jest niestety proces delegowania pomysłu na prezydenta Rzeczypospolitej. To nie tak powinno być. Nie takiego formatu kandydata powinniśmy wystawić w zderzeniu ze środowiskiem marksistowskim. I to jest wielki problem. Nawet jeśli do dyspozycji są osoby odpowiedniego formatu, to są one traktowane jako zagrożenie dla działaczy partyjnych. Takich ludzi się prewencyjnie dyskryminuje, żeby nadto nie wyrośli. To pokazuje, że szczytne hasła, które PiS obnosi na sztandarach, że tylko on może obronić Polskę, to kłamstwo. Polska jest dziś zagrożona. Jeśli niepodległość jest zagrożona, jeśli jesteśmy skolonizowani w wymiarze społeczno-gospodarczym, to rezygnuje się z własnych ambicji i buduje silną armię wyzwoleńczą, która składa się z najlepszych jednostek w Rzeczypospolitej, nie dba się o własny interes, tylko o interes Rzeczypospolitej. A mija rok, od kiedy obecnie rządząca koalicja dokonuje destrukcji państwa polskiego.

... żadnej armii wyzwoleńczej na horyzoncie nie widać...

Nie widać. Nie ma nawet chęci, żeby uznać, że wielkie osobowości, które powinny być wystawione, pozostały na uboczu. Tak się stało podczas wyborów samorządowych w Warszawie, kiedy przeciw Trzaskowskiemu wystawiono trzeciorzędnego kandydata. Tak się stało w wyborach do Parlamentu Europejskiego, kiedy doprowadzono do sytuacji, w której Jacek Saryusz-Wolski, pierwszej klasy ekspert, został wyeliminowany z tworzenia silnego potencjału obronnego Rzeczypospolitej w Parlamencie Europejskim, a zaspokojono potrzeby panów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, bo to było priorytetem dla PiS. To wszystko wiele mówi. Zamiast wystawić prawdziwego kolosa jako kandydata w wyborach prezydenta Rzeczypospolitej, mamy udawanie kandydata obywatelskiego.

Powtórzę raz jeszcze: sytuacja wymaga tego, żeby w obronie Rzeczypospolitej wystawić w wyborach prezydenckich kolosa. Potrzebny jest drugi Kościuszko. Człowiek mądry i odważny, który niczego się nie lęka i nie jest „lepiony" w czasie kampanii.

Jeżeli ludzie, którzy aspirują do tego, żeby bronić Rzeczypospolitej, tworzą głowę państwa w trakcie kampanii, to znaczy, że we własnym interesie, w interesie swojej partii narażają Rzeczpospolitą na utratę suwerenności i niepodległości. Bo nawet jeśli im się uda i ostatecznie zdobędą Pałac Prezydencki, to pojawia się pytanie, jaka wielkość zabezpieczy interes Rzeczypospolitej. Nie sztuką jest zdobyć Pałac, sztuką jest utrzymać i rozwinąć potencjał Rzeczypospolitej. Mam ogromny problem w zrozumieniu tego, co próbuje mi się wmawiać. Polscy politycy nie komunikują społeczeństwu prawdziwego stanu państwa i zagrożeń, które przed nami stoją. Oni prowadzą nas do katastrofy. Zdrada w Polsce powinna być rozliczona. Dlatego powtarzam: potrzebny jest nam nowy Kościuszko, bo za jego czasów, co w naszych dziejach jest czymś wyjątkowym, potrafiliśmy rozliczać zdradę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fce8bbc297

Ośmiorniczki 2, czyli strachy i frustracje elity

Rafał A. Ziemkiewicz

Sam fakt, że „likwidatorzy" państwowej telewizji i Polskiej Agencji Prasowej imprezują razem z tymi, którym zawdzięczają posady i których rządy propagandowo osłaniają, wydaje się równie naturalny, jak ich udział w zebraniu partyjnym. Zastanawiające jest co innego: niezwykła nerwowość, z jaką uczestnicy spotkania zareagowali na fakt jego ujawnienia

Reporterzy Telewizji Republika wytropili i nagłośnili świąteczną biesiadę w luksusowej warszawskiej restauracji, na której spotkali się politycy rządzącej koalicji, ich sponsorzy oraz szefowie i funkcjonariusze rządowych mediów. W komentarzach do tej sprawy przeważało oburzenie, że „dziennikarze" imprezują wspólnie ze swoimi politycznymi mocodawcami – znalazło ono wyraz także w wypowiedziach osób i mediów bliższych rządowi niż opozycji. To, co najbardziej zaskakujące i warte omówienia, jakby umknęło uwadze, dlatego warto już w nowym roku do owej świątecznej biesiady wrócić.

Sam fakt, że np. „likwidatorzy" państwowej telewizji i Polskiej Agencji Prasowej imprezują razem z tymi, którym zawdzięczają posady i których rządy propagandowo osłaniają, wydaje się równie naturalny, jak ich udział w zebraniu partyjnym. Podobnie nie bulwersuje mnie zasiadanie przy jednym stole osób takich jak Marcin Kierwiński i Kamila Gasiuk-Pihowicz oraz Kamila Biedrzycka czy Katarzyna Kasia. Od dawna mówię i piszę, że jedyne w Polsce media, które mogą być nazwane apolitycznymi, to gaz, prąd i bieżąca woda, a próby rozliczania mediaworkerów strony przeciwnej z tej fikcji wiodą ku hipokryzji. Bez trudu wyobrażam sobie symetrycznie odwróconą sytuację, gdy np. to TVN24 epatowałby z oburzeniem zdjęciami z zamkniętego spotkania w restauracji, w którym obok prawicowych dziennikarzy biorą udział, prawicowi politycy. Bez trudu zresztą wyobrażam sobie takie spotkanie i nie wiem, co by w nim miało być zdrożnego.

Zastanawiające jest co innego: niezwykła nerwowość, z którą uczestnicy spotkania zareagowali na fakt jego ujawnienia. Bez najmniejszej wątpliwości widać było wyraźnie, że poczuli się oni przyłapani na jakimś szpetnym, gorącym uczynku, że zawstydzili się faktem przebywania w swoim towarzystwie, że spodziewali się, iż upowszechnienie informacji o tej elitarnej – z ich punktu widzenia – imprezie wszystkim jej uczestnikom zaszkodzi. Organizator spotkania, adwokat, europoseł, a przede wszystkim jeden z liderów prawniczego rokoszu, który kosztem zdemolowania wymiaru sprawiedliwości doprowadził do zmiany władzy, Michał Wawrykiewicz, przestał odbierać telefony i odmówił komentarza nawet tak życzliwym dla biesiadników ośrodkom, jak branżowy serwis Press.pl. Podobnie wstydliwie pochowali się w różnych kątach inni – poseł Paweł Kowal, biznesmen Arkadiusz Muś, pracownicy „Gazety Wyborczej".

WSPÓLNOTA ŻŁOBU

Część z kolei zareagowała wybuchem agresji, obrzucając „intruzów" stekiem wulgarnych obelg. Szczególną nienawiścią w tym wykazali się Adam Michnik – z właściwą sobie dystynkcją intelektualną oznajmiający po trzykroć reporterowi: „Pan jest chu.em!" i dodający do tej obelgi za ostatnim razem: „staropolskim" – oraz występujący z nim w parze Krzysztof Król, w zamierzchłych czasach działacz KPN, a potem przez krótki czas niewysokiej rangi urzędnik u prezydenta Bronisława Komorowskiego. Król w emocjach dopuścił się zresztą wręcz „viralowego" nietaktu. Chcąc sięgnąć po najgrubszą możliwą obelgę, skrzyczał reporterów słowami: „Jesteście takimi samymi kur.ami, jak za Jaruzelskiego i Urbana!", zapominając, że mówi przecież o osobach, z którymi stojący obok Michnik przyjaźnił się serdecznie, a wręcz demonstracyjnie.

Biedny, sfrustrowany Król dał w ten sposób najlepszy pokaz umysłowego pokręcenia, w którym znalazła się grupa podobnych mu niedobitków michnikowszczyzny. Z jednej strony, wywodzi swe tytuły do chwały z kombatanckiej przeszłości, w której Wojciech Jaruzelski i Jerzy Urban byli ikonami zła. Z drugiej, swe obecne poczucie przynależności do elit czerpie z dopuszczenia do orszaku Michnika, którego zblatowanie z owymi ikonami było swoistym aktem założycielskim „nowej elity", teoretycznie jako połączenia „sił

eprasa.pl fce8bbc297

reformatorskich z obu stron historycznego podziału", ale w praktyce jako po prostu wspólnoty żłobu – uczestnictwa w warstwie, która zarezerwowała dla siebie wpływy, stanowiska i przywileje.

Wydawałoby się, że rok po wyborach, w których udało się odsunąć od władzy znienawidzoną – bo kwestionującą monopol owej wspólnoty – formację Jarosława Kaczyńskiego, ośmioletnie frustracje michnikowego towarzystwa powinny zaniknąć. Przecież znowu wrócili na szczyt, znów to oni obstawiają urzędy i „ustawiają" składy sędziowskie, wyznaczają linię propagandy mediów, dzielą „wartość dodatkową" ściąganą z gospodarki narodowej. A tymczasem „frustra" zdaje się jeszcze większa niż przed wyborami i reakcja na ujawnienie świątecznego „śledzika" w gronie „samych swoich" nie jest jedynym tego dowodem. Choć zapewne każdy z obecnych tam podpisałby się pod stwierdzeniem, że w restauracji zgromadzili się przedstawiciele elity, sami najlepsi, to w praktyce każdy sprawiał wrażenie „przyskrzynionego" i zawstydzonego swą obecnością.

Wymiana zdań między Adamem Michnikiem a reporterami Telewizji Republika

FOT. TV REPUBLIKA

Nie trzeba chyba wyjaśniać, że elity tak się nie zachowują. Przeciwnie – elity pewne swej pozycji są z siebie dumne, paradują po czerwonych dywanach, odpowiadają uśmiechem na niekończące się błyski fotograficznych fleszy. Na zdrowy rozum na pojawienie się „prawicowych" intruzów powinni goście europosła Wawrykiewicza zareagować jak wujostwo Hurleccy w „Ferdydurke" Gombrowicza: no i patrz, chamie, jemy frykasy, pławimy się w luksusach, bo nas stać, bo to nasze, a ty nam zazdrość! W każdym razie potraktować ich, by odwołać się do innego tekstu tego samego autora, „Iwony księżniczki Burgunda" – „z góry, z góry, zawsze z góry, a nigdy z dołu!". I w tym duchu opowiadać o spotkaniu potem, skoro już stało się ono obiektem powszechnego zainteresowania. Tymczasem po części podwijając ogony, po części szczerząc kły, uczestnicy spotkania przyznali się do winy.
Ale na czym właściwie polegającej? Na niestosowności wspólnego popijania rządzących polityków, ich totumfackich i prostych mediaworkerów? Nie przypominam sobie, by ktokolwiek kiedykolwiek w Polsce miał z takim popijaniem problem. Jedyny wypadek, który przychodzi do głowy, to sławna impreza u Roberta Mazurka. Ale tam jedynym oburzonym był Donald Tusk, a przyczyną tego oburzenia nie było to, że jego poddani przyjęli zaproszenie na imprezę u redaktora, tylko że spotkali się tam z „pisowcami", psując mu w ten sposób narrację o świętej wojnie z „antydemokratycznym reżimem". Żaden polityk spoza PO nie musiał się z przyjęcia zaproszenia Mazurka tłumaczyć i żaden nie widział powodu, by się tego wstydzić.

SKOJARZENIE Z SZEMRANYMI GESZEFTAMI

Jedynym logicznym wyjaśnieniem zachowania przyłapanych uczestników niedawnego zamkniętego spotkania było skojarzenie sytuacji z kelnerskimi nagraniami polityków PO przy ośmiorniczkach, których ujawnienie położyło kres poprzednim rządom formacji pomagdalenkowej. Odżyła pamięć materiału: wspólne pożeranie frykasów znowu może się skojarzyć Polakom z dogadywaniem jakichś szemranych geszeftów i znowu może zapoczątkować zmianę nastrojów, która przywróci do władzy PiS.

Widać w tym, że rok po odzyskaniu władzy, wbrew wspomnianej wcześniej logice, elity związane z obecną władzą czują się wciąż równie, a może nawet jeszcze bardziej niepewnie. Potwierdzają to zresztą liczne wypowiedzi i mimowiedne zachowania: udało się odsunąć PiS od władzy, ale nie udało się własnej władzy ugruntować. „Rozliczenia" brną w coraz większe absurdy – odbieranie immunitetu Kaczyńskiemu za „zniszczenie wieńca" albo Pawłowi Szefernakerowi za podanie sześć lat temu tweeta z własnym spotem wyborczym, rzekomo „wzywającym do nienawiści wobec uchodźców" (w tym samym tygodniu, w którym koalicyjny wicemarszałek Sejmu nazwał tychże uchodźców „bydłem"!), tyleż bandycki, co błazeński najazd śledczych na klasztor Dominikanów, czy doprowadzanie siłą świadków przed sejmowe komisje śledcze, które nie są w stanie wydukać jednego sensownego pytania do nich. Zaplątała się też nowa władza w sprawie CPK i innych prorozwojowych projektów, które z jednej strony kasuje, bo „pisowskie" i szkodliwe dla Niemiec, ale z drugiej gorliwie obiecuje je realizować, bo tego chcą wyborcy. O dro-

eprasa.pl fce8bbc297

żyźnie, która bynajmniej nie znikła, tylko narasta, i powszechnym odczuciu, że po zmianie władzy żyje się gorzej, nie warto nawet wspominać, bo to oczywiste.

W ogóle wraz ze zdobyciem władzy ci, którzy wierzyli, że „znowu będzie, jak było", stracili kompletnie swoją opowieść i nie są w stanie wyjaśnić, czego chcą i po co właściwie do tej władzy dążyli. Ich opowieścią była dotąd Unia Europejska. Przez wiele lat wystarczyło im pokazywać: jesteśmy Europejczykami, w przeciwieństwie do „polskiego zaścianka" i „ciemnogrodu", który stanowi prawica. Po zwycięstwie, w 2015 r., cała formacja – od przywódców politycznych do ostatniej medialnej ciury – zanosiła się oburzeniem, że premier Beata Szydło kazała usunąć zza swoich pleców unijne błękity i występowała wyłącznie na tle flag biało-czerwonych. Miało to być przecież „dowodem", że PiS chce nas „podstępnie" wyprowadzić z Unii Europejskiej, w nocy, jedną sejmową uchwałą.

Teraz, by wrócić do władzy, „deeuropeizację" symboliki zarządził sam Tusk. Od półtora roku niebieskie flagi z gwiazdkami zniknęły bez śladu. Wszędzie „zaściankowa" biel i czerwień, jakby zasada „myślenie w kategoriach państwa narodowego to XIX-wieczny anachronizm" nagle przestała obowiązywać. A „katolicki ciemnogród"? Rafał Trzaskowski zaprzysięga się (kłamliwie skądinąd), że nigdy nie kazał zdejmować w warszawskich urzędach krzyży i że osią jego programu jest „patriotyzm gospodarczy". Czy Polacy dadzą się na to nabrać, tak jak dali się nabrać na zmianę barw PO w wyborach parlamentarnych, nie wiadomo, ale sam fakt, że aby myśleć o zwycięstwie, musi obecna elita przejmować narrację znienawidzonego PiS i upodabniać się do pogardzanego „ciemnogrodu", dla kogoś takiego jak Adam Michnik jest totalną klęską życiową. Przypieczętowaniem upadku jego największego projektu, „Gazety Wyborczej", która z dawnej potęgi, dzierżącej niepodzielnie „rząd dusz" nad polską tzw. inteligencją, stała się – w dużym stopniu za sprawą obecnego na biesiadzie Jarosława Kurskiego – sekciarskim „zinem" skrajnych radykałów, traktowanym nawet przez macierzystą spółkę Agora jako obciążenie i nienaprawialna przyczyna ciągłych strat firmy.

OSTATNIE ŚWIĘTA NA WOLNOŚCI?

Obecność na imprezie panów Daniela Gorgosza i Tomasza Syguta oraz innych „likwidatorów" państwowych mediów była naprawdę symboliczna. „Likwidują" wprawdzie TVP, jak im kazano, zarabiając w przyszłości na kary więzienia (bo pojęcie „likwidacji spółki" jest w kodeksie handlowym sprecyzowane, a ich działania łamią ten kodeks w każdym punkcie), ale przez rok nic z tego tak naprawdę nie wynikło. Widownia dawnej TVP przeniosła się do Republiki i w mniejszym stopniu innych opozycyjnych mediów, wpływ PiS na społeczeństwo więc nie zmalał. Nowej widowni TVP i PR nie znalazły. Za to w oczy zajrzała „elicie" utrata jej najpotężniejszego narzędzia do prania umysłów, którym jest TVN. Tusk wprawdzie obiecał, że „nie pozwoli" sprzedać jej Węgrom ani Czechom, jako „zasobu strategicznego". Ale czy ta obietnica jest czymkolwiek więcej niż pocieszaniem bez pokrycia? TVN jest przecież, formalnie, własnością spółki krzaka zarejestrowanej w Holandii, i to ją sprzeda Discovery–Warner, nie pytając polskiego rządu o nic. Zresztą pogłoski o inwestorach „od Orbána" okazały się elementem rozgrywki taktycznej, teraz mówi się, że TVN kupić może medialne imperium Berlusconich albo „prawicowy" amerykański Fox. I co wtedy?

Próba odebrania opozycji pieniędzy też na razie bardziej pomogła jej w organizowaniu antyrządowej mobilizacji, niż zaszkodziła. PiS jak miał swoje 30 proc., tak ma – PO co prawda też, ale utrzymuje sondażowe notowania tylko dzięki pożeraniu koalicjantów: Trzeciej Drogi i Lewicy. Ta ostatnia, najbliższa sercom elit, w ogóle już ledwie przędzie i nie widać przed nią żadnej przyszłości. Młodzi, którzy mieli w naturalny i oczywisty sposób podążyć „za Europą", nawet nie spojrzawszy na prawicowy „obciach", gremialnie opowiadają się za Konfederacją – nawet młode kobiety…

Mówiąc krótko – rok po ogłoszeniu restauracji rządów pomagdalenkowych poczęta w willi Czesława Kiszczaka elita siedzi wprawdzie przy suto zastawionych stołach, ale nie czuje gruntu pod stopami. To bardzo frustrująca sytuacja i trudno się dziwić, że ci, którzy niegdyś napawali się swoją siłą imponowania (ach, ten pamiętny jubileusz „Gazety Wyborczej", z Michnikiem i Aleksandrem Kwaśniewskim brylującymi pośród tłumu redaktorów, celebrytów i polityków, wszystkich pewnych świetlanej przyszłości – to se ne vrati!), najchętniej ukryliby się w jakimś ustroniu i swą wyższość nad głupim społeczeństwem przeżywali we własnym, elitarnym gronie. A tu tymczasem przyłażą jacyś prawicowcy z kamerami i dekonspirują to, co miało pozostać w gronie samych swoich.

Rok po ogłoszeniu restauracji rządów pomagdalenkowych poczęta w willi Kiszczaka elita siedzi wprawdzie przy suto zastawionych stołach, ale nie czuje gruntu pod stopami

Czy można się dziwić sfrustrowanemu Michnikowi, że nie wytrzymał i bluznął czerską góralszczyzną? Czy można się dziwić mecenasowi Wawrykiewiczowi, że przestał odbierać telefony? Czy można nie pożałować ludzi, którym tak zepsuto święta, dla wielu być może ostatnie, które dane jest im spędzać na wolności?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fce8bbc297

Babcia przy tablicy

FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Zboralski

Nauczyciele w Polsce to mocno starzejąca się grupa zawodowa. Młodych nie przybywa. W dodatku kłopot z kadrą w niektórych szkołach jest na tyle duży, że z powodzeniem wystartował ośrodek wypożyczający pedagogów on-line

Wprawdzie dzieci w Polsce rodzi się coraz mniej, ale i tak stoi przed nami do rozwiązania poważny problem z zapewnieniem im dobrej nauki w publicznych szkołach. Jednym z powodów jest to, że do zawodu nie przychodzą młodzi pracownicy. W związku z tym kadra szkolna mocno się starzeje. Wskazywał już na to opublikowany we wrześniu tego roku raport OECD „Education at a Glance 2024".

Według szacunków OECD mniej niż 30 lat ma obecnie w Polsce zaledwie 6 proc. nauczycieli. Jeszcze w 2013 r. wśród naszej kadry w szkołach średnich 50 i więcej lat miało 22 proc. Obecnie ten odsetek zwiększył się prawie dwukrotnie i wśród kadry aż 38 proc. jest w tym wieku. Marnym pocieszeniem będzie to, że w krajach OECD ten odsetek też jest raczej wysoki i sięga obecnie średnio 36 proc. Dotyka nas po prostu to samo zjawisko starzenia się społeczeństw.

GDZIE SĄ MŁODZI?

Ten sam problem zauważa opublikowany niedawno raport „Nauczyciel_ka 2040" przygotowany przez fundację Teach for Poland. Jego autorzy zauważają, że głównym problemem polskiego systemu edukacji nie jest sama liczba nauczycieli, ale ich starzenie się. „W 2023 roku odsetek nauczycieli powyżej 50. roku życia wzrósł o 6,5 punktu procentowego, do 36 proc. Jednocześnie tylko 5 proc. nauczycieli to osoby poniżej 30. roku życia – to jeden z najniższych wyników w Europie – czytamy w raporcie. – Jeśli obecny trend starzenia się profesji zostanie utrzymany, to w 2040 roku nauczyciele powyżej 50. roku życia będą stanowić aż 73 proc. kadry w edukacji wczesnoszkolnej (obecnie to 44 proc.). Zawód ten jest również mocno sfeminizowany – kobiety stanowią aż 82 proc. nauczycieli, a ich udział stale rośnie".

Według takich danych Polska – biorąc pod uwagę średnią kraju – nie ma problemu z liczbą nauczycieli. Na 100 uczniów przypada dziś blisko 11 etatów nauczycielskich. Pod tym względem zajmujemy więc 12. miejsce na 47 krajów uwzględnionych w analizie OECD pod względem dostępności nauczycieli na szczeblu podstawowym i 8. miejsce, jeśli chodzi o dostępność nauczycieli w edukacji ponadpodstawowej.

Patrząc z tej perspektywy, widać jedno – nie minie wiele czasu, a przy tablicach szkolnych stać będą głównie seniorki (patrząc na feminizację zawodu). Babcie są oczywiście dzieciom niezbędne i starsze pokolenie wnosi do naszego życia niezmierzoną wartość. Jednak w tak szybko zmieniającym się świecie nowych technologii – spójrzmy chociaż na gigantyczny rozwój sztucznej inteligencji i narzędzi z nim związanych – pozostawienie edukacji w rękach seniorów, którzy siłą rzeczy będą mieć kłopot z najnowszymi trendami technologicznymi, nie wróży nam dobrze.

To jednak wcale nie oznacza, że nie będzie później problemów z dostępnością kadry. Nie jest przecież żadną tajemnicą, że wraz z wiekiem organizm ma coraz większe kłopoty i jako seniorzy borykamy się z coraz większą liczbą zdrowotnych dolegliwości. A to może powodować częstsze przebywanie na zwolnieniu i związane z tym problemy kadrowe szkół.

A ludzi młodych w zawodzie nauczyciela nie przybywa. To pozornie może dziwić, skoro nauczyciele otrzymali ostatnio w sumie niemałe podwyżki. Problem w tym, że one – na tle zarobków w kraju – niewiele dały.

„Polska znajduje się na 5. miejscu od końca wśród krajów OECD pod względem siły nabywczej początkujących nauczycieli, a w ustawowych wynagrodzeniach plasuje się przedostatnia – tuż przed Węgrami. Nawet po podwyżkach z 2024 roku średnie wynagrodzenie nauczycieli jest zaledwie o 2 proc. wyższe niż przeciętne wynagrodzenie w gospodarce narodowej, a wynagrodzenie bazowe nauczycieli wchodzących do zawodu o tyle samo przewyższa wartość płacy minimalnej. Mimo ostatnich podwyżek relacja przeciętnego i minimalnego wynagro-

eprasa.pl fce8bbc297

dzenia nauczycielskiego do przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce i ustawowo gwarantowanej płacy minimalnej jest dziś znacznie niższa niż jeszcze na początku ubiegłej dekady" – czytamy w raporcie fundacji Teach for Poland.

WYPOŻYCZALNIA NAUCZYCIELI

O ile statystycznie w kraju nie mamy problemu z liczbą nauczycieli, o tyle sprawa nie wygląda już tak dobrze, gdy przyjrzymy się poszczególnym regionom. W niektórych już dziś dramatycznie ich brakuje. O ile na ścianie wschodniej, gdzie jest niewiele dzieci, na 100 uczniów przypadają nawet 22 nauczycielskie etaty, o tyle na zachodzie kraju i w dużych miastach ten wskaźnik wynosi 9. Krótko mówiąc – czeka nas zapaść kadrowa.

Pod koniec ubiegłego roku szkolnego w systemie było 20 tys. wakatów nauczycielskich. Podczas wakacji dyrektorom udało się zapełnić trzy czwarte z nich. Nadal blisko pół tysiąca stanowisk nie było jednak obsadzonych, gdy rozpoczynał się rok szkolny.

Dodać do tego należy mocny nacisk w Polsce na edukację włączającą, a to oznacza, że do zwykłych klas szkół podstawowych uczęszcza coraz więcej dzieci z rozmaitymi problemami, które muszą mieć na lekcjach dodatkową opiekę, czyli tzw. nauczyciela wspomagającego. Tylko że tych nauczycieli jest za mało. Jak wynika z raportu „Nauczyciel_ka 2040", brakuje ich blisko 60 proc.

Jak wielki problem zaczynają mieć szkoły z obsadą, pośrednio świadczy otwarcie Centrum Nauczania Zdalnego w Koninie, które zaczęło działać pod koniec listopada. Otworzył je Ogólnopolski Operator Oświaty w ramach projektu „Cyfrowa Szkoła Wielkopolski". Na 10. piętrze hotelu Konin jest 15 pomieszczeń studyjnych dla nauczycieli, którzy mogą zdalnie prowadzić zajęcia, zastępując nauczycieli, których brakuje w szkołach w tym województwie. Gdy dłużej brakuje nauczyciela, dzieci mają szansę na spotkanie – choć on-line – z nauczycielem tego samego przedmiotu, który sprawi, że nie będą miały przerwy w nauczaniu i zdobędą wiedzę zgodnie z programem. Szkoły mogą z takich zdalnych zastępstw korzystać bezpłatnie. Musiały jedynie przystosować do tego sale – wyposażyć je w ogromne monitory i tablety przy każdym stanowisku dla ucznia.

NAUCZYCIELE W WIEKU PONIŻEJ 30 LAT W SYSTEMIE OŚWIATY W SZKOŁACH PODSTAWOWYCH I PONADPODSTAWOWYCH W KRAJACH OECD

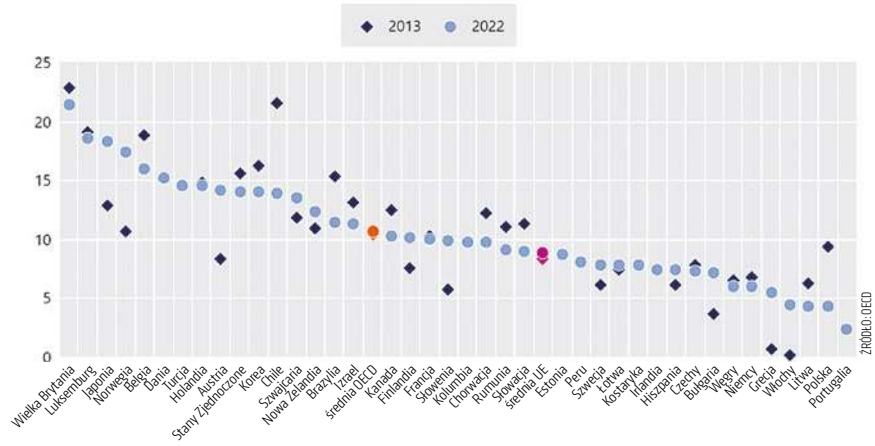

ŹRÓDŁO: OECD

ODSETEK NAUCZYCIELI W WIEKU POWYŻEJ 50 LAT Z PROGNOZĄ NA KOLEJNE LATA

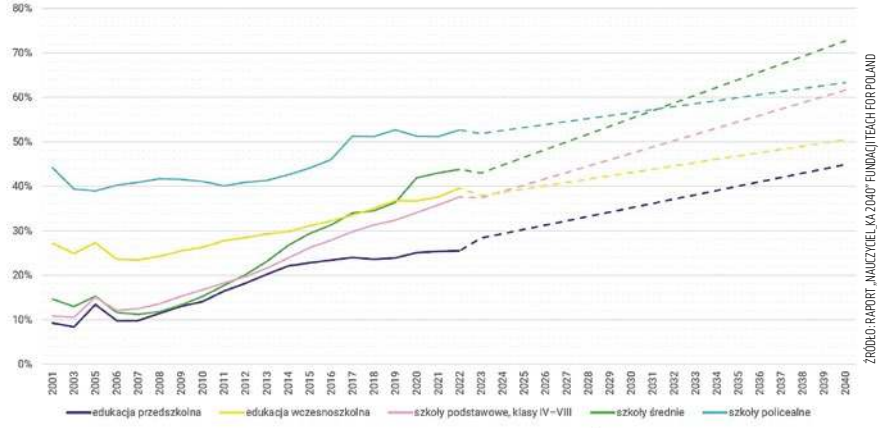

ŹRÓDŁO: RAPORT „NAUCZYCIEL_KA 2040" FUNDACJI TEACH FOR POLAND

To pierwszy taki eksperyment edukacyjny w Polsce. Na razie jest nowinką i sposobem na łatanie kadrowych braków. W przyszłości niestety może stać się jedynym rozwiązaniem. O tym, że nie jest ono najlepsze, wiemy po pandemii. Nauczanie zdalne pozwoliło przetrwać czas przymusowej izolacji ludzi, tak by dzieci miały jakikolwiek kontakt ze szkołą. Niestety, już wiadomo, że w ten sposób nie da się prowadzić tak dobrego nauczania jak w bezpośrednim spotkaniu w szkolnej klasie.

Czy resort edukacji dostrzega te problemy? Na razie chyba w minimalnym stopniu. Ministerstwo zarządzane przez Barbarę Nowacką opublikowało 12 grudnia raport z posiedzenia Zespołu do spraw pragmatyki zawodowej nauczycieli. Wśród zgłoszonych wówczas pomysłów znalazło się m.in. „wyeliminowanie przydzielania zastępstw doraźnych za nieobecnych nauczycieli do realizacji w czasie, w którym mają swoje obowiązkowe zajęcia", czyli utrudnienie znalezienia zastępstw dyrektorom szkół. Zapisano tam także, że „kwalifikacje do nauczania muzyki, plastyki będzie miał nauczyciel, który jest absolwentem szkoły muzycznej albo liceum plastycznego i ukończył dowolne studia oraz ma przygotowanie pedagogiczne". Oznacza to obniżanie wymogów wobec kwalifikacji ludzi, którzy zajmują się tymi przedmiotami w szkołach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fce8bbc297

Na szczycie Złotej

FOT. ADOBE STOCK

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Apartamentowiec przy ul. Złotej 44 w Warszawie to swoisty miniświat. Rezydenci dzielą się na „kasty", a mieszkania kosztują krocie

Na samej Złotej są piętra drabiny społecznej. W hierarchii najniżej jest obsługa, traktowana niestety przez tych współmieszkańców często bez szacunku. A to są bardzo fajni chłopacy na ochronie, ludzie na recepcji. Piętra od 10. do 19. [...] to są [...], według kategorii właścicieli na Złotej, ludzie najgorszej kategorii – wynajmujący. Drugą kategorią ludzi są ci, którzy jeżdżą tą niższą windą. Są niżej, mniej tysięcy z metra, gorsi. Kolejną kastą są ludzie, którzy jeżdżą tą wyższą windą z 34. do 52. piętra. No i kolejna grupa – ci 50. piętro i wyżej – to już tacy turbo, patrzący na nich wszystkich z góry. Ja przecierałem oczy ze zdumienia, że ci ludzie w kategoriach Polski mogą się odseparować jako elita od reszty i wewnątrz tej wspólnoty też jest hierarchia – relacjonował w jednym z wywiadów Rafał Zaorski.

Zaorski to inwestor w kryptowaluty i influencer finansowy (niektórzy określają go mianem „spekulanta"). W 2022 r. kupił apartament przy Złotej 44 za 22,9 mln zł. Transakcja ta została uznana za najdroższy w Polsce zakup jednokondygnacyjnego apartamentu. Zaorski zapowiedział przeprowadzenie projektu pod hasłem „Epicki flip". Chciał podzielić mieszkanie na 20 tys. udziałów i sprzedawać każdy z nich za 5 tys. zł, dzięki czemu miał zarobić grube miliony. Pomysł zablokowała jednak Wspólnota Mieszkaniowa Złota 44. Podniesiono, że plan Zaorskiego prowadzi do naruszenia porządku, a także przepisów wspólnotowych. Sprawa trafiła do sądu – wspólnota chciała przymusowej licytacji mieszkania. Sąd zablokował sprzedaż nieruchomości do czasu zakończenia sporu, a to uniemożliwiło inwestorowi realizację jego „flipa".

Niedawno Rafał Zaorski potwierdził, że luksusowy apartament na najwyższym piętrze został sprzedany. Podobnie jak w przypadku każdej informacji o Złotej 44 szybko zaczęły się mnożyć plotki i domniemania. Można przeczytać, że nabywcą jest tajemniczy miliarder z Turcji, choć według innej wersji zakupu dokonał Polak. „Apartament 504 został sprzedany za zadowalającą kwotę. Nie mogę zdradzić dokładnie kwoty ani nazwiska osoby kupującej, ale obie strony transakcji są zadowolone" – przekazał agent nieruchomości Michał Lech, który zajmował się transakcją. Z kolei Zaorski napisał w sieci: „Pytacie się, czemu byłem ostatnio tak zajęty i się nie udzielałem. Pracowałem nad transakcją. Apartament sprzedałem. Myślę, że to rekordowa transakcja w Polsce". Na zakup było wielu chętnych, bo to lokal najbardziej luksusowy ze wszystkich. Jako jedyny przy Złotej 44 posiada naj-

eprasa.pl fce8bbc297

nowocześniejszy system klimatyzacji. Cena wyjściowa wynosiła 9 mln euro.

ZŁOTE ŻYCIE

Choć to za sprawą Zaorskiego o adresie w centrum Warszawy zrobiło się naprawdę głośno, to budowę apartamentowca rozpoczęto w 2008 r., a oficjalne otwarcie miało miejsce w marcu 2017 r. Budynek zaprojektował amerykański architekt polsko-żydowskiego pochodzenia Daniel Libeskind (odpowiedzialny m.in. za projekt Muzeum Żydowskiego w Berlinie). Ze strony internetowej dowiadujemy się, że Złota to znacznie więcej niż imponującej wysokości budynek. „ZŁOTA 44 to holistyczne podejście do luksusowego stylu życia. Apartamentowiec zaprojektowany w specjalny sposób, który ułatwia swoim mieszkańcom aktywne, zdrowe i bezpieczne życie. Wizja wygody, luksusu i życia ponad miastem. ZŁOTA 44 to ikona wśród warszawskiej panoramy. Sam adres stał się symbolem i synonimem pojęcia luksusowego stylu życia. Spektakularne widoki oraz bogaty wachlarz udogodnień sprawiają, że każdy dzień na ZŁOTEJ 44 jest bezcennym przeżyciem" – czytamy.

Dostęp do „strefy mieszkańca" jest możliwy tylko dla zweryfikowanych rezydentów. Z ogólnych informacji można wysnuć wniosek, że mieszkańcy tworzą coś na wzór małej społeczności. Organizowane tam są przyjęcia bożonarodzeniowe i wielkanocne, a także wspólne niedzielne śniadania i „owocowe środy". Z kolei w ramach „niedzielnego aperitivo" oferuje się „wieczorne spotkanie w gronie sąsiadów z gustownie podanymi przekąskami i wyselekcjonowanym winem". „Niedzielne Aperitivo już na stałe zapisało się w kalendarzu Mieszkańców Złotej 44. W Sali klubowej 8 Piętra Mieszkańcy Złotej 44 oddają się rozmowom i wspólnie delektują specjałami" – czytamy na stronie apartamentowca.

Rezydenci mogą też podziwiać przygotowane specjalnie dla nich wystawy. Taką była ekspozycja „Złote kobiety". „Katarzyna Chmiel w niezwykły sposób uchwyciła moc kobiet i przelała ich cechy na płótno. Artystka w ramach kolekcji „Złote kobiety" postanowiła również uczcić wszystkie mieszkanki apartamentowca, malując obraz „Signature", który jest hołdem dla współczesnych silnych kobiet zamieszkujących Złotą 44. Wernisaż zorganizowany z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet to element cyklicznych spotkań w ramach projektu Sztuka na Złotej 44. Wydarzenie było doskonałą okazją do spotkania artystki, rozmów o nowoczesnym podejściu do sztuki oraz wymiany doświadczeń w elitarnym gronie Mieszkańców Złotej 44" – oto opis wydarzenia. Z dodatkowych atrakcji dla mieszkańców są basen, siłownia, sala kawowa z fortepianem czy ładnie urządzony taras.

W hierarchii najniżej jest obsługa, traktowana niestety przez tych współmieszkańców często bez szacunku

SŁAWNI SĄSIEDZI

Swoje „M" przy Złotej 44 posiadają m.in. Anna i Robert Lewandowscy, modelka Joanna Krupa oraz wielu influencerów, wśród nich organizujący walki MMA celebrytów Wojciech Gola czy modowa instagramerka Ola Nowak. Jedna z mieszkanek, Izabela Tomaszewska, zyskała rozpoznawalność w sieci dzięki samemu faktowi zamieszkiwania w wieżowcu. Jej relacje w social mediach opisujące życie pod najbardziej gorącym adresem w kraju budzą duże zainteresowanie. Tomaszewska jest psychologiem klinicznym, choć bardziej szczyci się chyba byciem „królową Złotej", jak pisze o sobie w sieci. Na jej profilach znaleźć można wiele zdjęć ze środka, m.in. z podziemnego parkingu wypełnionego luksusowymi autami. Celebrytka zaliczyła też „awans" na nieformalnej drabinie społecznej w Złotej. – Mieszkam na 45. piętrze. Wcześniej mieszkałam na 15., więc byłam niżej w hierarchii. Czy odczułam to? Nie. Jak mieszkałam na 15., byłam kochana, teraz też jestem kochana, a jedyne, co się zmieniło, to to, że dojeżdża do mnie mniej wind. Jak mieszkałam na 15., miałam cztery windy, teraz dojeżdżają do mnie tylko dwie – rozprawiała.

Tomaszewska ujawniła, że mieszkańcy, aby skorzystać z części rekreacyjnej, otrzymują specjalne wejściówki. Jednocześnie jeśli chcą zabrać tam gości, to muszą podać na portierni ich dane. – Idę do administracji i proszę, żeby mi zmienili tę jedną osobę, bo przylecieli do mnie moi przyjaciele [...]. Jak się okazało, moja przyjaciółka nie została wpisana, bo muszę czekać dwa miesiące – oburzała się influencerka. – Oni ani nigdzie nie wyjdą, ani ja nigdzie z nimi nie wyjdę i nie mogę nic zrobić – dodała. Tomaszewska żaliła się, że zapłaciła za mieszkanie 4 mln zł, a nie może korzystać swobodnie z udogodnień w budynku. – Nie mogę robić nic, bo ktoś nami rządzi. Cała Polska będzie się z nas śmiała – i słusznie. Bo my, wielcy milionerzy, miliarderzy, ludzie sukcesu mieszkający w top budynku, daliśmy się zgnoić – kontynuowała swój zupełnie oderwany od rzeczywistości wywód.

Rezydentka Złotej chętnie udziela wywiadów. Jeden z nich daje dobry wgląd w to, kim są „zwykli" mieszkańcy budynku (nie prawdziwe gwiazdy i bogacze jak Robert Lewandowski). – Nie pracuję. Mam mieszkania, wynajmuję te mieszkania. Mam jeszcze mieszkanie na Pradze i na Woli oraz dwa domy pod Warszawą. Tak sobie zaplanowałam już od dziecka, bo przychód pasywny, tak? Teoretycznie nie trzeba nic robić i ten przychód jest – chwaliła się psycholog. Tomaszewska podkreśla, że dzięki takiej formie zarobkowania ma czas na to, co najważniejsze, czyli na swoje przyjemności. – Bizneswoman kojarzy mi się z kobietą, która robi biznesy, prężnie działa w jakiejś branży, a ja w sumie robię tylko to, na co mam ochotę. Ja marzyłam o tym mieszkaniu tutaj. Chciałam mieć te mieszkania, żeby je wynajmować, bo chciałam mieć dużo wolnego czasu. Potrzebuję mieć czas dla siebie, muszę pojechać na siłownię, muszę odpocząć, muszę się wyspać, to jest ważne dla mnie – opowiadała zupełnie wprost.

Burzę w sieci wzbudziły szczególnie słowa o pochodzeniu kobiety. – Mam ogromne wsparcie od rodziców – przyznała Tomaszewska. A na pytanie o to, jak zarobiła na pierwsze mieszkania, odpowiedziała wprost: – No co, mama, tata. Mówię otwarcie: mama, tata, co mam ukrywać – wskazała. Jednak nie przyznała publicznie, że posiada konto na platformie OnlyFans, czyli w coraz populatniejszym serwisie do płatnego publikowania swoich pornograficznych zdjęć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fce8bbc297

Resort „groźby bezprawnej”

Remigiusz Włast-Matuszak

W Polskim Instytucie Sztuki Filmowej doszło do zwolnienia jego szefowej, która wygrała konkurs na to stanowisko. Duet: p.o. dyrektor PISF – kierowniczka działu produkcji PISF fatalnie wróży rozwojowi polskiej kinematografii

Gdy MKiDN rozpisało konkurs na stanowisko szefa PISF, wygrała go niemal jednogłośnie Karolina Rozwód FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

W komedii filmowej „Superprodukcja” Juliusza Machulskiego i Jarosława Sokoła z 2002 r. zobaczyliśmy prawdziwą twarz polskiej kinematografii. Od 22 lat nikt nie odważył się na podobne „bluźnierstwo” aż do jesieni 2024 r.

Tym razem mamy superprodukcję na żywo. Pani chciała wyrzucić z pracy w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej inną panią (całkiem słusznie), ale sama została wyrzucona (przez MKiDN). Tyle w skrócie. Pikantne i drastyczne szczegóły można sobie przeczytać w publikacjach OKO.press, PAP, Aktualnościach MKiDN, w poście na Facebooku Macieja Strzembosza, w „Do Rzeczy”, „Polityce”, „Gazecie Wyborczej”, „Tygodniku Powszechnym” i innych mediach.

Cofnijmy się jednak najpierw do przeszłości. W 1975 r. wprosiłem się do Alicji C., dyrektor P.P. Film Polski, by zapytać, co Biuro Festiwali Zjednoczenia Rozpowszechniania Filmów ma robić z kolejną delegacją z Francji i Włoch (lewacy), niechcącą opuścić Hotelu Europejskiego po zakończeniu oficjalnej wizyty. Młoda dystyngowana dama po powrocie z placówki w Brukseli, a przed odlotem do Rzymu, oznajmiła mi, co mam robić, używając przy tym słów na „k”, „ch” i „s”. Widząc, że zdrętwiałem, oświadczyła: „Dziękuję panu”. Nigdy później nie usłyszałem z ust młodej damy czy innych kobiet (nawet dziennikarek „śledczych”) podobnego rynsztoku.

Ten epizod przypomniał mi się, gdy w listopadzie 2024 r. przeczytałem w mediach wywiady z byłą dyrektor PISF Karoliną Rozwód. Była ona mocno zniesmaczona językiem marginesu społecznego, którego jej zastępczyni Kamila Dorbach używała na odprawie kierownictwa tej instytucji, którego 80 proc. stanowią kobiety. Poprosiła więc ją (byłą pracownicę MKiDN), by ta nie używała takich słów. Odpowiedzią były miny i przewracanie oczami. Mamy zatem powrót mentalności i języka „demokracji ludowej” w pełnej krasie. Na sławnym zdjęciu, usuniętym z oficjalnej strony MKiDN (ale dostępnym w Internecie), widać dyrektor Rozwód, minister kultury i dziedzictwa narodowego Hannę Wróblewską oraz wiceministra kultury Andrzeja Wyrobca (podał się do dymisji 31 grudnia 2024 r.) obejmującego dyrektor Dorbach.

SCYSJE MIĘDZY PANIAMI

Przez siedem lat pracy w PISF nigdy nie poznałem pani Dorbach, która też pracowała od 2017 r. w tejże wysoce kulturotwórczej instytucji. Kamila Dorbach zajmowała się (głównie zdalnie) ustaleniem czołówek filmów zgodnie ze stanem zapisanym w umowach producenckich. Praca jak praca. Pani Dorbach jest bliską znajomą Andrzeja Wyrobca, któremu w MKiDN podlegała kinematografia. Oboje poznali się w czasach, gdy Andrzej Wyrobiec był w latach 2010–2013 głównym skarbnikiem Platformy Obywatelskiej i jej sekretarzem generalnym. Gdy w grudniu 2023 r. został wiceministrem kultury, natychmiast ściągnął Kamilę Dorbach z PISF do MKiDN. Z kolei w kwietniu 2024 r., gdy ówczesny szef MKiDN, Bartłomiej Sienkiewicz, przerwał „brutalnie” drugą kadencję Radosława Śmigulskiego w PISF, minował na szefową tej instytucji panią Dorbach. No i się zaczęło. Dyrektor Dorbach musiała odreagować lata „niedoceniania” – natychmiast zwolniła wszystkich, którzy się jej narazili. Nawet świetnych fachowców, a zwłaszcza ich.

MKiDN rozpisało konkurs na stanowisko szefa PISF i wygrała go prawie jednogłośnie – w stosunku 11:1 – Karolina Rozwód, długoletnia dyrektor teatru w Lublinie i innych instytucji kulturalnych. Jej zastępczyni (dotąd p.o. dyrektor PISF) nie mogła znieść, że nie jest już szefową instytutu, i mając oparcie w MKiDN, usiłowała działać jako naddyrektor.

Scysje między obiema paniami się zaostrzyły, aż w październiku 2024 r. dyrektor Rozwód zażądała od minister Wróblewskiej odwołania wiceszefowej PISF ze stanowiska, argumentując swoje żądanie zaginięciem ważnych tajnych dokumentów będących w gestii dyrektor Dorbach, a obciążających karnie byłego szefa PISF Radosława Śmigulskiego. Tym razem chodziło o rozliczenia delegacji zagranicznych dyrektora Śmigulskiego oraz innych dokumentów przekazanych bez pokwitowania Izbie Administracji Skarbowej (KAS). Złe języki z „miasta” twierdzą, że te „inne” dokumenty godziły w czołowych przedstawicieli środowiska filmowego. Wniosek o odwołanie dyrektor Dorbach był kolejnym popisem „krzyczącej” naiwności dyrektor Rozwód.

W lipcu 2024 r. na portalu Interia ukazał się bardzo obszerny wywiad z Karoliną Rozwód na temat jej zamiarów dotyczących uzdrawiania PISF. Tytuł

eprasa.pl fce8bbc297

rozmowy brzmiał wymownie: „PISF jest własnością wszystkich Polaków". Po przeczytaniu wywiadu pomyślałem, że pani Rozwód jest wyjątkowo cyniczną polityczką, bo przecież po wielu latach pracy na kierowniczych stanowiskach w kulturze nie może być aż tak naiwną, prostolinijną pozytywistką rodem z nowel Stefana Żeromskiego i Elizy Orzeszkowej. Okazało się jednak, że tak. Dyrektor Rozwód nie zdążyła przeprowadzić swoich reform uzdrawiających system komisji eksperckich, które rozdzielają ok. 400 mln zł rocznie na produkcję filmową w Polsce, została odwołana z PISF. Przedstawmy więc w wielkim skrócie kalendarium starcia Kamili Rozwód z resortem „groźby bezprawnej" jesienią 2024 r.

11 października. Dyrektor Rozwód przychodzi od minister Wróblewskiej z postulatem odwołania dyrektor Dorbach. Minister sugeruje, by dyrektor Rozwód jeszcze się zastanowiła i nie składała oficjalnego wniosku. A potem zapewne uruchamia kontruderzenie z pomocą ministra Wyrobca i samej zastępczyni – dyrektor Dorbach.

30 października. MKiDN wzywa nagle dyrektor Rozwód i zmusza ją do podpisania przygotowanej już wcześniej rezygnacji oraz informuje o tym natychmiast na oficjalnej stronie resortu.

4 listopada. Karolina Rozwód cofa swoją rezygnację jako wymuszoną „bezprawną groźbą" przez MKiDN.

6 listopada. Prokuratura Okręgowa w Warszawie zawiadamia o możliwości popełnienia przez Karolinę Rozwód wielu przestępstw gospodarczych zagrożonych karą od kilku lat więzienia do dożywocia (dobrze, że karę śmierci w RP zniesiono).

7 listopada. MKiDN informuje, że rezygnacja Karoliny Rozwód i jej odwołanie są ostateczne.

13 listopada. Karolina Rozwód przekazuje minister Wróblewskiej przedsądowe wezwanie do przeprosin i odszkodowania.

16 listopada. Rada Programowa PISF pod przewodem reżysera Andrzeja Jakimowskiego i w obecności minister Wróblewskiej uznaje odwołanie Karoliny Rozwód za uzasadnione.

29 listopada. Rada Programowa PISF uznaje, że odwołanie Karoliny Rozwód jest wątpliwe, i żąda od MKiDN pisemnych wyjaśnień i uzasadnień.

2 grudnia. Zarząd Gildii Reżyserów Polskich żąda od MKiDN konkretnych wyjaśnień w sprawie odwołania dyrektor Rozwód. List podpisali m.in. Jan P. Matuszyński, Agnieszka Holland, Andrzej Jakimowski, dr Łukasz Ronduda, Agnieszka Smoczyńska.

4 grudnia. Karolina Rozwód komunikuje, że skończyło jej się zwolnienie lekarskie, i zgłasza się do pracy w PISF na stanowisku dyrektora.

17 grudnia. Odbyło się spotkanie minister Wróblewskiej z organizacjami filmowców.

Mało tego – krakowski „Tygodnik Powszechny" (a Wyrobiec, zanim został wiceministrem, był przez ostatnie lata dyrektorem teatru Bagatela w Krakowie) 26 listopada donosił, że w MKiDN „zapanował chaos", i pytał: „Co będzie dalej?". Jako pierwszy zasugerował też, że minister Wróblewska powinna się podać do dymisji! Ale to nie ona się podała, lecz – jak wspomniałem – Wyrobiec ostatniego dnia 2024 r.

Stan faktyczny na dzisiaj: Kamila Dorbach została drugi raz, decyzją ministra Wyrobca, p.o. dyrektor PISF. Pierwsze, co zrobiła, to odwołała z funkcji kierowniczkę Działu Produkcji Kingę Gałuszkę ściągniętą do instytutu przez Karolinę Rozwód i zamiast niej mianowała mecenas Martę Galińską (właścicielkę Kancelarii Prawnej w Warszawie przy ul. Kopernika 35, obsługującą również ludzi kultury, w tym filmowców).

Za kadencji dyrektora Śmigulskiego mecenas Marta Galińska była dwa razy kierowniczką tego najważniejszego działu w PISF, faktycznie decydującego o całej polskiej produkcji filmowej. Duet Dorbach – Galińska fatalnie wróży rozwojowi polskiej kinematografii, a raczej zapowiada jej zwijanie. (Zaznaczmy, że w 2025 r. PISF będzie miał o ok. 120 mln zł mniej do dyspozycji, a do tej pory nie ogłoszono Programu Operacyjnego PISF na 2025 r.!).

KORONNY ARGUMENT „ODWOŁANIOWY"

Brak miejsca nie pozwala mi na dokładne wyjaśnianie sprawy pretekstu wymuszonego odwołania dyrektor Karoliny Rozwód z PISF. Chodziło o „nieprawidłowe" dofinasowanie filmu pt. „Ministranci" w reżyserii Piotra Domalewskiego, wyprodukowanego przez Aurum Film – Bodzak-Hickinbotham-Walter. Zdjęcia do filmu zakończyły się 30 października 2024 r., a dyrektor Rozwód w oparciu o udokumentowany wniosek, który przeszedł wszelkie formalne procedury w PISF, przelała 3,2 mln zł na konto Aurum Film – i to dofinasowanie stało się właśnie pretekstem do jej odwołania i donosu do prokuratury.

Spółka Aurum Film zamieściła w Internecie wielostronicowe oświadczenie z dokładnym i niepodważalnym kalendarium zapadania decyzji w sprawie dotacji. Ponadto odwołana kierowniczka Działu Programowego, Kinga Gałuszka, stwierdziła na temat koronnego argumentu „odwołaniowego" dyrektor Rozwód, którym miała być jej (Kingi Gałuszki) służbowa notatka: „Nie mam pojęcia, o jaką notatkę chodzi. Paranoja. To jest jakiś cyrk na kółkach". To właśnie Radzie Programowej PISF minister Wróblewska 16 listopada 2024 r. rozdała trzy e-maile z zamazanymi fragmentami, których autorzy powoływali się na jakąś notatkę Kingi Gałuszki – pani minister mimo nalegań Rady nie udostępniła jej owej notatki.

Tak jak dochodziło do scysji między dyrektor Dorbach a dyrektor Rozwód, tak też dochodziło do spięć miedzy dyrektor Dorbach a Kingą Gałuszką. Według Karoliny Rozwód 20 września 2024 r. zaprosiła ona Gałuszkę na spotkanie z udziałem Kamili Dorbach i Dawida Łukasiewicza (kierownik Działu Prawnego), podczas którego Gałuszka zaprotestowała przeciw niewłaściwemu potraktowaniu jej przez wicedyrektor Dorbach. Pani Dorbach zaś podsumowała spotkanie: „Ale rozumiecie, że jestem tu, żeby realizować politykę Donalda Tuska" (ło matko!).

I jeszcze na koniec dorzucę moje trzy grosze dotyczące „Ministrantów", którzy „wyrzucili" z pracy dyrektor Rozwód. Chodzi o tytuł filmu. Czytałem scenariusz „Ministrantów" i 30 lipca 2023 r. wysłałem wysoce pozytywną recenzję do MKiDN oraz do dyrekcji PISF. Scenariusz uznałem za wręcz „ewangelizujący" młode pokolenie Polaków.

Nie wiem oczywiście, co zobaczymy na ekranie. Kryzys w polskiej kinematografii trwa od 48. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, który się odbył we wrześniu 2023 r. Czy skończy się przed jubileuszowym 50. FPFF?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fce8bbc297

W domu niewoli

Piotr Gociek

Skażona Ziemia, ostatni ludzie żyjący w podziemnym schronie. Ileż już było takich opowieści? Dlaczego więc wszyscy oglądają serial „Silos"?

Rebecca Ferguson jako Juliette Nichols

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Sto czterdzieści pięter, 10 tys. mieszkańców – całe miasteczko, cała mikrospołeczność ukryta pod ziemią. Na powierzchni żyć się bowiem nie da, czego dowodem obraz przekazywany okiem kamery ustawionej przy wyjściu. Oto nasza przyszłość według serialu „Silos" („Silo"), którego drugi sezon stał się w minionym roku jedną z najchętniej oglądanych produkcji Apple TV+. W grudniu był to największy hit serwisu. Robota jest solidna: pierwszy sezon był dobry, drugi jest jeszcze lepszy – w dużym stopniu dzięki Rebecce Ferguson w roli głównej. Pamiętamy ją jako lady Jessikę z „Diuny", tu zagrała Juliette, wraz z którą odkrywamy sekrety ponurego świata przyszłości.

Na pozór wszystko jest proste i oczywiste: na zewnątrz czeka śmierć, w silosie jest bezpiecznie, tutaj rodzimy się, pracujemy i umieramy, żywiąc się nie tylko kukurydzą uprawianą na jednym z podziemnych poziomów, lecz także nadzieją, że kiedyś niebezpieczeństwo minie i dzieci, wnuki lub prawnuki będą znów mogły bawić się pod otwartym niebem. Ale skoro wszystko jest tak proste i oczywiste, to czemu jednocześnie jest tak skomplikowane?

PRAWDA NIE DLA WSZYSTKICH

Światem silosu rządzą liczne zasady – jedne wydają się zrozumiałe, do innych przyszło się po prostu przyzwyczaić. O wszystkim decyduje Pakt – to nie tylko zbiór wskazówek dla mieszkańców silosu, lecz także coś w rodzaju konstytucji, bo reguluje funkcjonowanie aparatu państwowego. Ktoś przecież tym wszystkim musi rządzić, ktoś musi wydawać wyroki i zmuszać obywateli do przestrzegania prawa. Szarą eminencją silosu jest szef IT (Bernard Holland, którego gra Tim Robbins), obywateli śledzi departament stanowiący skrzyżowanie prokuratury z tajną policją, mamy też szeryfów pilnujących porządku. Komu się nie podoba, zapraszamy na zewnątrz, gdzie malowniczo umrze przed obiektywem kamery, przypominając wszystkim, że nawet najcięższe życie w silosie lepsze jest od niechybnej śmierci na zewnątrz.

Nietrudno dostrzec, że są w tym świecie równi i równiejsi. Nie tylko dlatego, że jedni w głębinach ciężko harują, wprawiając w ruch maszynerię podtrzymującą życie, a inni robotę mają raczej lekką. Jak w każdej dystopii największa nierówność dotyczy dostępu do prawdy. Janusz A. Zajdel ukuł kiedyś szyderczy, gorzki aforyzm: „Prawda jest tylko jedna, dlatego nie zawsze wystarczy jej dla wszystkich".

Nie bez powodu przywołuję nazwisko klasyka polskiej fantastyki. Polski widz, oglądając serial „Silos", może czuć déjà vu: Skąd my to znamy? Kinomani wspomną „O-bi, o-ba. Koniec cywilizacji" (1985) w reżyserii Piotra Szulkina i niedobitki ludzkości ukrywające się w wielkim schronie przeciwatomowym. Żyją marzeniem, że nadleci Arka i wszystkich uratuje. To oczywiście kłamstwo, Arka nie istnieje. Kłamstwo jest fundamentem zniewolenia społeczeństw opisywanych przez wspomnianego Janusza A. Zajdla, choćby świat powieści „Paradyzja" – rzekomo stacji kosmicznej, a w rzeczywistości wielkiego więzienia osadzonego na planecie Tartar.

Zajdel doprowadził tego typu metafory do perfekcji, ale przecież gdy

eprasa.pl fce8bbc297

spojrzy na początki powojennej polskiej fantastyki, to znajdziemy tam powieść „Zagubiona przyszłość" (1954) duetu Krzysztof Boruń i Andrzej Trepka. Jej akcja rozgrywa się na pokładzie wielkiego statku kosmicznego „Celestia", którego mieszkańcom wmówiono, że ruszyli w daleką podróż, bo na Ziemi nie da się już bezpiecznie żyć. W istocie chodzi o ocalenie przywilejów władców rozwarstwionego społeczeństwa, w którym wąska grupa panująca wyzyskuje pozostałych. Owi władcy to ostatni kapitaliści (i rasiści, rzecz jasna, bo socjalistyczne utopie piętnowały kapitalizm w sposób taki, jak później ruch BLM), którym nie w smak to, że na Ziemi zapanował raj komunizmu.

Mamy zatem do czynienia z figurą przydatną do tworzenia metafor społecznych, niezależnie od tego, czy twórca poglądy ma prawo- czy lewoskrętne. Zajdel demaskował kłamstwo komunistyczne, Boruń i Trepka – kapitalistyczne, u Philipa K. Dicka z kolei szło o władzę dla władzy, a także typ zniewolenia był inny, bo w „Prawdzie półostatecznej" (1964), tak jak w wielu innych swoich powieściach, zadawał bardziej metafizyczne pytania o naturę rzeczywistości. Ale wychodził od „mitologii schronu" – w podziemnych bunkrach przeciwatomowych żyli ludzie okłamywani, że na powierzchni toczy się trzecia wojna światowa.

Motyw niedobitków ocalałych po globalnym krachu (wojna, epidemia, ekologiczna katastrofa, inwazja) to chwyt w fantastyce znany od dawna i wykorzystywany po wielokroć. Ale chyba nigdzie wizje takiej przyszłości, która w istocie jest tylko przedłużeniem agonii gatunku ludzkiego, nie były tak ponure, jak w krajach bloku sowieckiego. O naszym Szulkinie już wspomniałem, ale do głowy przychodzi mi też zapomniany klasyk sowieckiego kina SF, czyli „Listy martwego człowieka" (1987) w reżyserii Konstantina Łopuszańskiego, na podstawie scenariusza braci Strugackich.

Jednak serial „Silos", którego twórcą jest Graham Yost (wymyślił m.in. seriale „Boomtown" i „Justified: Bez przebaczenia"), inspirację bierze z innego źródła. Podstawą scenariusza jest powieściowa trylogia „Silos", wydana w latach 2011–2013, której autorem jest Hugh Howey. Dzieje tych książek same w sobie są ciekawe, pisarz zyskał sławę poprzez self-publishing, najpierw zdobył wielką rzeszę czytelników i fanów w Internecie; dopiero wtedy o prawa do papierowej edycji bić się zaczęli tradycyjni wydawcy. Howey prawa do druku sprzedał, ale do e-booków zachował, co wkrótce uczyniło go bardzo bogatym człowiekiem.

Kiedy powieść „Silos" ukazywała się w Polsce (nakładem wydawnictwa Papierowy Księżyc w roku 2013), reklamowano ją hasłem „»Igrzyska śmierci« dla dorosłych". Racja, to już dzieło epoki triumfów literatury young adult, której bestsellery często bywały powieściami fantastycznymi. Dla publiki tego pokolenia opowiastki o Dicku czy innych klasykach SF to bajki o żelaznym wilku; jeśli „Silos" ma im coś przypominać, to szybciej uniwersum gier „Fallout" (niedawno rozszerzone o serial Amazona). Pamiętam, że choć książki Howeya wtedy czytałem, to nie byłem w stanie wykrzesać z siebie nazbyt wielkiego entuzjazmu, bo po prostu znam doskonale reguły rządzące tego typu historiami, poznałem je przez kilka dekad pożerania literatury SF. Dziś oglądając serial (a jestem wiernym widzem, czekającym niecierpliwie na każdy kolejny piątek, kiedy to w Apple TV+ pojawiają się nowe odcinki), mam wrażenie, że showrunner Graham Yost stworzył opowieść lepszą niż literacki oryginał. Rzadko się to zdarza.

TAK WIELE PYTAŃ

Zatem słów kilka o zaletach. O najważniejszej już wspomniałem – Rebecca Ferguson jako inżynier Juliette Nichols jest znakomita, nie ustępuje jej Tim Robbins, a w drugim sezonie pojawia się jeszcze świetny Steve Zahn. Świat silosu wykreowany na ekranie jest wizualnie spójny. Bohaterowie nie są marionetkami wypełniającymi rozmaite funkcje tylko dlatego, że czegoś tam akurat potrzebowali scenarzyści, lecz dostali odpowiednie motywacje. Konflikty, które wyznaczają tor fabuły, są naturalną konsekwencją dążenia do odmiennych celów przez celnie nakreślonych bohaterów – po tym poznajemy dobry storytelling.

Wielką zaletą „Silosu" jest to, że oprócz jednej wielkiej zagadki, czyli pytania o to, dlaczego ludzkość musiała schronić się pod ziemię, dostajemy całe mnóstwo kolejnych: Kiedy dokładnie się to stało? Jaka była natura kataklizmu? Kto zbudował silos? Kto napisał Pakt? I pytania pomniejsze, związane już z codziennym funkcjonowaniem niewielkiej, zamkniętej społeczności; pytania o regulację urodzeń (silos obliczony jest na konkretną liczbę mieszkańców),

Tim Robbins jako Bernard Holland

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl fce8bbc297

Światem silosu rządzą liczne zasady – jedne wydają się zrozumiałe, do innych przyszło się po prostu przyzwyczaić FOT. MATERIAŁY PRASOWE

politykę, mikroinżynierię społeczną (mamy do czynienia z niemal kastowym społeczeństwem). No i na najniższym poziomie mamy zwykłe codzienne konflikty, miłość, zazdrość, zawiść; mamy karierowiczów i potulnych robotników, mamy potencjalnych rewolucjonistów u podstaw społecznej piramidy i potencjalnych żądnych władzy spiskowców na jej szczytach.

W drugim sezonie za sprawą dzielnej Juliette Nichols dostaniemy całą serię pytań nowych: Ile jest jeszcze silosów? Czy gdzie indziej też żyją ludzie? Czy ktoś (a jeśli tak, to kto i w jakim celu) utrzymuje między nimi komunikację? Kto tym wszystkim zarządza? Zbliżamy się do kwestii, które sprawiają – jak sądzę – że serial „Silos" stał się wielkim hitem także wśród tych widzów, którzy zazwyczaj fantastyki nie oglądają. Sednem tej historii jest poszukiwanie prawdy w świecie, którego reguły wymykają się naszemu rozumieniu.

Jeśli jest dziś coś wspólnego dla mieszkańców rozmaitych kontynentów i krajów, członków różnych narodów i kultur, to przytłaczające wrażenie, że nasz los nie leży w naszych rękach, że naszym życiem rządzą siły, których nie jesteśmy w stanie jednoznacznie wskazać, których dokładnego wpływu nie umiemy określić. Łączy nas wspólne poczucie, że jest coś nie w porządku ze światem – jedni dociekają co i szukają odpowiedzi w wynaturzonych procesach gospodarczych, inni – w wynaturzeniach obyczajowych, jeszcze inni w zaniku religii zastępowanej quasi-wyznaniami.

To wspólne poczucie nie ma barw politycznych. Widziałem wśród opinii amerykańskich widzów na temat „Silosu" interpretacje przestrzegające przed totalitarną kontrolą w stylu KGB i nadejściem świata jak z Orwella. Widziałem też buntownicze, anarcholewicowe wersje: dlaczego niby ludzie z silosu mieliby przestrzegać praw napisanych przez ludzi z dawnych czasów (od razu pojawiały się sugestie, że np. konstytucja USA to przeżytek i że młode pokolenia nie mogą być zakładnikami zasad wymyślonych przez starych). Każdy więc widzi w tej silosowej przestrodze co innego, ale podejrzliwość jest wspólna dla wszystkich. Podobnie jak przekonanie, że prawda gdzieś tam jest, tylko na razie przed nami ukryta.

Podobna konstrukcja świata i podróży bohaterów była jedną z przyczyn wielkiej popularności serialu „Lost. Zagubieni". Śledziliśmy losy grupy ludzi, którzy próbują zajrzeć za zasłonę i odkryć, jaka jest naprawdę natura rzeczywistości. Nieudane, zdaniem wielu, zakończenie tamtego serialu nie unieważnia emocji, które przyniosło nam wcześniej jego oglądanie. Pytania o to, jaka jest prawda, czy możemy ją poznać, kto stworzył świat, w którym żyjemy, i kto go przekształca, są fundamentalne dla każdego myślącego człowieka. „Silos" okazuje się zatem metaforą nośną, bo dotyczącą kwestii podstawowych.

JASKINIA PLATONA

Nie wiem, na ile Hugh Howey celowo zaszywał w swojej książce pewne znaczenia, ale przecież jeden trop jest oczywisty. Wspomnijmy Platona i słynną metaforę cieni w jaskini. „Oto ludzie są niby w podziemnym pomieszczeniu na kształt jaskini. Do groty prowadzi od góry wejście zwrócone ku światłu" – prawił filozof. Patrzeć mogą jedynie w jedno miejsce, na ścianę oświetloną światłem padającym zza ich pleców. „Czy tacy ludzie mogliby z siebie samych i z siebie nawzajem widzieć cokolwiek innego oprócz cieni, które ogień rzuca na przeciwległą ścianę jaskini?" („Państwo" Platona, Księga Siódma). Jakże zniekształcone jest w tym momencie postrzeganie rzeczywistości przez owych nieszczęśników, przekonanych w dodatku, że to, co widzą, musi być prawdziwe, gdyż jest jedynym, co widzą?

Mieszkańcy silosu są owymi zniewolonymi mieszkańcami jaskini Platona, którzy próbują wyrwać się ze stanu zniewolenia. Ale zrzucenie kajdan to dopiero początek drogi. I tu powrócić musimy do Philipa K. Dicka i jego religijno-filozoficznych powieści fantastycznych. Dick był gnostykiem, jego zdaniem świat, który widzimy, stworzony został przez złego demiurga, z którego woli odcięci jesteśmy od prawdy i od prawdziwego Stwórcy. Bohaterowie Dicka odnajdują ślady absolutu w sfałszowanym świecie i próbują, składając okruchy prawdy, poznać prawdziwą naturę świata.

W serialu „Silos" najcenniejszymi skarbami mieszkańców podziemnego mrowiska są relikty przeszłości, dzięki którym zobaczyć można okruchy innego świata. Przynoszą obrazy zupełnie niezrozumiałe, bo ludzie z silosu nie mają nawet odpowiedniego aparatu pojęciowego, by je zrozumieć. Silosy są dziełem ludzkich rąk, stoi zatem za nimi jakiś demiurg. Kto? Widzowie serialu poczekać muszą na kolejne sezony, czytelnicy sięgnąć mogą po książki Howeya. Kibicujmy mieszkańcom silosu, ale przede wszystkim kibicujmy sobie: Kto stworzył nasz świat i jakie miał intencje? Trudno o ważniejsze pytanie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fce8bbc297

Nie oglądał się na władzę

Krzysztof Masłoń

Ten bard Solidarności i jej czasów zaczynał swą drogę artystyczną dość typowo, od poezji śpiewanej. W 1974 r. został nawet laureatem drugiej nagrody na Ogólnopolskich Spotkaniach Zamkowych „Śpiewajmy Poezję", ale szerzej stał się znany nieco później, za sprawą występów w 1981 r. – na festiwalu opolskim, a przede wszystkim na I Festiwalu Piosenki Prawdziwej w gdańskiej hali Olivii. Spotkali się tam wtedy – jak to celnie ujął Wacław Krupiński – „ci, którzy śpiewają o wolności, z tymi, dzięki którym owo śpiewanie jest możliwe".

Tadeusz Sikora z gryzącą ironią zamartwiał się w Gdańsku o przyszłość telewizyjnego dziennikarza Tadeusza Samitowskiego, znienawidzonego za tendencyjne reportaże ukazujące, kim są rzekomo działacze Solidarności i jak wredne mają intencje. Gorliwość tego propagandowego funkcjonariusza, a także – jak po latach miało się okazać – tajnego współpracownika Służby Bezpieczeństwa (TW „Danuta") była tak wielka, że Sąd Koleżeński Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich pozbawił go członkostwa SDP. A Tadeusz Sikora dobił, pytając z udawaną troską: „Czy dacie sobie radę sami, Samitowski?", sugerując profetycznie: „Czy może ktoś za wami stoi?". Drugą piosenką zaprezentowaną przez barda w Gdańsku były „Medytacje prezentera dziennika telewizyjnego".

13 grudnia mogłoby się wydawać, że wszystko uległo zmianie. Ale nie dla Sikory. Tak tego zmarłego w 2022 r. barda wspominał z tamtego czasu Marcin Wolski, współpracujący z nim w słynnym kabarecie Sześćdziesiątka: „Wbrew nazwisku był wielki jak kormoran i barwny jak wilga. Kolorowy ptak! Odważny i szlachetny. Czasem szalony". Na nielegalnych występach wykonywał swoje, też nielegalne, utwory, jak np. „Lepsze żółte niż czerwone". Brzmiał on tak:

Żółty przyjdź, żółty przyjdź
Przyjdź na naszą stronę
Lepsze żółte, lepsze żółte
Lepsze niż czerwone!
Wiem, że jadasz pałeczkami
U nas pałki ma UB
Więc je zabierz z naszej ziemi
Z pałką weź ubeka też
Weź ubeka w głuchy Tybet
Do kopania rowów weź
Lecz uważaj na te gnidy
Bo to gorsze niźli wesz
Gdy ubeków nie wystarczy
Do rycia kanałów
To ci jeszcze dołożymy
Naszych generałów
Zabierz także od nas
Wszystkich polityków
Zrób im zemstę, zrób im zemstę
Zemstę zrób Chińczyku!

„Był również – wspominał Marcin Wolski – świetnym interpretatorem cudzych utworów powstałych z początkiem wojny polsko-jaruzelskiej jak »Ostatnia szychta w kopalni Piast« czy wstrząsającego »Dziwny stan jakby toś zabił ptaka…« autorstwa ponoć Zaorskiego (nigdy nie potwierdził ani nie zaprzeczył).

Żył pełnią życia i śpiewał bez oglądania się na władzę. Nie potrafię doliczyć się jego żon i dzieci. Kochał wszystkie!

Zazdrościłem mu jego niefrasobliwości – kiedy biedował, nagminnie pożyczał pieniądze (jak twierdziłem, Sikora bogatka zmieniała się wtedy w biedotkę), kiedy pojawiała się forsa, potrafił wejść do Pewexu i zaordynować w stoisku alkoholi: »Górna półka!«".

Ale piosenki, a raczej – lepiej byłoby powiedzieć – pieśni, które śpiewał, poruszały tematy najpoważniejsze z możliwych. Stąd wziął się w jego repertuarze wiersz Stanisława Balińskiego „Polska Podziemna":

Moją ojczyzną jest Polska Podziemna,
Walcząca w mroku, samotna i ciemna.
Moim powietrzem jest wicher bez nieba,
Moim pokarmem jest krew w garści chleba,
A moim światłem, co płonie z daleka,
Jest nasze prawo i prawo człowieka.

Z pewnością zaś najważniejszym wśród dokonań Tadeusza Sikory okazać się miał hymn „Żołnierzom Narodowych Sił Zbrojnych", w którym wyznawał:

Niełatwo jest napisać taki wiersz,
lecz piszę go dla prawdy, a nie chwały.
W tym wierszu jest ofiarą nasza cześć,
A oskarżonym naród prawie cały.
Nasz naród, który jak „Pawłowa pies",
tu wszystkie winy zwala na sowietów,
a wciąż mu nie chce wejść do pustych serc
szacunek dla żołnierzy z NSZ-u.
Hardy ich kark, tchórzliwy świat
zamknąć chce w zwojach niepamięci.
Choć tyle już minęło lat,
nadal żołnierze to wyklęci.

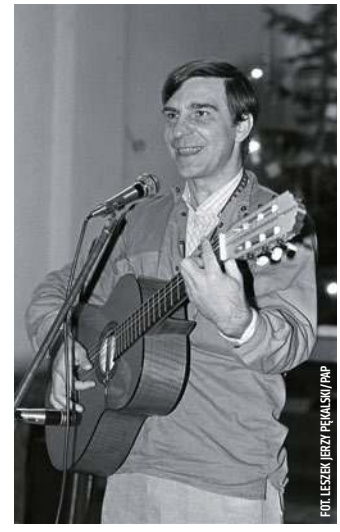

FOT. LESZEK JERZY PĘKALSKI/PAP

Nie zamknie ust cmentarny dół,
niepamięć ran też nie zabliźni,
bo dzięki nim jeszcze się tlą
resztki honoru mej Ojczyzny.
A ci żołnierze, cóż na miły Bóg,
wiedzieli – śmierć na wojnie nie pierwszyzna,
wiedzieli – tu przyjaciel a tam wróg,
a z nimi Bóg i Honor, i Ojczyzna.
A kiedy w sobie takie siły masz,
niestraszna nigdy ci przemocy buta,
i zawsze godnie swą zachowasz twarz,
bo wiesz, że siebie bracie nie oszukasz.
Dziś, kiedy wolność tu wróciła już,
a przecież mogła nam nie wrócić wcale,
nikomu ni ujmując żadnych cnót,
czas chłopcom z NSZ-u oddać chwałę.
Bo przecież nie dla naszych pustych serc
I nie dla ciemnych głów swe życie dali,
lecz chcieli nasi chłopcy z NSZ,
byś Polskę widział tu a nie z oddali.
Hardy ich kark, tchórzliwy świat
zamknąć chce w zwojach niepamięci.
Choć tyle już minęło lat,
nadal żołnierze to wyklęci.
Nie zamknie ust cmentarny dół,
niepamięć ran też nie zabliźni,
bo dzięki nim jeszcze się tlą
resztki honoru mej Ojczyzny. ©℗

eprasa.pl fce8bbc297

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Wyznania ocalonego

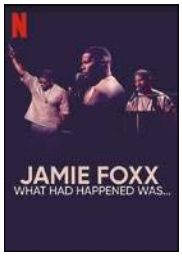

★★★★★★
REŻ. HAMISH HAMILTON
„JAMIE FOXX: WHAT HAD HAPPENED WAS..."
USA 2024, NETFLIX

Komedia to poważna sprawa. Wbrew przekonaniu niektórych w występach stand-up wcale nie chodzi o żarty głupawe lub zbyt ryzykowne, by pokazała je mainstreamowa telewizja. Mistrzowie tej formy: Dave Chappelle, Louis C.K., Jerry Seinfeld zawsze potrafią powiedzieć nam o życiu coś, czego zdarza się nam na co dzień nie dostrzegać. Arcymistrzowie potrafią zaprosić do wspólnego katharsis. Richard Pryor odgrywał na scenie własny zawał, Neil Brennan okazał się obezwładniająco szczery w opowieści o zmaganiach z depresją. Teraz do tego grona dołączył Jamie Foxx, który wraca z niebytu po ponad roku.

Sprawa wzbudziła w roku 2023 potężną falę fanowskich spekulacji i najdzikszych teorii spiskowych. Ot, z dnia na dzień znika znany gwiazdor Hollywood i nikt nie ma pojęcia, co się z nim dzieje. W występie „What Had Happened Was..." aktor zaczyna od zwykłego dnia, w którym rozbolała go głowa. Pierwszy lekarz zalecił aspirynę i pogonił gwiazdę „Django" precz, miał jednak Foxx wielkie szczęście, że siostra zabrała go na poszukiwanie innego lekarza. W jednym ze szpitali w Atlancie doczekał się diagnozy tyleż właściwej, ile brutalnej: udar. Potem natychmiastowa operacja, dwa tygodnie w śpiączce, zaniki pamięci, początek długiej rehabilitacji. Aktor miał kłopoty z mówieniem, poruszaniem się, kontaktem z otoczeniem. Ale udało się i we wrześniu 2024 r. mógł o własnych siłach odprowadzić córkę do ołtarza.

O tych długich miesiącach walki o życie i zdrowie opowiada w swoim najnowszym występie. Jest to stand-up przezabawny, jeden z najlepszych w minionym roku, a jednocześnie i głęboko wzruszający, i przerażający (zdrowy jak byk, wysportowany gwiazdor Hollywood w ułamku sekundy zamienił się w niemal denata i był o włos od życia jako warzywo). Jamie Foxx nie boi się przy tym publicznie dziękować Bogu, okazywać wdzięczności za modlitwy fanów, a nawet określić lekarza, który go operował, mianem anioła działającego w imieniu opatrzności. Wszystko to mówi aktor na scenie Atlanta's Alliance Theater, parę kilometrów od Piedmont Atlanta Hospital, gdzie ocalił go „biały chłopak w koszulce Lakers", jak Foxx określa neurologa Alberta Schuette'a. Są i łzy podczas tego występu. Czy można się dziwić? ©℗

GRA TYGODNIA: „FITNESS BOXING 3: YOUR PERSONAL TRAINER"

Kiedyś instruktorzy fitness trafiali pod strzechy na kasetach VHS, później przez satelitę, następnie przez światłowód, a od jakiegoś czasu także za sprawą gier wideo. „Fitness Boxing 3" to najlepsza odsłona cyklu, która potrafi zachęcić nas do zaangażowania się i regularnych ćwiczeń z wirtualnym trenerem. Dla osób, które nie mogą ćwiczyć w pozycji stojącej, przewidziano tryb siedzący. Oczywiście nie trzeba się pocić samemu, można zaprosić kogoś do zabawy przed jednym telewizorem.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

Na plus cena – nieco niższa, niż to zwykle bywa w wypadku gier na Switcha. ©℗ ***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** ***sportowa***
- ***Platforma:*** ***Nintendo Switch***
- ***Producent; wydawca:*** ***Imagineer; Nintendo***

eprasa.pl fce8bbc297

Totalne zaćmienie

KINO

Nie od dziś wiadomo, że panny z dobrych domów mają słabość do chuliganów. Gdy rezolutna Jacqueline nawiąże kontakt wzrokowy z przywódcą osiedlowej bandy, motyle w brzuchu są pewne jak amen w pacierzu. Co prawda, różni ich stosunek do przemocy, jednak miłość (zwłaszcza w nastoletnim wydaniu) może pokonać każdą przeszkodę i zamazać każdą różnicę. Dziewczyna potrafi być zresztą czupurna, Clotaire pod maską twardziela skrywa zaś złote serce. W klasycznych melodramatach kochankowie przechodzili próby, które potwierdzały lub negowały siłę ich uczucia.

★★★★☆☆

REŻ. GILLES LELLOUCHE
„BEATING HEARTS" („L'AMOUR OUF")
FRANCJA 2024

wyst. Malik Frikah, Mallory Wanecque, François Civil

Nie inaczej jest w tym wypadku. Francuski Romeo drogę od drobnego złodziejaszka do gangusa pokona w tempie TGV. Julia będzie miotać się między rozpaczą, nadzieją i zwątpieniem. Kolejne okno (a raczej lufcik) możliwości otworzy się dla nich dopiero 10 lat później. Pytanie: Czy zdążą z niego skorzystać? Twórcy „Beating Hearts" znają oczekiwania widowni, lecz lubią się z nią droczyć i roztaczają alternatywne wizje przyszłości. Pierwszą w prologu, na kolejną trzeba poczekać 160 minut. Szczęśliwie te minuty się nie dłużą. Gilles Lellouche, choć dużo starszy od swoich bohaterów, przedstawia ich perypetie z werwą i wyczuciem. Przekaz intensyfikują ścieżka dźwiękowa, złożona z kompozycji pamiętających prezydenturę Mitteranda, oraz dwa zaćmienia słońca. Oczywiście mądrale stwierdzą, że to wszystko już było. Zaczynając od figury romantycznego bandziora i motywu zemsty godnej hrabiego Monte Christo, a kończąc na chłopackiej przyjaźni, którą zakończyć może tylko śmierć lub zdrada. Od schematu cokolwiek odbiega postać króla przestępczego podziemia. Nie dość, że lubi sobie pośpiewać, to jeszcze ma zwyczaj łączyć interesy z wizytami w kościele. Druga, „dorosła" połowa filmu wabi gwiazdorską obsadą (Civil aktorsko deklasuje panią Exarchopoulos), lecz rozczarowuje pretensjonalnym epilogiem. Część juniorska ma zdecydowanie więcej uroku. „Beating Hearts" we Francji bardzo się podobał, tylko krytycy wybrzydzali. Może zirytowała ich sugestia, że nawet w ojczyźnie oświecenia nie trzeba skończyć szkoły, żeby poradzić sobie w życiu. Wystarczy wyrywkowa lektura słownika Larousse'a.

©℗ ***Wiesław Chełminiak***

OGIER Z TEKSASU

VOD MDAGPL

1969 to był dla Hollywood sądny rok. Kolejny, w którym okazało się, że wysłużone gwiazdy tracą blask, a sprawdzone patenty przestają działać.

Producenci w desperacji zapalili zielone światło dla cudzoziemców i młodzieży. W rezultacie powstały produkcje na owe czasy obrazoburcze: „Absolwent", „Swobodny jeździec" i „Nocny kowboj". Reżyser ostatniego z nich, Brytyjczyk John Schlesinger, zaczynał jako dokumentalista. W godzinie szczytu zobaczył leżącego na chodniku trupa, ignorowanego przez tłum nowojorczyków. Umieszczenie tej sceny na początku filmu nie przeszkodziło mu w kasowym sukcesie. Analiza fenomenu „Nocnego kowboja" byłaby ciekawsza, gdyby komentujący, zamiast skupiać się na wątkach gejowskich i Wietnamie, raczyli dostrzec, że jest to przede wszystkim opowieść o pozbawionej podtekstów męskiej przyjaźni. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. NANCY BUIRSKI
„LEGENDA NOCNEGO KOWBOJA"
USA 2022

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Twórców dwóch

GDZIE?
Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie
KIEDY?
do 9 listopada

Eksponaty gromadzone w muzeach etnograficznych zawsze mają dwóch twórców. Jednym z nich jest ten, który wykonał obiekt, „twórca ludowy", a drugim – miejski inteligent, który przyjeżdża na wieś i legitymizuje obiekt jako sztukę ludową. Z takiego założenia wychodzi wystawa „Dwie dusze twórcy ludowego", która wskazuje zatem, że sztuka ludowa jest… konstruktem stworzonym przez inteligencję miejską. „Wychodząc od założenia, że aby powstała sztuka ludowa, potrzebny jest gust z miasta i ręce ze wsi, ekspozycja skupia się na wiejskich twórcach i ich dziełach, wskazując w warstwie tekstowej na kontekstualizacje, wytwarzające ich wartość jako dzieł sztuki ludowej […]. Przenosi ciężar z inteligenckiego dyskursu o sztuce i ludowości na wieś, jej kulturę materialną i jej mieszkańców" – piszą autorzy wystawy. ©℗

FOT. PAŃSTWOWE MUZEUM ETNOGRAFICZNE W WARSZAWIE

eprasa.pl fce8bbc297

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Strach się bać

Dlaczego mamy się bać niemieckich laureatów Pokojowej Nagrody Nobla? Na te i inne, równie interesujące pytania (jak choćby to o związki Immanuela Kanta ze strategią Mitteleuropy) odpowiada wybitny znawca stosunków polsko-niemieckich prof. Grzegorz Kucharczyk w książce „Kłopoty z Niemcami".

Noblistów Niemcy w swej historii mieli co niemiara. Pod tym względem wyprzedzają ich tylko Amerykanie i Brytyjczycy. Samych laureatów w najbliższej mi dziedzinie literatury mieli ośmiu. Niektórych zapomnieliśmy ze szczętem, jak Theodora Mommsena czy Paula Johanna Ludwiga von Heysego, innych pamiętamy aż za dobrze, jak Güntera Grassa, mającego swoją ławeczkę (dzieli ją z bohaterem swej powieści Oskarem Matzerathem) w rodzinnym Gdańsku, którego został honorowym obywatelem w roku 1993, sześć lat przed przyznaniem mu Nobla. Później wprawdzie przyznał się do wojennej służby w Waffen-SS, mleko się rozlało i nawet sam Lech Wałęsa, w końcu też noblista, zagroził, że jak twórca „Blaszanego bębenka" nie odda honorowego obywatelstwa grodu nad Motławą, to on odda swoje, następnie jednak zmienił zdanie i pochwalił niemieckiego prozaika za dokonaną ekspiację, której skądinąd inni jakoś nie zauważyli.

Zawirowania wokół noblowskich laurów dla niemieckich ludzi pióra miały miejsce i potem, że wspomnę tylko o wyróżnieniu dla Herthy Miller, której ojciec wsławił się wojennymi czynami w tej samej co Grass, nomen omen, formacji Waffen-SS – 19. Dywizji Pancernej „Frundsberg". Tyle o niemieckich literatach, tych z górnej półki.

FOT. GRZEGORZ KUCHARCZYK/YOUTUBE

Laureatów Pokojowej Nagrody Nobla z niemieckim rodowodem było formalnie czterech, w tym po drugiej wojnie światowej zdarzył się Germanom jeden, za to sam Willy Brandt. Nagrodzono go głównie za złożenie kwiatów pod pomnikiem Ofiar Getta Warszawskiego. Kanclerzem RFN przestał być po tym, jak w jego otoczeniu wykryto komunistycznego szpiega. Profesorowi Kucharczykowi mniej jednak o niego chodziło, gdy ostrzegał przed niemieckimi heraldami pokoju, a już bardziej o innego niemieckiego kanclerza noblistę, Gustava Stresemanna, inicjatora wojny celnej z Polską, dążącego do likwidacji bardzo go uwierającego „polskiego korytarza". Jak również o Alfreda Hermanna Frieda, formalnie przypisanego do Austro-Węgier, jako że tam urodzonego – jak Hitler, założyciela Niemieckiego Towarzystwa Pokojowego, no, pacyfistę, co się zowie. Ten noblista z roku 1911 zapisał się w niemieckich dziejach oburzeniem, z którym przyjął warunki pokoju przedstawione Niemcom w 1919 r., ponieważ oznaczały one, jego zdaniem, zamknięcie wielkiego narodu w „żelaznej klatce". Germanie oburzenie to podzielili w całej rozciągłości, a z podpisanym niebawem traktatem wersalskim nie pogodzili się nigdy. Także dlatego, że traktat ten – czytamy – „potwierdzał powrót, w sensie prawa międzynarodowego, niepodległego państwa polskiego na mapę Europy. Niepodległość Polski, zatwierdzona i uznana oficjalnie przez traktat wersalski, to dla niemieckich elit politycznych od prawa do lewa oraz dla milionów tzw. zwyczajnych Niemców była rzecz niedopuszczalna. To im się nie mieściło w głowach".

Książka prof. Kucharczyka po tytule ma wybite trzy hasła: „Kulturkampf", „Ostpolitik" i „Mitteleuropa". W zasadzie neutralne, w istocie jednak przypominające, że wciąż mamy z Niemcami niezałatwione sprawy, nie tylko my zresztą, bo i cała Europa ma z nimi problemy. Autor „Kłopotów z Niemcami" (to jednak bardzo eufemistyczny tytuł) wskazuje na dwa aspekty tej samej historii, ponieważ problemy Europy z Niemcami są lustrzanym odbiciem ich problemów z Rzymem. Te ostatnie narastały wraz z upływem czasu, odkąd reformacja protestancka zachwiała duchowymi i intelektualnymi filarami chrześcijaństwa. W każdym razie ten naród, który – jak powiadał Zygmunt Freud – „został źle ochrzczony", wciąż nie dokonał tego, czego domagał się od niego już po pierwszej, nie po drugiej wojnie światowej znany niemiecki (!) pedagog Friedrich Wilhelm Foerster: wyspowiadania się. Nie uczynił tego, choć jego przywódcy utrzymują, że od dawna mają to już za sobą. A skoro tak, to nie ma najmniejszego powodu, byśmy traktowali ich inaczej, niż nakazują to nam pamięć i poważne traktowanie polskich – bo nie mamy innych – obowiązków: jako nieprzyjaciół naszych dla doraźnych interesów przebranych w sojusznicze szaty. ©℗

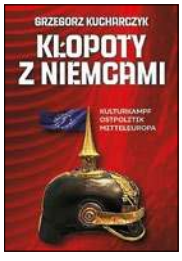

★★★★☆

GRZEGORZ KUCHARCZYK „KŁOPOTY Z NIEMCAMI" FRONDA, WARSZAWA 2024

eprasa.pl fce8bbc297

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wola Twoja

Tom opowiadań „Incydenty" Andrzeja Horubały jest dla mnie najlepszą polską książką, którą czytałem w roku 2024. Siedem zebranych w niej tekstów to Horubała w najlepszej formie. Powstawały przez kilka lat, publikowane były w Internecie, pojedynczo, w dużych odstępach czasu, by jedno nie przesłaniało drugiego, by każdy tekst mógł wybrzmieć.

Co jest ważne dla Horubały? W obszernej rozmowie poświęconej „Incydentom" (dostępna na YT, na kanale Literacki) mówił, że za każdym razem chciał grać o wszystko, mierzyć się z poruszaną kwestią w sposób absolutnie szczery, co oczywiście sprawia, że są to opowiadania, których lektura bywa bolesna. Widzimy więc w „Incydentach" różne formy ludzkiego upadku, bohaterów, których pycha, chciwość, zwątpienie, obojętność wiodą ku ponurym życiowym okolicznościom. Ale człowiek nie istnieje sam z siebie – są więc te teksty pytaniami o Boga: o to, czy ingeruje w nasze życie (a jeśli tak, to w jaki sposób), o to, czy potrafimy dostrzec Jego zamiary (a jeśli tak, to czy umiemy zobaczyć ścieżkę, którą chce nas poprowadzić). Upadamy sami. Aby wstać, potrzebujemy pomocy.

Nie zmieniła się metoda twórcza – Horubała nadal jest bezlitosny dla swoich bohaterów, demaskując grzechy tych, którym wydaje się, że są panami świata. To zamiłowanie do rzucania bliźnim w twarz prawd niewygodnych pakowało już Horubałę pisarza w kłopoty: wspomnijmy recepcję powieści „Umoczeni" oraz „Wdowa smoleńska". Czytamy więc na własne ryzyko, ale jest to ryzyko, które warto podjąć. Doszlifowaniu uległa jednak forma – w opowiadaniach nie ma ani jednego niepotrzebnego słowa, dostajemy, można rzec, Horubałę w destylacie, dostajemy esencję jego rozważań.

Niektóre opowiadania są świetnym materiałem na film („Ptasia i zakonnica", w której nakreślono ponury obraz tzw. transformacji ustrojowej w III RP), inne proszą się po prostu o uważną lekturę i ustawienie potem gdzieś między dziełami Bernanosa czy Mauriaca (choćby „Mniszek", o którym pisałem szerzej w „Do Rzeczy" nr 43/2019). To jest proza głęboko religijna w najlepszym znaczeniu tego słowa, ale nie jest to proza kościółkowo-uspokajająca. W dzisiejszym antyreligijnym świecie teksty Horubały okazują się aktem buntu. I jakże świetnie są napisane. ©℗

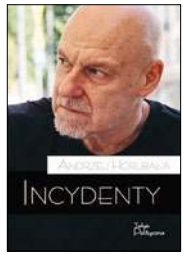

★★★★★☆
ANDRZEJ HORUBAŁA „INCYDENTY" TEOLOGIA POLITYCZNA 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Lektura niezbędna dla zrozumienia przyczyn konfliktów na Bliskim Wschodzie: dzieje francusko-angielskiej rywalizacji kolonialnej i jej dziedzictwa: niewłaściwych granic niestabilnych państw.

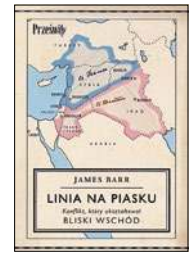

JAMES BARR „LINIA NA PIASKU" WYDAWNICTWO PRZEŚWITY

Kto i dlaczego straszył amerykańską stonką ziemniaczaną, czemu komuniści marzyli o wyhodowaniu żubrokrowy (znanej jako żubroń), jak połowy kryla miały ocalić świat przed głodem – opowieść zabawna i pouczająca.

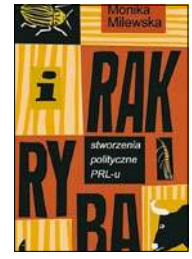

MONIKA MILEWSKA „RAK I RYBA. STWORZENIA POLITYCZNE PRL-U" CZARNE

Znakomitych książek prof. Nowaka dostaliśmy już wiele, ale wywiad rzekę otrzymujemy po raz pierwszy. Rzecz nie tylko o historii, bo znany historyk jest uważnym recenzentem teraźniejszości – surowym dla obu stron sporu.

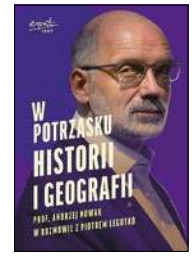

PROF. ANDRZEJ NOWAK „W POTRZASKU HISTORII I GEOGRAFII" ESPRIT

Podtytuł „Teatr polski wobec rewolucji 1905 roku" nie oddaje w pełni skali analizy. A ta zamienia się w opowieść o narodzie, o sporach, „jak walczyć", a nawet relację z rozważań myślicieli polskich i obcych o potrzebie zmiany. ©℗ *recenzuje Piotr Gociek*

ANNA KULIGOWSKA-KORZENIEWSKA „CZWARTY AKT WESELA" INSTYTUT TEATRALNY 2024

KOMIKS TYGODNIA: ŚWIAT DO SKASOWANIA

Komiks i fantastyka to dwie miłości Ugo Bienvenu, francuskiego grafika młodego pokolenia. Tworzy filmowe szorty wraz z Kevinem Manachem, współpracował z Marvelem. Album „Preferencje systemowe" to jego pierwsza publikacja na polskim rynku, opowieść o świecie, w którym sztuczna inteligencja i transhumanizm są nie nadzieją, lecz przekleństwem ludzkości. ©℗ *Piotr Gociek*

UGO BIENVENU „PREFERENCJE SYSTEMOWE" SCREAM COMICS 2024

eprasa.pl fce8bbc297

Z Tomaszem Panfilem, historykiem, profesorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Nie ma czegoś takiego, jak „polski antysemityzm”

TOMASZ D. KOLANEK: Czy istnieje coś takiego jak „polski antysemityzm wyssany z mlekiem matki"?

PROF. TOMASZ PANFIL: Istnienie antysemityzmu jest faktem. Moim zdaniem nie wolno tutaj jednak stosować dookreśleń narodowościowych. Wybitni Rzymianie występujący na kartach podręczników historii, wskazywani jako wybitni politycy, ludzie kładący fundamenty naszej cywilizacji, filozofowie i myśliciele – Cyceron, Tacyt, Seneka – bardzo negatywnie wypowiadali się o Żydach. Ustawodawstwo rzymskie miało sporo praw antyżydowskich. Czy ktoś jednak mówi, że starożytny Rzym był imperium antysemickim? Czy stosuje się frazy „rzymski antysemityzm”, „Rzymianin antysemita”? Bo ja się z tym nie spotkałem.

Jednak ze zlepkiem „Polak antysemita” chyba raczej się pan profesor spotkał, prawda?

Spotkałem się i uważam, że jest to, najdelikatniej mówiąc, manipulacja, a nie opis faktów historycznych.

Tak jak powiedziałem: wszelkie narodowe przymiotniki nie powinny być zestawiane ze słowem „antysemityzm”. Antysemityzm może być np. ekonomiczny. I w znaczącej liczbie przypadków taki był. W tym wypadku nie ma znaczenia, czy rywalizację ekonomiczną prowadzą z Żydami Anglicy, Niemcy, Francuzi czy Polacy. Nie ma znaczenia, która nacja, ponieważ istotą postaw nacechowanych negatywnie wobec jakiejś grupy jest rywalizacja ekonomiczna i to ona daje impuls do ustaw czy obostrzeń związanych z Żydami.

Najbardziej antysemicka przez wieki była Rosja...

Rosja?

Tak. Dlaczego jest pan zdziwiony?

Biorąc pod uwagę, jak wielki wpływ mieli Żydzi na tworzenie i istnienie ZSRS, trudno mi w to uwierzyć...

Czyli zgadza się pan ze mną, że antysemityzmu nie można określać przymiotnikami narodowymi bądź państwowymi.

Rosja była antysemicka z pobudek ekonomicznych. Wypędzano stamtąd Żydów, bo uprawiali lichwę, czyli pożyczali na procent, ponieważ zyskując dominację w jakiejś branży, zaczynali dyktować korzystne dla siebie warunki wymiany handlowej. Właśnie dlatego ich wypędzano albo – kiedy pierwiastek barbarzyński dominował nad cywilizacyjnym – mordowano. Czy znajdziemy w dziejach ekonomicznych świata przypadek sympatii wobec monopolistów?

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

Jednocześnie, jak słusznie pan przypomniał, wielu Żydów odgrywało ważne role zarówno w państwie carów, jak i w państwie bolszewików. Czy wobec tego da się tutaj zastosować zwrot typu „rosyjski antysemityzm”? Nie. Można mówić o antysemityzmie, ale jego przyczyn nie należy szukać w narodowości prześladujących i prześladowanych, nie w narodowości ofiar i katów, tylko w walce czy rywalizacji na rozmaitych płaszczyznach.

Skoro można mówić o antysemityzmie ekonomicznym, to czy można np. mówić o antysemityzmie wyznaniowym?

Oczywiście. Taki antysemityzm uprawiali przywołani przeze mnie Rzymianie, którzy nie znosili Żydów ze względu na ich religię. Znane są przypadki represji państwa rzymskiego wobec obywateli rzymskich z powodu konwersji na judaizm. Tak więc bez cienia zawahania można powiedzieć, że w tym przypadku płaszczyzną rywalizacji była religia.

Najczęściej jednak płaszczyzną rywalizacji była szeroko pojmowana ekonomia. Narodowość natomiast odgrywa tutaj zdecydowanie mniejszą rolę.

Nie ma bowiem, co wyjaśniłem, czegoś takiego jak „polski antysemityzm”. Można co najwyżej mówić o antysemityzmie na ziemiach polskich, ale jego podłożem była

eprasa.pl fce8bbc297

rywalizacja ekonomiczna – taka sama jak w Anglii, Rosji, we Francji czy w innych krajach. Jest jednak pewna różnica: Polskę różni od państw przed chwilą wymienionych to, że Żydzi z Anglii, Hiszpanii, Niemiec, Francji byli wypędzani, a w Polsce znajdowali schronienie.

Dlaczego Żydzi uciekali do Polski? Dlaczego to właśnie w Polsce znajdowali schronienie?

Trzeba sobie uzmysłowić, że antysemityzm w państwach zachodnich wyrasta w obrębie władzy świeckiej. Nigdzie Kościół katolicki nie jest czynnikiem sprawczym. Wręcz przeciwnie: Kościół katolicki w osobach biskupów jest obrońcą Żydów.

Słynne pierwsze pogromy Żydów, które miały miejsce w roku 1096, wyglądały tak, że niejaki hrabia Emich – Niemiec – któremu nie chciało się wypełnić polecenia swojego suwerena i ruszyć na krucjatę do Ziemi Świętej, stwierdził, iż odbędzie krucjatę, nie narażając się zbytnio na trudy i niebezpieczeństwa, i zaatakował żydowskich mieszkańców ówczesnego miasta Spira.

Co zrobili Żydzi ze Spiry, kiedy żołdacy hrabiego Emicha rzucili się na nich? Uciekli i schronili się w pałacu biskupim. Śmierć poniosło, jak podają źródła, 12 Żydów, którzy nie zdążyli schronić się u biskupa.

Następny atak hrabia Emich wykonał w Wormacji i tam Żydzi zrobili to samo – uciekli na dwór biskupa. Niestety, tym razem to, że miejscem schronienia prześladowanych był dwór biskupi, nie zatrzymało hrabiego Emicha. Jego ludzie zdobyli dwór, samego biskupa poturbowali, a Żydów wymordowali.

Ten scenariusz powtarzał się w kolejnych miastach Nadrenii. Żeby tego było mało, przykład niemiecki rozszerzył się m.in. na Pragę, gdzie dokonywał pogromów niejaki Volkmar. Jeśli spojrzymy na ówczesną mapę, to zobaczymy, że Żydzi nie mogli uciekać na zachód, bo tam mordował hrabia Emich. W Pradze mordował Volkmar. Jedynym więc kierunkiem, gdzie Żydzi mogli uciekać, był wschód. Uciekali więc do Polski i na Węgry.

Nie wiemy, co się działo na ziemiach polskich, ale wiemy, co się działo na Węgrzech. Bandy niemieckie Volkmara ruszyły w pogoń za Żydami na terytorium Węgier, gdzie uciekinierów chroniły oddziały króla węgierskiego. Doszło do walki zbrojnej, którą Niemcy przegrali i musieli się wycofać.

Przepraszam, ale brzmi to tak nieprawdopodobnie, że ciężko w to uwierzyć...

Prawda? Wojska węgierskie występują przeciwko siłom niemieckim w obronie Żydów…

W tym samym czasie część Żydów przybywa do Polski. Nie wiemy nic o jakichś gwałtownych wydarzeniach. Wiemy za to, że Żydzi znajdują u nas schronienie. Dlaczego? Bo Kościół w Polsce, po pierwsze, jest młody, ale silny, a po drugie – władza świecka ściśle współpracuje z Kościołem.

W Niemczech władza świecka w osobie hrabiego Emicha czy Volkmara występuje przeciwko władzy duchownej. W Polsce i na Węgrzech natomiast panowie świeccy część swojej siły czerpią ze współpracy z Kościołem i dlatego razem z Kościołem chronią prześladowanych.

Pytał pan, dlaczego Polska. Ponieważ w Polsce jest bezpiecznie. Ponieważ w Polsce Żydów pod opiekę biorą nie tylko duchowni, tak jak miało to miejsce w Nadrenii, lecz także panowie świeccy.

I ta sytuacja utrzymuje się w kolejnych latach. Pogromy w Nadrenii powtarzają się z przerażającą regularnością. Co kilka lat władza świecka postanawia wymordować Żydów i przejąć ich majątki, a ponieważ jest to okres rozdrobnienia feudalnego w Niemczech, nie ma żadnej siły zwierzchniej, która mogłaby Żydów bronić dosłownie, czyli zbrojnie.

Żydów broni za to papież Klemens IV; Żydów broni wspaniały późniejszy święty katolicki Bernard z Clairvaux, którego już za życia Żydzi nazywali świętym. Żydów w końcu bronią Węgrzy i Polacy, u których ci znajdują schronienie i bezpieczeństwo.

Skąd w związku z tym wziął się na polskich ziemiach antysemityzm, skoro Polacy początkowo zapewniali Żydom schronienie i bezpieczeństwo?

Antysemityzm był skutkiem rywalizacji ekonomicznej, ale nie tylko. Lichwa – czyli pożyczanie na procent, co jest dzisiaj społecznie akceptowaną podstawą działalności bankowej – w średniowieczu była dla chrześcijan zakazana. Można było pożyczyć pieniądze, ale nie wolno było żądać zwrotu większej kwoty, niż się pożyczyło. Chrześcijanie nie mogli pożyczać na procent, ponieważ było to traktowane jako grzech. Jednak to, co obowiązywało chrześcijan, nie obowiązywało Żydów. Dla Żydów lichwa grzechem nie była i mogli oni pożyczać na procent.

Przypadki, że jakiś hrabia w Niemczech, we Francji, w Hiszpanii czy Anglii pożyczył pieniądze na procent od Żyda, a potem stwierdził, iż nie chce mu oddać, były częste. Co wówczas robiono? Rozdzierano szaty i krzyczano, że to Żyd, że trzeba go zabić, bo on ukrzyżował Pana Jezusa. Tacy drobni cwaniacy i zwykli barbarzyńcy – mimo że nominalnie arystokraci – znajdowali sobie uzasadnienie, którego Kościół nigdy nie podnosił. Ówczesna doktryna katolicka głosiła bowiem, że paruzja, czyli powtórne przyjście Pana Jezusa, nastąpi wówczas, gdy Żydzi zrozumieją, że błądzili, i się nawrócą. W związku z tym nie wolno ich prześladować ani pod przymusem nawracać, bo prześladowania Żydów prowadzone rzekomo w imieniu Kościoła opóźniają przyjście Chrystusa, są sprzeczne z doktryną.

Kościół więc Żydów chroni i bardzo wyraźnie zabrania przymusowych chrztów. Oczywiście Kościół nie dysponuje siłą świecką, więc więksi czy mniejsi feudałowie i panowie, jak chcą Żydów pognębić, to i tak to zrobią; jak chcą zniwelować swoje długi wobec Żydów, to jakiś sposób wymyślą, ale nigdy nie ma to aprobaty Kościoła instytucjonalnego.

To, co mówię, nie oznacza oczywiście, że nie ma duchownych, którzy są po prostu podli, którzy są szaleńcami, którzy nie znają zasad wiary. Przywołany przeze mnie św. Bernard z Clairvaux powstrzymywał panów świeckich, których poduszczał do aktów antysemickich mnich Ruprecht.

Wracając do pana pytania: popełnia pan bardzo powszechny błąd, polegający na nierozróżnianiu kolejnych fal migracji i kolejnych pokoleń Żydów. Te fale migracji docierały do Polski przez kolejne wieki. Anglia wypędziła Żydów w roku 1290; Francja w 1306; Hiszpania w 1492, więc można powiedzieć, że co wiek, to jakieś prześladowania czy wypędzenia...

Żydzi przyjeżdżają do Polski. I co się z nimi dzieje?

Asymilują się i stopniowo wtapiają w polski krajobraz i polską ludność.

eprasa.pl fce8bbc297

Oni po prostu przestają być Żydami, którzy przybyli do Polski w wiekach XI, XII, XIII, XIV itd., ponieważ stawają się Polakami.

Bardzo wyraźnym przykładem tego, jak Żydzi wtapiają się w miejscową społeczność, są frankiści – heretycy w judaizmie, którzy doszli do wniosku, że Pan Jezus był Mesjaszem. W końcu XVIII w. znaczna część z nich przeszła na katolicyzm i stała się Polakami, polską szlachtą, polską burżuazją. Frankistą był np. człowiek, którego nazwisko do dzisiaj pojawia się w przestrzeni publicznej, biznesowej, czyli bankier Leopold Stanisław Kronenberg. Frankistą był również Jan Gottlieb Bloch – człowiek, któremu zawdzięczamy budowę pierwszej linii kolejowej w Polsce, jeden z aktywnych działaczy na rzecz rozbrojenia na przełomie wieków XIX i XX.

Frankiści są dobrym przykładem na to, jak Żydzi mieszkający na ziemiach polskich wtapiają się w polskość. Żydów podobnych do Kronenberga czy Blocha, niekoniecznie ze świata biznesu, było bardzo, bardzo wielu.

Żydem, który stał się Polakiem, był również Antoni Słonimski. W jednym ze swoich reportaży opisywał, jak podczas rejsu do USA podszedł do niego jakiś człowiek, który stwierdził, że Słonimski na pewno jest mocno prześladowany w Polsce. Słonimski odpowiedział, że tak nie jest, że jest szanowanym poetą, prozaikiem i felietonistą, że Polacy go szanują, a nie prześladują. Puenta reportażu była taka, że rozmówca Słonimskiego nazwał go agentem, ponieważ wie ze swoich gazet, że w Polsce prześladują Żydów. Kiedy i dlaczego narodziła się w związku z tym legenda o polskim antysemityzmie?

To nie była legenda. Postawy antysemickie w Polsce pojawiły się w ostatnich 25 latach XIX w., wtedy gdy pojawiły się w Stanach Zjednoczonych, we Włoszech czy we Francji. Zjawisko generalne: kończy się trwający kilkanaście stuleci model gospodarki, kiedy pieniądz generowany jest przez uprawę ziemi – czy to bezpośrednio, czy to w formie czynszów dzierżawnych. Umiera dawna, uniwersalistyczna i agrarna Europa, rodzą się gwałtowne konflikty między nowymi klasami i warstwami społecznymi. Nowy pieniądz związany jest z kapitałem, akcjami, giełdami i operacjami finansowymi, przez większość postrzeganymi jako spekulacja. W 1882 r. upada Union Générale, francuski katolicki bank cieszący się poparciem papieża Leona XIII. Jedną z przyczyn jego upadku były działania konkurencji kierowanej m.in. przez Rothschilda. We Francji pojawiła się, i to potężna, antyżydowska obsesja: we wszystkich przejawach kryzysu dopatrywano się ręki syndykatu, tajnej organizacji rzekomo założonej i kierowanej przez Żydów. Olbrzymią popularnością cieszyła się książka Edwarda Drumonta „Żydzi francuscy". Swój szczyt ta fala antysemityzmu osiągnęła w postaci sprawy Alfreda Dreyfusa: oficera francuskiego i Żyda fałszywie oskarżonego i skazanego za szpiegostwo na rzecz Niemiec. Po drugiej stronie oceanu Henry Adams, laureat Nagrody Pulitzera i autor dziewięciotomowej historii Stanów Zjednoczonych, uważał, że „jesteśmy w rękach Żydów, którzy robią, co chcą, z naszymi wartościami".

Na ziemie polskie nowoczesny, ekonomiczny antysemityzm dotarł wraz z falami migracji Żydów z Rosji. Władze rosyjskie zaczęły wyrzucać tamtejszych Żydów z rosyjskich miast, tak jak wcześniej robiono to w Europie Zachodniej. Co ciekawe, carska Rosja nakazała wówczas Żydom przeniesienie się do Królestwa Polskiego. W związku z tym na ziemie polskie ze Wschodu napływały masy Żydów uciekających przed szykanami administracyjnymi i faktycznymi pogromami. Największe pogromy do czasów Hitlera i jego obłąkańczej ideologii miały miejsce na ziemiach rosyjskich, gdzie doszło do masowych mordów Żydów w dziesiątkach miast, głównie na ziemiach ukraińskich.

Żydzi z Rosji uciekają więc do Polski. I co się dzieje? Nie asymilują się. Żydzi rosyjscy trzymają się razem, co jest naturalnym odruchem. Ludzie wypędzeni, ludzie uciekający przed niebezpieczeństwem w obce strony tak właśnie robią. I tak się tworzyły getta. Nie dlatego, że ktoś tam Żydów zamknął, tylko dlatego, że Żydzi obawiali się nowego otoczenia, o którym nic nie wiedzieli, które traktowali z nieufnością i przez nie byli traktowani nieufnie. Przybyli bowiem na obce ziemie, które były pod zwierzchnictwem Rosji. Mogli więc się spodziewać różnych rzeczy.

W Polsce nie spotkało ich to, czego doświadczyli na Wschodzie. U nas nie ma pogromów w miastach. Niemniej jednak Żydzi obawiają się o swój los, a także spotykają się z pewną niechęcią.

Skąd więc ta niechęć?

Żydzi rosyjscy, w przeciwieństwie do chociażby Żydów takich jak Antoni Słonimski, to ludzie bardzo religijni. Po wypędzeniach znaleźli się więc w obcym otoczeniu nie tylko etnicznym, lecz także religijnym. Druga ich cecha to brak wykształcenia. Są to ludzie bardzo prości, nieznający innego języka oprócz jidysz, niebędący w stanie porozumieć się z Polakami, którym w dodatku nie ufali... Tak się właśnie tworzą getta. Notabene: słowo „getto" wywodzi się z języka włoskiego, oznacza małą dzielnicę.

Kiedy tworzy się getto, jednocześnie wytwarzają się zupełnie naturalna nieufność, wrogość i niechęć. Są ku temu, niestety, podstawy – Żydzi w sposób naturalny trzymają się razem, a także współpracują ze sobą przeciwko ludziom miejscowym, czyli Polakom. To zrozumiałe u ludzi, o których jeden z ojców nowożytnego państwa włoskiego, współpracownik Giuseppe Garibaldiego uważany za reprezentanta „Europy narodów", Giuseppe Mazzini, powiedział: „Bez kraju jesteście bękartami ludzkości".

Tak więc Żydzi napływowi z Rosji, nieznający – czy wręcz niechcący znać – języka polskiego, przeciwni asymilacji, mieszkający w gettach zaczynają dominować w niektórych działach ekonomii, co z miejsca budzi niechęć Polaków.

Podstawą niechęci w tym przypadku nie jest jednak kryterium rasowe, tylko kryterium ekonomiczne połączone z odruchową, instynktowną niechęcią wobec obcych, którzy zresztą Polaków również darzą niechęcią.

Na koniec jeszcze jedna ciekawostka smutno-ironiczna. Zwolennikiem koncepcji o ekonomicznych źródłach antysemityzmu był Dawid Ben Gurion, urodzony w Płońsku przywódca ruchu syjonistycznego i pierwszy premier Państwa Izrael. Ostro go krytykował za to Wiktor Alter, socjalista z Bundu, którego NKWD najpierw więził, potem wypuścił, a w grudniu 1941 r. porwał z polskiej ambasady w Kujbyszewie i zamordował. Władze polskie ostro protestowały i dopóki było to możliwe, dopóty zabiegały o jego uwolnienie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fce8bbc297

Trzecia era nuklearna?

Robert Bogdański

Złamanie tabu nuklearnego może być już tylko kwestią czasu. Skutki użycia broni jądrowej przez małego gracza będą tragiczne dla tysięcy czy milionów, ale nie dla miliardów. Świat ocaleje, choć nie będzie już taki sam

Obserwując rosyjską komunikację związaną z bronią nuklearną, nie sposób się oprzeć wrażeniu, że Kreml uznaje ten obszar za jedyny w miarę skuteczny sposób nacisku na Zachód. W dużej mierze przyczynili się do zbudowania takiego przekonania zachodni przywódcy, zwłaszcza Joe Biden, który przez ostatnie trzy lata stwarzał wrażenie, że jest twardy, ale w istocie za każdym razem ociągał się z przekazaniem Ukrainie cięższej broni.

Wystarczy sobie przypomnieć międzynarodową awanturę wywołaną polską próbą przekazania samolotów MiG-29, podjętą miesiąc po rozpoczęciu inwazji. Nawet ostatnia decyzja o zezwoleniu na atakowanie rosyjskiego terytorium rakietami ATACMS została wydana tylko dla jednego regionu, więc znowu zawierała ograniczenia. W Europie prym w ociąganiu się wiódł niemiecki kanclerz Olaf Scholz, który zaczął od hełmów i jakąś broń dostarczył dopiero jesienią 2022 r., potem urządzając żałosny spektakl z czołgami Leopard, które chciał przekazać tylko wtedy, gdy amerykański prezydent Joe Biden da swoje abramsy, a teraz konsekwentnie broni się przed tym, aby dostarczyć Ukrainie potężne rakiety Taurus, które mogłyby zniszczyć most Kerczeński, bo – co kiedyś powiedział całkiem jasno – mogłyby one przecież zniszczyć most Kerczeński, a to byłoby dla Władimira Putina nieakceptowalne.

Scholz zresztą równie uparcie odmawia powiedzenia, że pokonanie Rosji jest celem wojny. Z takimi partnerami po drugiej stronie Putin swobodnie mógł grać w „czerwone linie”, które co prawda były przekraczane, ale powoli i ostrożnie, po drodze ułatwiając Rosjanom realizowanie swoich celów militarnych.

BUDOWANIE ATMOSFERY NIEPOKOJU

Teraz jednak panowie Biden i Scholz odchodzą w przeszłość. Pierwszy na pewno, a drugi najprawdopodobniej. Bez nich może się okazać, że to, co całkiem nieźle do tej pory funkcjonowało, czyli trzymanie Zachodu na dystans za pomocą mniej lub bardziej zawoalowanej groźby użycia broni jądrowej i pod taką osłoną rozprawianie się z przeciwnikami, stanie się nieaktualne. Bo straszenie kogokolwiek rosyjską bronią konwencjonalną po doświadczeniach wojny z Ukrainą i ostatniej rejteradzie z Syrią nie może być skuteczne. Być może dlatego właśnie końcówka ostatniego roku z Bidenem i Scholzem jako kontrpartnerami stała w Rosji pod znakiem wzmożenia nuklearnego.

Najpierw, 19 listopada, ogłoszona została zmiana rosyjskiej doktryny nuklearnej. Była ona zapowiadana od wielu miesięcy i już samo oczekiwanie na nią było spektaklem, który miał na celu budowanie atmosfery niepokoju. Gdy została ujawniona, okazało się, że jak najbardziej spełnia oczekiwania tych, którzy sądzili, iż jest się czego obawiać: Rosja oficjalnie obniżyła próg użycia broni nuklearnej. Zamiast „zagrożenia dla istnienia państwa”, które dotąd było jednym z powodów usprawiedliwiających jej użycie, pojawił się dziwny termin „krytyczne zagrożenie” dla suwerenności i integralności terytorialnej nie tylko Rosji, lecz także Białorusi. Parasolem nuklearnym objęte zostały także rosyjskie obiekty militarne poza Rosją. Powodem użycia broni jądrowej mógłby być także „zmasowany atak powietrzny”, niekoniecznie nuklearny.

Powinniśmy się bać? Niekoniecznie. Warto zadać sobie proste pytanie: Czy należy wierzyć rosyjskim oficjalnym dokumentom? Czy to, że poprzednio w doktrynie nie znajdowała się np. możliwość zaatakowania mocarstwa nuklearnego, które dostarcza broń państwu nienuklearnemu walczącemu z Rosją, znaczy, iż istotnie taki atak nie mógł nastąpić? Czyżby z Rosjan tacy byli legaliści? Oczywiście nie. Umieszczenie i opublikowanie takiego zapisu miało na celu zakomunikowanie Francji i Wielkiej Brytanii, że dostarczanie rakiet Ukrainie może się spotkać z odpowiedzią nuklearną. Być może ten komunikat przeznaczony był także dla Stanów Zjednoczonych, ale ponieważ amerykańskie możliwości odwetu są nieporównanie większe, odnoszę wrażenie, że ten akurat był skrojony pod Europejczyków...

Zaraz po ogłoszeniu doktryny nastąpił wysyp tekstów rosyjskich analityków w specjalistycznych mediach przeznaczonych dla zachodniej publiczności. Już same tytuły miały budzić niepokój.

eprasa.pl fce8bbc297

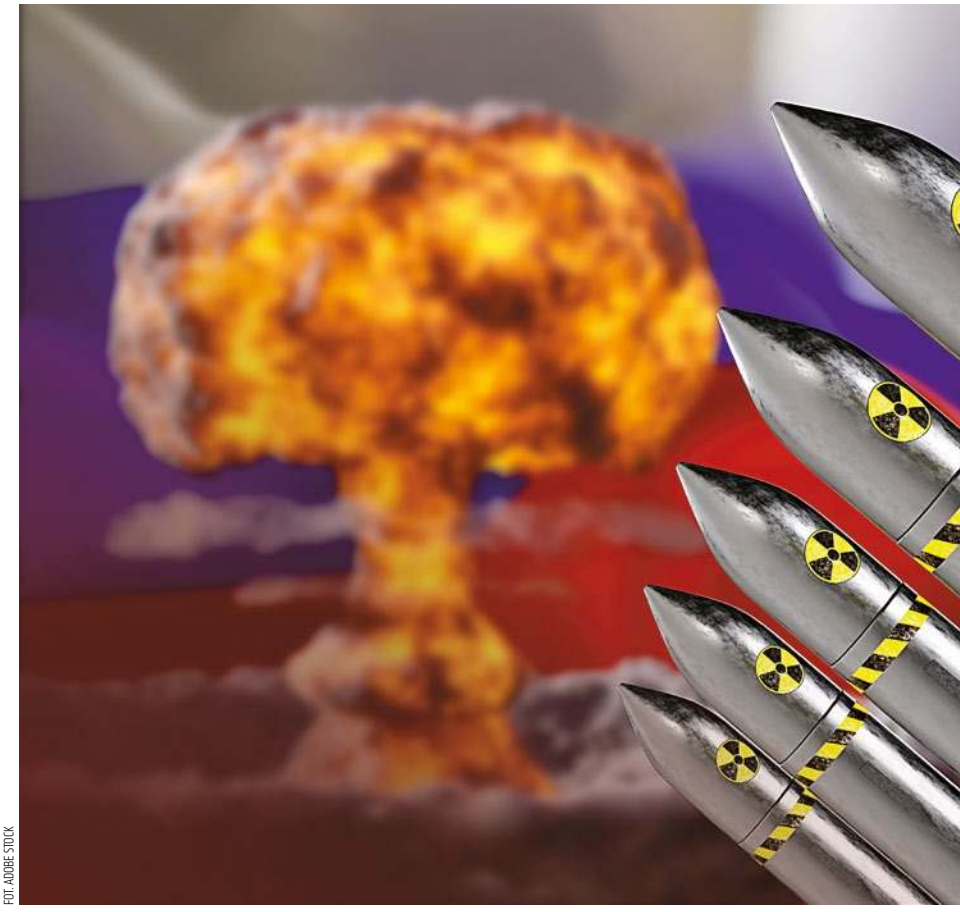

FOT. ADOBE STOCK

Fiodor Łukianow opublikował np. komentarz: „Na ile prawdopodobny jest konflikt nuklearny o Ukrainę?”. Oczywiście nie udzielał w tekście odpowiedzi na tak zadane pytanie, a jedynie pochylał się z troską nad rozmontowaniem systemu wymiany informacji, który tak dobrze funkcjonował w czasach zimnej wojny i uchronił ludzkość – jak powszechnie wiadomo – od nuklearnej zagłady. Sergiej Karaganow, ten sam, który półtora roku temu wzywał do przeprowadzenia prewencyjnych uderzeń nuklearnych na Europę (także na Polskę), aby ją „otrzeźwić”, brutalnie szczerze napisał, że celem działania Rosji jest „złamanie woli” Zachodu, a szczególnie Europy, i że rozmowy z „chińskimi ekspertami” pokazały, iż przyjmują oni ze zrozumieniem tezę o konieczności pokonania Zachodu na Ukrainie „za każdą cenę”. Wreszcie Putin, przemawiając na uroczystości 25-lecia utworzenia państwa związkowego z Białorusią, ostrzegł po raz kolejny przed „globalnym konfliktem”.

Te trzy głosy są doskonale zgodne z dotychczasowym podziałem ról: eksperci i politolodzy mają za zadanie straszyć eskalacją nuklearną, natomiast najwyższy przywódca pochyla się z troską nad losami świata. Odbierane jako całość te wszystkie wypowiedzi dają wrażenie, jakby ludzkość balansowała na krawędzi zagłady, a Rosjanie byli jedynymi, którzy coś robią, aby ją przed tym uratować.

Jak zwykle najbardziej szczery i najbliższy prawdy okazał się Karaganow, który „złamanie woli Zachodu” określił jako zasadniczy cel, do którego dąży Rosja. Trzeba przyznać, że Rosjanie mogli do tej pory z dużym prawdopodobieństwem sądzić, iż wola ta jest osłabiona na tyle, że jej „złamanie” będzie dość proste: polityczny sygnał płynący z Ameryki był raczej tonujący – administracja Bidena nieoficjalnie stwierdzała, że w przypadku użycia przez Rosjan broni nuklearnej odpowiedź będzie co prawda „dewastująca”, ale konwencjonalna. Retoryka używana przez zachodnich polityków była ostra, lecz były to tylko „słowa, słowa, słowa...”. Sankcje były dziurawe, dostawy broni powolne. W połączeniu z Bidenowską taktyką niespiesznego przekraczania „czerwonych linii” mogło to dawać Rosjanom złudzenie, że panują nad sytuacją i że to oni stawiają warunki, a Zachód może nie jest całkiem sparaliżowany strachem, lecz w każdym razie niepewny i pełen respektu.

ŻELAZNE RĘKAWICE

Wygląda na to, że to się zmienia. Po pierwsze, na horyzoncie ukazał się Donald Trump, co do którego jest raczej pewne, że jak obierze jakiś kurs, to będzie go realizował zdecydowanie, ostatnią zaś rzeczą, na którą będzie chciał się narazić, jest zarzut, iż Ameryka pod jego rządami jest słaba. Trump na razie poklepuje Putina po ramieniu, ale można być pewnym, że używa do tego żelaznych rękawic. Zmiany pojawiają się także w Europie. Na początku grudnia miało miejsce wystąpienie wysokiego rangą przedstawiciela Wielkiej Brytanii, który zdecydował się jasno powiedzieć, że odpowiedź jego kraju na atak nuklearny będzie nuklearna. Nie był to co prawda żaden polityk, ale najwyższy rangą wojskowy, szef sztabu sił zbrojnych, adm. Tony Radakin. W brytyjskiej kulturze politycznej jest jasne, że nie mógł on powiedzieć czegoś, co w sposób jawny i jaskrawy odbiegałoby od stanowiska politycznej elity. Raczej wolno sądzić, że to elita skorzystała z okazji, aby ktoś na pograniczu świata wojskowego i politycznego wypowiedział głośno to, co miało wybrzmieć w przestrzeni publicznej i trafić do przeciwników.

Radakin powiedział, po pierwsze, że świat znalazł się obecnie na krawędzi „trzeciej ery jądrowej”, co zelektryzowało słuchaczy. Admirał scharakteryzował ją dość skrótowo, więc tym bardziej dał ekspertom pole do interpretacji i domysłów, na czym by taka trzecia era miała polegać. Powiedział mniej więcej tyle, że w pierwszej erze mieliśmy do czynienia z dwoma stojącymi naprzeciw siebie blokami i rządziły nią obawa przed niekontrolowaną konfrontacją oraz logika odstraszania. Druga era znaczona była usiłowaniem przeprowadzenia rozbrojenia i walką z proliferacją, natomiast trzecia będzie się charakteryzowała niestabilnością i rozproszeniem broni jądrowej wśród nowych graczy.

Admirał uznał w związku z tym, że jego kraj jako mocarstwo nuklearne nie powinien się swojej siły wstydzić, ale raczej razem z innymi krajami zachodnimi „odzyskać pewność i wiarę w siebie”, bo zasoby broni nuklearnej są czynnikiem,

eprasa.pl fce8bbc297

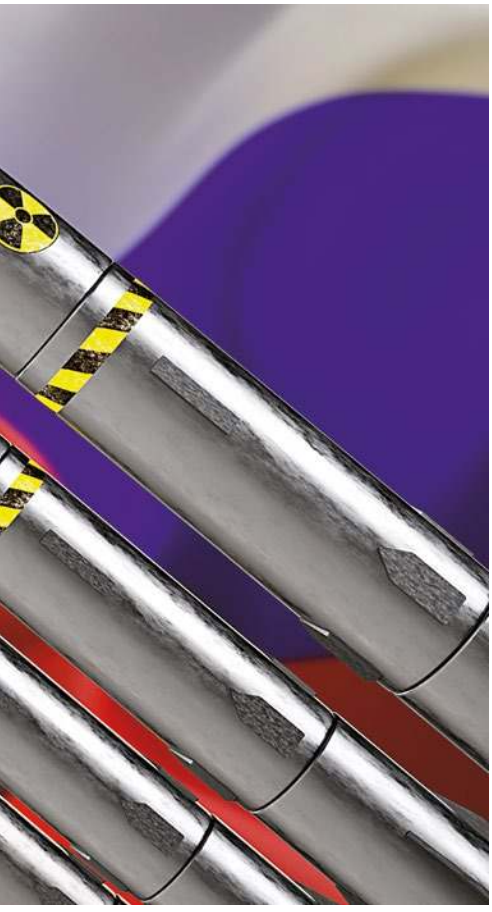

który ma na Putina realny wpływ. Mówiąc o ewentualnym ataku rosyjskim na terytorium NATO, stwierdził, że „Rosja wie, że odpowiedź będzie druzgocąca – czy konwencjonalna, czy nuklearna”. Brytyjski szef sztabu brzmiał rzeczowo i zdecydowanie. Był w jego przemówieniu ton, którego od czasu rozpoczęcia rosyjskiej inwazji na Ukrainę brakowało w wypowiedziach ludzi Zachodu – ton pewności i determinacji. Przekaz adm. Radakina był prosty: Rosja nie ma szans w starciu z NATO, a Zachód jest gotowy przyjąć konfrontację. To sygnał, że kończy się czas, gdy z Zachodu płynęły jedynie retoryczne pohukiwania, za którymi nieśmiało wlekły się czyny.

Niedawno szef rosyjskiego emigracyjnego portalu Meduza przedstawił tezę, że elity jego kraju, które wspierają Putina ze strachu lub oportunizmu, z nadzieją patrzą na dojście do władzy Trumpa, bo widzą w nim czynnik zewnętrzny, który wywrze presję na Kreml i być może doprowadzi do jakiejś zmiany. Zmiany, której one same nie są w stanie przeprowadzić z obawy o własną skórę, ale na którą czekają, bo sądzą, że obecna polityka jest zabójcza dla gospodarki ich kraju i ryzykowna dla jego bezpieczeństwa. Może się więc okazać, że w chwili konfrontacji Rosja nie będzie monolitem, tylko raczej wydrążoną łupiną.

ZŁAMANIE TABU NUKLEARNEGO

Co nie znaczy, że sprawa jest prosta i wystarczy nieco zdecydowania, aby tę konfrontację wygrać. Będzie ona bowiem o wiele bardziej skomplikowana niż rywalizacja z jednym mocarstwem atomowym, choćby najsilniejszym. I tu wracamy do słów adm. Radakina o „trzeciej erze nuklearnej”. Miejsce rywalizacji państw opartej na gospodarce zajmie w jego przekonaniu rywalizacja stricte geopolityczna, nastąpi ponadto proliferacja technologii nuklearnych i innych niebezpiecznych technologii przy całkowitym braku architektury bezpieczeństwa.

W moim rozumieniu chodzi o świat, w którym złamanie tabu nuklearnego będzie tylko kwestią czasu i najprawdopodobniej dokona tego mniejszy gracz. Poprzednie ery nuklearne to przede wszystkim czas rywalizacji wielkich mocarstw, których potencjał jest tak ogromny, że użycie broni ostatecznej miało właśnie ostateczny charakter, więc próg decyzji o użyciu tej broni był dla kierownictw tych mocarstw bardzo wysoki. Jak wysoki będzie ten próg np. dla dyktatora Korei Północnej? Atak na Stany Zjednoczone, choć teoretycznie możliwy, zostanie przechwycony przez obronę powietrzną USA. Atak na Seul będzie czynem strasznym i odrażającym, ale nie spowoduje zniszczenia świata, więc decyzję o nim będzie podjąć stosunkowo łatwo komuś, kto i tak nie dba o międzynarodową reputację swojego kraju.

W tym kontekście bardzo niepokojąca jest współpraca Rosji z Koreą Północną. Wiele bowiem wskazuje na to, że układ Kima z Putinem przewidujący dostawę oddziałów wojskowych – a tych na froncie ukraińskim nieustannie brakuje – może obejmować zapłatę przez Rosję przy pomocy technologii rakietowych, a być może i nuklearnych. Oznaczałoby to, że Putin prowadzi bardzo niebezpieczną grę i czyni to albo z konieczności, chcąc uniknąć ogłoszenia mobilizacji, albo świadomie, pragnąc doprowadzić do tego, aby to ktoś inny wprowadził świat w następną erę nuklearną, z czego on mógłby potem korzystać. Byłoby to tym łatwiejsze, gdyby Stany Zjednoczone w odpowiedzi na atak Kima użyły broni jądrowej w obronie Korei Południowej. A jest to tym bardziej prawdopodobne, że w jakiś sposób należałoby się odnieść do naturalnych w tej sytuacji dążeń Koreańczyków z południa do wyprodukowania własnej broni nuklearnej.

Wypowiedzi rosyjskich przywódców, ekspertów i politologów mają sprawić wrażenie, jakby ludzkość balansowała na krawędzi zagłady, a Rosjanie byli jedynymi, którzy coś robią, aby ją przed tym uratować

Podobne niebezpieczeństwo złamania nuklearnego tabu zaistniałoby, gdyby broń jądrową wyprodukował Iran, od czego jest tylko o krok i co wobec porażki w Syrii może się ajatollahom wydać jedynym sposobem na podniesienie znaczenia kraju. W tym przypadku nie sądzę, aby Izrael dopuścił do ataku, ale raczej odwrotnie – prewencyjne uderzenie Izraela mogłoby mieć charakter nuklearny, gdyby przywództwo tego kraju nie widziało innego sposobu na zniszczenie irańskiego programu atomowego. W tym przypadku ofiar cywilnych byłoby o wiele mniej niż w sytuacji hipotetycznego starcia na Półwyspie Koreańskim, ale z pewnością byłyby liczne. I znowu: zginęłyby tysiące, a nie miliardy.

Podjęcie decyzji o użyciu broni jądrowej będzie więc w owej „trzeciej erze nuklearnej” o wiele łatwiejsze dla mniejszych graczy niż w pierwszych erach dla graczy wielkich. Skutki użycia broni nuklearnej przez małego gracza będą tragiczne dla tysięcy czy milionów, ale nie dla miliardów. Świat ocaleje, choć nie będzie już taki sam. Pytanie: Co się stanie dalej? Na nie oczywiście nikt nie będzie śmiał udzielić obecnie odpowiedzi, jednak mam wrażenie, że lepiej w tę nową erę wkroczyć z determinacją adm. Radakina oraz zdecydowaniem i nieprzewidywalnością Donalda Trumpa, niż kontynuować politykę reaktywną, która do tej pory charakteryzowała Zachód.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fce8bbc297

Paweł Chmielewski

Demokratyczna

Niewiele lat spokoju miała w Kościele katolickim Msza Święta. Po radykalnych zmianach wprowadzonych przez Pawła VI szykuje się kolejna rewolucja, tym razem o charakterze synodalnym

Minęło z niewielką górą zaledwie pół wieku od wielkiej liturgicznej rewolucji papieża Pawła VI. Przyjęto ją, jak wiemy, różnie: progresywni eksperci i intelektualiści nie kryli zachwytu, widząc, jak plastyczna stała się teraz Msza Święta – jak plastelina w rękach rozwydrzonych konstruktorów nowego świata. Znaczna część wiernych nie podzielała tego entuzjazmu. Odejście od łaciny, odwrócenie się kapłana tyłem do tabernakulum, niszczenie starych ołtarzy i zastępowanie ich stołami, ogólna atmosfera fermentu… Musiało upłynąć niemało czasu, zanim liturgiczna reforma została zaakceptowana. Krytyka nigdy nie ustała – nie tylko za sprawą żywotnych ośrodków oporu, takich jak Bractwo Kapłańskie św. Piusa X oraz kilka innych instytutów dedykowanych dawnej liturgii.

FRANCISZEK KONTRA BENEDYKT XVI

Niezadowolenia z przebiegu reformy nie krył też sam kard. Józef Ratzinger. Kiedy 19 kwietnia 2005 r. przyjął papieskie imię Benedykta XVI, można było spodziewać się przełomu. Rzeczywiście, już 7 lipca 2007 r. ogłosił słynny list „Summorum pontificum", stwierdzając, że w Kościele winna panować swoboda w korzystaniu z przedsoborowych ksiąg liturgicznych. Księża mogli odtąd sprawować Mszę Świętą w dawnym rycie, a wierni spokojnie w niej uczestniczyć. Benedykt oczekiwał konkretów: miał nadzieję, że nowy ryt mszalny nabierze wkrótce więcej „rzymskiej powagi".

Nie brakowało miejsc, gdzie temu życzeniu stało się zadość. Także w Polsce zaczęli pojawiać się księża, którzy albo brali się za odprawianie dawnej Mszy, albo też modyfikowali nowe obrzędy, używając bardziej klasycznych tekstów, odwracając się przodem do tabernakulum, wprowadzając elementy łaciny. Wyczuwało się po 2007 r. pewną nabrzmiewającą atmosferę zafascynowania Mszą przedsoborową.

Franciszek kategorycznie z tym skończy. Objąwszy władzę 13 marca 2013 r., nie wykazywał większego zainteresowania tymi sprawami. W listopadzie 2014 r. powierzył kwestię liturgii konserwatywnemu kardynałowi z Gwinei, Robertowi Sarah. Ich dobra współpraca trwała jednak krótko. Napięcia, które powodował Franciszek swoimi radykalnymi ruchami w dziedzinie doktryny i moralności, przeniosły się na liturgię. Szybko stało się jasne, że Sarah to w Watykanie Franciszka dinozaur słusznie minionych dni Benedykta. W lutym 2021 r. papież przyjął rezygnację Sarah związaną z wiekiem emerytalnym, a pełniony przez niego urząd oddał w ręce ludzi stojących na antypodach linii konserwatywnej. Efektem było wydanie już w lipcu 2021 r. listu „Traditionis custodes", który wycofał wszystkie zmiany wprowadzone przez Benedykta XVI. Franciszek oznajmił, że w przyszłości celebrowanie dawnej liturgii ma w ogóle zniknąć z Kościoła katolickiego. Od tej pory w odwrocie jest nie tylko sama Msza tradycyjna; zniknął też klimat przychylności wobec wszystkiego, co się z nią wiąże i kojarzy. Tak jak przed Benedyktem XVI przedsoborowa liturgia jest w coraz większej mierze domeną wąskich środowisk. Przez chwilę wydawało się, że sprawa zakończy się na tej brutalnej próbie „wygumkowania" dokonań papieża Benedykta XVI. Nic bardziej mylnego.

OLIWA DO OGNIA ANTYKLERYKAŁÓW

Pierwszym bodźcem były restrykcje sanitarne wprowadzane w kościołach podczas pandemii COVID-19. W wielu krajach sami biskupi i księża przekonywali wiernych, że udział w niedzielnej Mszy Świętej, choć zasadniczo ważny, nie jest przecież aż tak konieczny. Bardziej liczą się osobista wiara i pobożność. Promowano telewizyjne uczestnictwo w liturgii oraz odmawianie prywatnych nabożeństw. Wierni zadawali sobie pytanie, po co tak właściwie są im księża, tym bardziej że generują tak wiele problemów w związku ze skandalem wykorzystywania seksualnego nieletnich.

Dyskusja weszła na nowy poziom wraz ze zwołaniem przez Franciszka Synodu o synodalności. Już w pierwszych ogólnych dokumentach Watykanu utyskiwano na niezadowalający charakter obecnej liturgii. Liturgia – pisano tam – za bardzo skupia się na księdzu, a w zbyt małym stopniu włącza całą wspólnotę. Poza tym Eucharystia wyklucza, bo z powodów doktrynalnych (ta zimna, oschła doktryna!) rozwodnicy i homoseksualiści nie mogą przystępować do Komunii. Synod ożywił nauczanie o powszechnym kapłaństwie ochrzczonych. Ta nauka ma

eprasa.pl fce8bbc297

Msza Święta

FOT. ADOBE STOCK

swoje właściwe miejsce w Kościele, ale wraz z synodem zaczęła być używana hasłowo i propagandowo, jako narzędzie przeprowadzenia „rewolucji uczestnictwa wszystkich". W Niemczech w 2022 r. profesor egzegezy Nowego Testamentu, ks. (!) Martin Ebner, wydał głośną książkę, w której dowodził, że wyodrębniony stan kapłański jest historyczną patologią i trzeba go skasować. Odzwierciedlał poglądy szerszego środowiska.

Również w Polsce krytyka kapłaństwa osiąga znaczące rozmiary. Wpływają na to nie tylko dyskusje synodalne, lecz także intensyfikująca się od lat nagonka na księży. Trzeba przyznać, że do tej nagonki nie zawsze trzeba szukać argumentów na siłę: wielkie homoseksualne skandale w takich miejscach jak Sosnowiec czy Drobin w diecezji płockiej dolewają oliwy do ognia antyklerykałów. Większość decydentów w Kościele wydaje się kompletnie nie przejmować moralnym stanem części duchowieństwa: samobójstwa, orgie i zgony wzbudzają szum medialny, a potem zapada cisza i nic się nie zmienia. No, może nie tak zupełnie nic. Rośnie liczba biskupów, którzy idą na skróty: skoro z duchownymi jest źle, a w kościołach straszą puste ławki, stawiają na odnowę charyzmatyczną i promują „posługi" świeckich uskuteczniane np. w ramach quasi-koncertowych nabożeństw o uzdrowienie i różnych dziwacznych obrzędów, które nie były nigdy znane zdrowej, trzeźwej katolickiej pobożności. Abstrahując od patologii, do których to prowadzi, rzecz umacnia też przekonanie o zbędności kapłanów.

Na ten podatny grunt padnie wkrótce ziarno zmian. 26 października tego roku papież Franciszek uznał za własny dokument, który przyjęło obradujące w Rzymie zgromadzenie synodalne biskupów i świeckich. W tekście wyrażono zdecydowane oczekiwanie opracowania nowej reformy liturgicznej, czym ma zająć się specjalna komisja ekspertów. Trzonem reformy ma stać się uwspólnotowienie liturgii, to znaczy ograniczenie roli księdza i promowanie aktywności ludzi świeckich. Szczególnie ważne mają być kobiety, jako że dokument finalny w wielu miejscach domaga się powierzenia im różnych ważnych i decyzyjnych zadań. Tekst przyjęty przez Ojca Świętego mówi też, że istnieje zasadnicza zbieżność pomiędzy „zgromadzeniem eucharystycznym" a „zgromadzeniem synodalnym". Innymi słowy, ofiara Mszy Świętej miałaby być w jakiś sposób tożsama z sytuacją, w której ludzie – niekoniecznie tylko wierzący – spotykają się na zebraniu synodalnym i obradują nad tym, jak ma wyglądać Kościół. Z dokumentu synodalnego nie wynikają jeszcze żadne konkretne szczegóły, ale egalitarystyczna intencja jest bardzo wyraźna.

SYNODALNE IMPERATYWY

Czego należy się spodziewać? Wskazałbym na dwa zasadnicze kierunki. Oprócz wzmiankowanego wyżej siłowego włączania świeckich w funkcje liturgiczne będzie to również dalsza atomizacja liturgiczna w Kościele powszechnym. Przed reformami Pawła VI większość katolickiego świata modliła się tak samo: Msza Święta, zależnie od kraju, różniła się tylko nieznacznie. Po reformie różnice stały się ogromne, począwszy od języka. Dziś katolik na Mszy Świętej poza swoją ojczyzną często po prostu nie może się odnaleźć. Synod o synodalności domaga się dalszej „inkulturacji". Wydaje się, że programem pilotażowym stało się opracowanie tzw. rytu majańskiego dla niektórych regionów w Meksyku. W połowie listopada Stolica Apostolska zaakceptowała projekt zmian w Mszy Świętej przygotowany przez ekspertów z tego kraju, pragnących uczynić liturgię bliższą sercu kultury Indian. Wprowadzono tam wiele obrzędów zaczerpniętych z rytuałów pogańskich, które mają zostać oczyszczone i napełnione chrześcijańską treścią. Dokonano też większego włączenia w akcję liturgiczną świeckich, zwłaszcza kobiet. Odzwierciedla to oba synodalne imperatywy: korzystanie z lokalnej kultury oraz inkluzję niekapłanów. Analogiczne zmiany mogą wkrótce zajść również w krajach Ameryki Południowej, zwłaszcza w obszarze Amazonii. Od 2020 r. grupa specjalnych ekspertów pracuje nad opracowaniem nowego, amazońskiego rytu liturgicznego. Później przyjdzie pewnie czas na kolejne regiony.

Czy zmiany możliwe są też w Polsce? Na pozór trudno zakładać, by w kraju o tysiącletniej tradycji możliwa była jeszcze jakaś „inkulturacja". Proces synodalny zakłada jednak, że liturgia ma przybierać barwy świata, w którym jest sprawowana. Daje to szerokie możliwości manewru w związku z zachodzącymi zmianami społecznymi. Dlaczego w dużych ośrodkach miejskich nie włączać w celebrację Eucharystii grup tzw. marginalizowanych, np. LGBT? Na wsi, gdzie ksiądz ma pod opieką kilka kościołów, można z kolei zachęcić wiernych do zastępowania Mszy Świętej liturgią słowa i rozdawaniem Komunii Świętej przez „liderkę" lokalnej wspólnoty. Praktyczna realizacja tych zmian to wciąż kwestia lat, ale kierunek został już wytyczony. Nie będziemy palić na Mszy majańskiego kadzidła, możemy jednak rozpalać synodalność naszą własną kulturową specyfiką, to znaczy – demokratycznym egalitaryzmem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl fce8bbc297

Wymiar (nie)sprawiedliwości w służbie stanu wojennego

Grzegorz Majchrzak

Kluczową rolę w stosowaniu represji politycznych po 13 grudnia 1981 r. odegrali prezesi sądów. Nie ma tego w żadnych dokumentach, ale potrzebowali oni czasu, aby się zorientować, na których sędziów mogą liczyć po „solidarnościowym ukąszeniu"

Po niespełna 16 miesiącach tzw. solidarnościowego karnawału stojący na czele Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i państwa Wojciech Jaruzelski zdecydował się na – jak to sam określał – stłumienie kontrrewolucji i wprowadzenie w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego.

Jednym z narzędzi służących temu celowi stał się wymiar sprawiedliwości. Jego zalecenia dla sądów – „każdego dnia naciska, żeby wreszcie zaczęły sypać się wyroki" – odnotował (pod datą 17 grudnia) wicepremier Mieczysław Rakowski na kartach swoich dzienników. Aby tak się stało, musiały jednak zostać spełnione co najmniej dwa warunki – niezbędne było prawo, które pozwoliłoby się skutecznie rozprawić z opozycją, i należało przed walką z „elementami antysocjalistycznymi" oczyścić wymiar sprawiedliwości.

ZMIANA PRAWA

To pierwsze osiągnięto stosunkowo łatwo dzięki „przyklepaniu" przez członków Rady Państwa kilku (przygotowanych w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego) dekretów regulujących życie kraju po wprowadzeniu stanu wojennego. Oprócz dekretu o stanie wojennym najważniejsze w tym przypadku były dekret o postępowaniach szczególnych w sprawach o przestępstwa i wykroczenia w czasie obowiązywania stanu wojennego oraz dekret o przekazaniu do właściwości sądów wojskowych spraw o niektóre przestępstwa oraz o zmianie ustroju sądów wojskowych i wojskowych jednostek organizacyjnych Prokuratury Rzeczypospolitej Ludowej w czasie obowiązywania stanu wojennego.

eprasa.pl fce8bbc297

Warszawa, 1982 r. Stan wojenny. Rozprawa przed sądem wojskowym przeciwko podziemnym wydawcom
FOT. JERZY KOŚNIK/PAP

Prawo stanu wojennego było drakońskie – prawnicy związani z Episkopatem Polski wprowadzone na ich podstawie przepisy karne uznali „z nieznacznym tylko odchyleniem" za „przywrócenie przepisów tzw. małego kodeksu karnego z okresu stalinowskiego". Zresztą autorzy stanu wojennego poszli jeszcze dalej – całkowicie nowymi restrykcjami były przepisy wprowadzające sankcje za organizowanie strajku czy za udział w nim. Na ich podstawie wprowadzono m.in. tryb doraźny oraz postępowanie przyspieszone, a także znacznie rozszerzono kompetencje prokuratur oraz sądów wojskowych, które rozpatrywały przypadki „najgroźniejszych" przestępstw politycznych. Co ciekawe, nie obyło się w tym przypadku bez potknięć – otóż zamiarem twórców dekretu o postępowaniach szczególnych w sprawach o przestępstwa i wykroczenia w czasie obowiązywania stanu wojennego było, aby najniższa kara zasadnicza wynosiła trzy lata pozbawienia wolności. Popełnili jednak błąd, gdyż zapis brzmiał: „Za przestępstwa podlegające postępowaniu doraźnemu sąd może wymierzyć, bez względu na rodzaj i granice ustawowego zagrożenia danego przestępstwa, następujące kary zasadnicze: karę śmierci lub karę 25 lat pozbawienia wolności albo karę pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 3, chyba że przepis szczególny przewiduje wyższą dolną granicę ustawowego zagrożenia".

Ktoś zapyta: A gdzie tu błąd? Ze względu na słowo „może", a skoro „może", to nie „musi"... Ten problem usunięto po nieco ponad miesiącu – Sąd Najwyższy 22 stycznia 1982 r. wydał wyrok, w którym stwierdził, że najniższą karą, jaką może wymierzyć w takim przypadku sąd (bez zastosowania nadzwyczajnego złagodzenia kary), są trzy lata pozbawienia wolności. Tak na marginesie: SN – zwłaszcza jego Izba Wojskowa – jeszcze wielokrotnie „uszczelniał" orzecznictwo w stanie wojennym, a jego rolę chyba najlepiej oddaje tytuł artykułu naukowego Małgorzaty Kuć „»Najwyższy Wymiar Niegodziwości« – orzecznictwo Sądu Najwyższego w okresie stanu wojennego"…

CZYSTKI W SĄDOWNICTWIE

Drugim równie ważnym czynnikiem, powodującym, że wymiar sprawiedliwości mógł po 13 grudnia 1981 r. posłużyć „stłumieniu kontrrewolucji", było jego „oczyszczenie", głównie z tych prokuratorów oraz sędziów, którzy mocniej zaangażowali się w działalność NSZZ „Solidarność" oraz w działania w celu jego odpolitycznienia, zmniejszenia jego zależności od PZPR. Dane dotyczące wyrzuconych z zawodu są – jak zwykle w takim przypadku – rozbieżne.

Rada Państwa do końca 1982 r. odwołała ok. 40 sędziów (w tym sędziego SN Stanisława Rudnickiego) oraz 20 pracowników prokuratorskich (prokuratorów, asesorów i aplikantów), pracownika administracyjnego i dziewięciu pracowników Instytutu Problematyki Przestępczości w Warszawie. To nie wszystko, odwołanych zostało z powodu – jak to określano – „złego wywiązywania się z obowiązków" czterech prezesów i pięciu wiceprezesów z sądów wojewódzkich i rejonowych. Oprócz tego grupa co najmniej kilkunastu sędziów po przeprowadzonych z nimi „rozmowach" sama zrezygnowała z zajmowanych stanowisk. Ponadto w ciągu 1982 r. rozwiązano stosunek pracy z kilkoma prokuratorami, którzy odmówili stosowania „wojennego" prawa, oraz kilkunastoma prokuratorami z województwa opolskiego, którzy po wprowadzeniu stanu wojennego złożyli legitymacje partyjne, co uznano – zresztą całkiem słusznie – za demonstrację polityczną.

Kluczową rolę w stosowaniu represji politycznych odegrali prezesi sądów. Nie ma tego w żadnych dokumentach, ale potrzebowali oni – a przynajmniej część z nich – czasu, aby się zorientować, na których sędziów mogą liczyć po „solidarnościowym ukąszeniu". W tym miejscu warto przytoczyć słowa ówczesnego prezesa Sądu Wojewódzkiego w Białymstoku Wiesława Sekluckiego, który nie miał problemu z doborem podwładnych do sądzenia spraw o charakterze politycznym. Mówił on: „Nie musiałem sędziom kazać tego robić. To wynikało z działalności wydziałów karnych. I nikt nie odmawiał, nie mógł odmówić. U nas w Białymstoku nie ma bojowników. No może jedna pani sędzia, która nie podpisała lojalki".

Nie wszędzie jednak tak było, tym niemniej władze mogły liczyć na grupę dyspozycyjnych prokuratorów i sędziów. Z tej ostatniej grupy do grona „posłusznych bez reszty lub po prostu tchórzliwych" przez Komitet Helsiński zostali zaliczeni: Helena Gawlicka, Maria Pszczółkowska-Chłopecka i Helena Kopytowska z Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, Bogusław Włoczewski i Marian Mizio z Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu, Mieczysław Przyboś z Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Rzeszowie (orzekał na sesjach wyjazdowych w Rzeszowie), Henryk Mróz z Sądu Wojewódzkiego w Bydgoszczy czy Andrzej Grzybowski, Andrzej Finke i Aleksander Głowa z Sądu Marynarki Wojennej w Gdyni.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że w stanie wojennym znacznemu wzmocnieniu uległ również nadzór nad działalnością sądów. I tak np. już

eprasa.pl fce8bbc297

29 grudnia 1981 r., podczas posiedzenia kolegium prezydium Ministerstwa Sprawiedliwości, postanowiono skontrolować przyczyny „oddoraźnienia, a także niskich kar orzekanych w niektórych sprawach w trybie doraźnym", zasygnalizować prezesom sądów wojewódzkich „krytyczne oceny polityki karnej" oraz zapowiedzieć wnoszenie rewizji nadzwyczajnej „w niektórych sprawach". Wytyczne dotyczące funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości, w tym przede wszystkim orzecznictwa, formułowały zarówno władze polityczne, czyli przede wszystkim różne gremia PZPR (na czele z jej Biurem Politycznym), jak i gremia wojskowe zaangażowanie na niespotykaną wcześniej skalę w rządzenie państwem po 13 grudnia 1981 r. (Wojskowa Rada Ocalenia Narodowe czy wojewódzkie komitety obrony i komisarze – pełnomocnicy wojskowi).

Nie sposób przytoczyć tych wszystkich wytycznych, ale bywały one czasami wręcz kuriozalne. I tak 6 października 1982 r. pełnomocnik Komitetu Obrony Kraju przy Ministerstwie Sprawiedliwości Henryk Kostrzewa podczas narady sędziów sądów wojewódzkich orzekających w sprawach karnych miał pouczać: „Toczy się ostra walka polityczna. Sądy są organem państwa i władzy. 3 lata to powinien być wyjątek, a nie reguła". Z kolei minister sprawiedliwości Sylwester Zawadzki w trakcie tej samej narady miał stwierdzić: „Nie można patrzeć na orzeczenia z punktu widzenia fachowca, specjalisty od prawa karnego – każdy wyrok przedstawiany jest społeczeństwu jako oręż walki. Wyroki łagodne traktowane są jako bojkot władzy. Jeżeli wyrok uniewinniający traktowany jest jako przejaw słabości władzy – trzeba to brać pod uwagę". A o to, aby nie były łagodne, władza dbała na różne sposoby, m.in. przeprowadzając w celu wzmocnienia nadzoru Ministerstwa Sprawiedliwości nad sądami reorganizację (zresztą na wzór wojskowy) Ministerstwa Sprawiedliwości. W maju 1982 r. połączono dwa departamenty, które zajmowały się sprawami karnymi oraz sprawami cywilnymi (Departament Spraw Karnych i Departament Spraw Cywilnych), a zamiast nich utworzono Departament Nadzoru Sądowego, który dodatkowo „wzmocniono kadrowo". Nad orzecznictwem sądów czuwali również wspomniany wcześniej Henryk Kostrzewa i jego podwładni.

W stanie wojennym zapadło sześć wyroków śmierci – na szczęście dla skazanych orzeczono je zaocznie

W co najmniej dwóch przypadkach oficerowie z grupy pełnomocnika KOK w MS sprawowali bezpośredni nadzór nad prowadzonymi rozprawami sądowymi. Tak było w przypadku procesu Anny Walentynowicz przed Sądem Rejonowym w Elblągu, który odbywał się w dniach 1–30 marca 1983 r., a także w przypadku internowanych z Kwidzyna (Adama Kozaczyńskiego, Władysława Kałudzińskiego, Mirosława Duszaka, Andrzeja Bobera, Zygmunta Goławskiego, Andrzeja Goławskiego, Janusza Rodziewicza oraz Stanisława Żyglickiego) sądzonych przed Sądem Wojewódzkim w Elblągu od 27 sierpnia 1982 r. do 23 maja 1983 r. Ich zadaniem było „zabezpieczenie warunków do w miarę szybkiego zakończenia tych spraw oraz zagwarantowanie ich prawidłowego toku".

Zdecydowanie jednak częściej służyły temu narady, głównie z udziałem kierownictw sądów. W ich trakcie „młotkowano" zwłaszcza tych prezesów sądów, z których orzeczeń władze nie były zadowolone. Temu też służyły szczegółowe wytyczne dla prokuratur i sądów. I tak np. przed obchodami drugiej rocznicy powstania NSZZ „Solidarność" 31 sierpnia 1982 r. prezesom sądów wojewódzkich zalecano m.in. „znaczne zaostrzenie represji karnej" ze względu na – jak to określono – „wysoki stopień zagrożenia bezpieczeństwa kraju" czy też „zapewnienie odpowiednio przygotowanych składów sędziowskich" do rozpoznawania spraw oskarżonych o „czyny popełnione w dniu 31 sierpnia br. i po tym dniu". Ponadto „w porozumieniu" z MSW do sądów wojewódzkich w Katowicach, Krakowie, Gdańsku, we Wrocławiu i w Legnicy skierowano pełnomocników Ministerstwa Sprawiedliwości „w celu udzielenia prezesom sądów wszechstronnej pomocy", a z kierownictwem Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, do którego orzecznictwa władze miały wcześniej wiele uwag, utrzymywany był wręcz „stały kontakt".

BŁĄD „NADMIERNEGO LIBERALIZMU"

Te wszystkie działania przyniosły oczekiwany skutek. Pełnomocnik KOK w Ministerstwie Sprawiedliwości Henryk Kostrzewa, podsumowując pierwszy rok „stanu wojennego, stwierdzał, że „kadra sędziowska w zasadzie prawidłowo wykonywała zadania związane z zapewnieniem ładu i porządku prawnego w kraju w czasie obowiązywania stanu wojennego". Jak przy tym dodawał: „Polityka karna, dotknięta w początkowym okresie błędami polegającymi głównie na dość częstych przypadkach nadmiernego liberalizmu, zwłaszcza w sprawach rozpatrywanych w trybie doraźnym, uległa w ostatnim czasie znacznej poprawie i kształtowała się prawidłowo".

Ogółem w okresie stanu wojennego prokuratury powszechne i wojskowe wszczęły w trybie doraźnym 10 774 śledztwa przeciwko 13 634 osobom, w tym z dekretu o stanie wojennym przeciwko 2594. W tym samym czasie za czyny z pobudek politycznych sądy powszechne skazały 1685 osób (w tym 979 osób na podstawie ustawodawstwa stanu wojennego), a sądy wojskowe 10 191 osób (w tym 5681 za przestępstwa z dekretu o stanie wojennym). Najwięcej orzeczeń w trybie doraźnym zapadło w sądach wojewódzkich w Łodzi, Warszawie i Katowicach, z kolei najmniej w Płocku, Koninie i Przemyślu. Najczęściej wyroki były jednak „łagodne", gdyż sądy orzekały karę do trzech lat pozbawienia wolności. Najsurowsze wyroki zapadały w przypadku osób, które 13 grudnia 1981 r. nie zaprzestały działalności związkowej, organizowały strajki czy też inne akcje protestacyjne na terenie dużych zakładów pracy, zwłaszcza tych zmilitaryzowanych. Najwyższe wyroki – przynajmniej te, które mogły zostać wykonane – zapadły przed Sądem Marynarki Wojennej w Gdyni w procesie wytoczonym pracownikom Wyższej Szkoły Morskiej w tym mieście, których oskarżono głównie o zorganizowanie w dniach 14–16 grudnia 1981 r. strajku okupacyjnego w tej uczelni. Ewę Kubasiewicz skazano na karę 10 lat pozbawienia wolności, Jerzego Kowalczyka i Włady-

eprasa.pl fce8bbc297

sława Trzcińskiego na 9 lat, Cezarego Godziuka na 6, Wiesławę Kwiatkowską, Jarosława Skowronka, Sławomira Sadowskiego i Krzysztofa Jankowskiego na 5 lat, a Marka Czachora na 3 lata. I to mimo że protest ten zakończył się dobrowolnym odstąpieniem od akcji strajkowej po rozmowach z dyrekcją, co pozwalało – w myśl prawa stanu wojennego – nawet na odstąpienie od wymierzania kary...

W stanie wojennym zapadło również sześć wyroków śmierci – na szczęście dla skazanych orzeczono je zaocznie. „Czapę" orzeczono z jednej strony w przypadku zdrajców ze Służby Bezpieczeństwa i Wojskowej Służby Wewnętrznej (Henryka Bogulaka, Waldemara Mazurkiewicza oraz Jerzego Sumińskiego), a z drugiej dwóch PRL-owskich ambasadorów (Zdzisława Rurarza i Romualda Spasowskiego), którzy „zdezerterowali" po 13 grudnia 1981 r., oraz działacza opozycji (m.in. współzałożyciela Polskiego Porozumienia Niepodległościowego) Zdzisława Najdera, który od 1982 r. był dyrektorem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. „Najłagodniej" przez sądy traktowani byli szeregowi członkowie NSZZ „Solidarność", których aktywność ograniczała się do niezorganizowanej, krótkotrwałej działalności przeciw władzy ludowej.

Inna sprawa, że czasami przyczyny tych represji były kuriozalne. I tak np. Zdzisław Cieniewicz, przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" w Białostockich Zakładach Owocowo-Warzywnych, otrzymał półtora roku więzienia za ukrycie związkowego sztandaru i dokumentów. W przypadku wspomnianej wcześniej Wiesławy Kwiatkowskiej za kontynuowanie działalności związkowej po wprowadzeniu stanu wojennego uznano z kolei zbieranie relacji o Grudniu '70. Podobnie kuriozalne bywały uzasadnienia wyroków, nawet tych drakońskich. I tak np. w przypadku kary śmierci dla Zdzisława Najdera, skazanego za rzekome szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych, według Komitetu Helsińskiego sędziowie (wojskowi) stwierdzali: „Obiektywnie stwierdzić należy, że nie ma dowodów na to, że osk[arżony] Najder współpracował z wywiadem amerykańskim od 25 lat, choć praktycznie nie jest to wykluczone". Z kolei Sąd Najwyższy, ogłaszając wyrok w sprawie Jana Blicharza i Stanisława Urbana, konkludował: „Sprawa jest polityczna i jako taka musi być rozpatrywana w aspekcie politycznym, a dopiero na drugim miejscu – prawnym. Oskarżeni powinni być szczęśliwi, że nie są sądzeni przed Trybunałem Ameryki Południowej (?!). Tacy ludzie jak oni doprowadzili do konieczności wprowadzenia stanu wojennego". Takie przykłady można by jeszcze długo wymieniać.

Co może szokować według niektórych obrońców w procesach politycznych (np. Stanisława Afendy czy Jerzego Kurcyusza), sądy wojskowe – mimo że sądziły „najgroźniejsze" przestępstwa i to one orzekły wspomniane wcześniej kary śmierci – miały wykazywać się szczególnym „liberalizmem", a rozprawy w nich toczyły się spokojniej i zapadały w nich o dziwo łagodniejsze wyroki. Ich ocenę zdają się potwierdzać również dane dotyczące odstępowania od trybu doraźnego.

Otóż na koniec listopada 1982 r. w niespełna 23,5 proc. przypadkach zdecydowały się na to sądy powszechne, podczas gdy sądy wojskowe w 51,5 proc. Zresztą postawa sędziów czy całych sądów była zróżnicowana. I tak np. według Kurcyusza w pierwszych dniach stanu wojennego sędziowie Sądu Wojewódzkiego w Katowicach „zachowywali się w sposób szczególnie arogancki, traktowali oskarżonych gorzej niż kryminalistów i chcąc się przypodobać władzy, wydawali drakońsko surowe wyroki". Bywały również sądy powszechne zdecydowanie bardziej przychylne opozycjonistom. I tak np. w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy Wydziale dla Dzielnicy Ochota w czasie stanu wojennego zapadło w sprawach politycznych blisko 55 proc. wyroków uniewinniających.

Była również grupa sędziów, którzy mieli odwagę odmówić sądzenia w sprawach politycznych i oskarżania na podstawie ustawodawstwa stanu wojennego, co groziło utratą pracy, bronić niezawisłości sędziów (w tym przypadku do najciekawszych należy casus prezes Sądu Wojewódzkiego w Płocku Danuty Sandomierskiej, zmuszonej z tego powodu do odejścia z tego stanowiska w 1983 r.) czy też zmieniać znacznie surowszy tryb doraźny na zwykły. „Nadmierny liberalizm" był zresztą przyczyną wszczynania postępowań dyscyplinarnych wobec sędziów, np. Mikołaja Kwiatkowskiego z Warszawy, który uzasadniając jedno ze swoich orzeczeń wydanych w Terenowej Komisji Odwoławczej do spraw Pracy Warszawa-Śródmieście, miał zaprezentować „argumenty kwestionujące zarówno porządek prawny stanu wojennego, jak i jego polityczne, społeczne i gospodarcze racje".

Była grupa sędziów, którzy mieli odwagę odmówić sądzenia w sprawach politycznych i oskarżania na podstawie ustawodawstwa stanu wojennego, co groziło utratą pracy

JEDEN KAMIEŃ I JEDEN MILICJANT

Inna sprawa, że – według niektórych obrońców w sprawach politycznych – o ile sędziowie ci mieli jeszcze jakieś szanse przed sądami karnymi, o tyle przed sądami pracy (rozpatrującymi przypadki wyrzucenia z pracy m.in. działaczy Solidarności), a szczególnie przed kolegiami do spraw wykroczeń, już nie. Tak na marginesie warto przypomnieć, że to właśnie kolegia w stanie wojennym ukarały (m.in. z przyczyn politycznych, np. uczestników opozycyjnych demonstracji) zdecydowanie najwięcej (ponad 207 tys. osób), w tym blisko 4,3 tys. karą aresztu. To właśnie po 13 grudnia anegdotyczna (w odniesieniu do nich) stała się opinia, że „do skazania uczestników ulicznych manifestacji starczy jeden kamień i jeden milicjant". Dla pełnej jasności – dla ukarania wielu osób wystarczali jeden i ten sam milicjant oraz jeden i ten sam kamień…

Kuriozalne orzeczenia również w przypadku kolegiów były normą. I tak np. działacza rolniczej Solidarności Edwarda Małeckiego ukarano pod koniec 1982 r. karą 20 tys. zł grzywny (przeciętna płaca brutto w tamtym roku wynosiła nieco ponad 1,6 tys. zł) z zamianą na trzy miesiące aresztu (w przypadku jej niezapłacenia) za to, że jechał traktorem w czapeczce z napisem „Solidarność". Ale trudno się temu dziwić, skoro w stanie wojennym liczyło się nie prawo, lecz „stłumienie kontrrewolucji"…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl fce8bbc297

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Fałszywe foty PPR i GL-AL

Jedną z metod fałszowania najnowszej historii Polski po 1944 r. było masowe produkowanie dokumentów mających służyć chwale PPR i GL-AL. Z dokumentów prawdziwych usuwano „niesłuszne" fragmenty oraz dopisywano do nich treści, których w pierwotnej wersji nie było. Proceder można byłoby uznać za śmieszny, gdyby nie to, że szły one później do komunistycznych sądów jako dowody służące do aktów oskarżenia, decydując nie tylko o karach wieloletniego więzienia, lecz także o karach śmierci. I równolegle służyło to komunistycznej nauce jako egzemplifikacja rzekomych zbrodni „band reakcyjnego podziemia". Jednym z takich rażących przykładów fałszerstw, służących propagandystom do dziś, jest kilka wersji osławionych notatek Józefa Kurasia „Ognia". Prawdziwe zaś, przejęte przy nim podczas jego śmiertelnego zranienia, nie zostały odnalezione do dziś. Nie przeszkadza to jednak wszelkim „badaczom" w posługiwaniu się kilkoma wersjami rzekomych notatek jako prawdziwymi, bo „innych przecież nie ma".

Jednak bardzo wielkich spustoszeń dokonali fałszerze komunistyczni w ikonografii. Z chwilą zakończenia działań wojennych mieli oni zaledwie 100 fotografii swej konspiracji i były to głównie zdjęcia „główek" do wyrabiania dokumentów. Od czego jednak jest pomysłowość? Skoro nie było odpowiedniej ikonografii, to należało ją… wytworzyć. Proceder ujawnił niechcący prominentny działacz PPR-PZPR ze szczytów władzy, opisując produkowanie zdjęć grup i oddziałów GL-AL na Polu Mokotowskim w Warszawie, gdzie pozowali żołnierze i funkcjonariusze (m.in. z KBW) poprzebierani w odpowiednie stroje z epoki.

Jednym z miejsc fałszowania ikonografii była również Komenda Główna MO, gdzie dokonywano m.in. przeróbek prawdziwych zdjęć oddziałów i grup AK-owców i NSZ-owców (zdjęcia były przejmowane głównie podczas rewizji) na oddziały „ludowe". Nie było wówczas jednak takiej techniki jak dziś, ponadto fałszerze pracowali niechlujnie nożyczkami i klejem, nie dbając nawet o elementarne szczegóły. Fałszerstwa polegały m.in. na wycinaniu z prawdziwych zdjęć głów i wklejaniu w to miejsce facjat zasłużonych towarzyszy. Ale odbywało się to bez zachowania proporcji wielkości, ich odchylenia w jedną czy drugą stronę itp. Bywało i tak, że brutalnie doklejano towarzysza, któremu pijane ręce fałszerza zostawiły tylko połowę ramienia!

Istnym curiosum jest też zbiorowe zdjęcie gwardzistów ludowych z Lubelszczyzny z 1943 r., na którym jednemu z nich odkleiła się w druku… głowa, a sowieccy sojusznicy zostali dorysowani ołówkiem. Historie pełne humoru i horroru. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

„Kradnij, zabijaj, ale Siewierz omijaj"

Chociaż Jagiellonów najbardziej interesowały zagadnienia wielkiej polityki europejskiej, to nie zapominali także o drobnych zdobyczach terytorialnych. W Krakowie dobrze pamiętano, że Śląsk należał kiedyś do Królestwa Polskiego, i wykorzystywano nadarzające się okazje do przesunięcia granic państwa na zachód. Unikano jednak działań zbrojnych, a przykład temu dał Kazimierz Jagiellończyk, który w 1457 r. zakupił księstwo oświęcimskie pozostające dotychczas pod władzą miejscowej linii Piastów. Politykę ojca kontynuował Jan Olbracht, który w 1495 r. nabył księstwo zatorskie. Działania te pozwoliły odsunąć granicę państwa o kilkadziesiąt kilometrów od Krakowa, gdyż wówczas wroga armia atakująca ze Śląska mogła stanąć pod Wawelem w ciągu jednego dnia.

W cieniu sukcesów królewskich pozostawały działania biskupów krakowskich. 30 grudnia 1443 r. Zbigniew Oleśnicki zakupił księstwo siewierskie i od tej pory biskupi krakowscy tytułowali się książętami na Siewierzu. Tytuł ten przysługiwał im niemal do końca istnienia Rzeczypospolitej.

O wszystkim zadecydowały pieniądze. Właściciel miasta i okolicy, książę cieszyński Wacław I, miał problemy finansowe. Skorzystał na tym Oleśnicki, a ciekawostką pozostaje to, że ostatnią ratę należności przekazał w jego imieniu kanonik krakowski, Jan Długosz. Nasz znakomity kronikarz był nie tylko doskonałym historykiem i wychowawcą młodych Jagiellonów, lecz także zaufanym człowiekiem Oleśnickiego.

Księstwo siewierskie posiadało własną armię, skarb, Sejm, a biskupi krakowscy sprawowali rządy twardą ręką. Świadczy o tym powiedzenie: „Kradnij, zabijaj, ale Siewierz omijaj". Tutejsze sądy nie miały bowiem litości w ferowaniu wyroków.

Losy Siewierza były ewenementem w dziejach Polski. Przez ponad 300 lat miasto było stolicą niezależnego państwa, a miejscowymi książętami kolejni biskupi krakowscy. Występowali tutaj nie jako dostojnicy kościelni, ale władcy świeccy. Różnili się w ten sposób od biskupów wrocławskich, którzy jako książęta Nysy podlegali królom Czech, natomiast biskupi warmińscy wprawdzie też nosili tytuł książęcy, jednak byli zależni od polskich władców. Podobnie jak biskupi płoccy noszący tytuł książąt pułtuskich. ©℗

eprasa.pl fce8bbc297

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

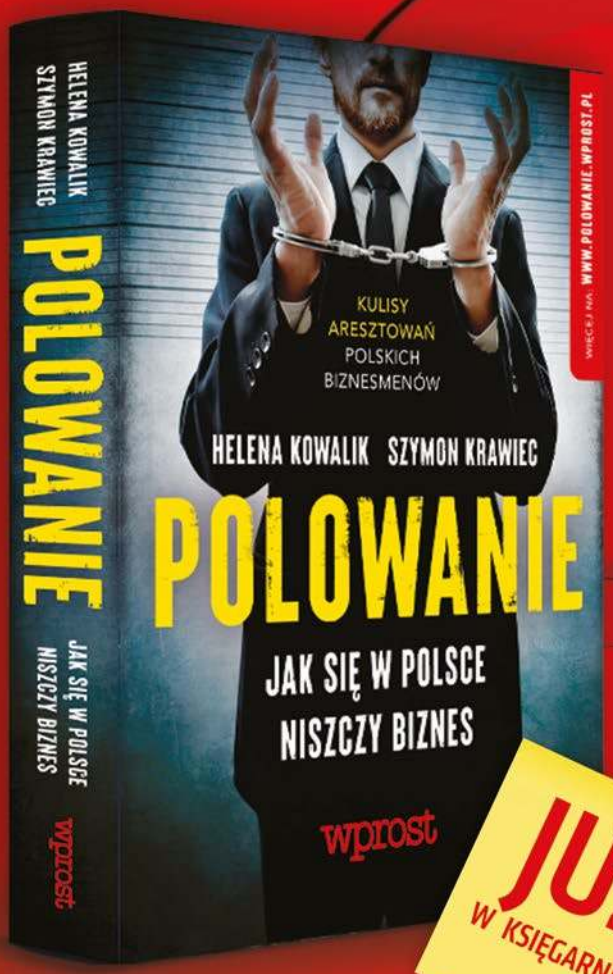

KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt +48 539 953 631 , +48 508 040 664

PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomyśl o przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl fce8bbc297

FOT. ANADOLU/ABACA/EAST NEWS

Na drodze do Damaszku

Teresa Stylińska

Po raz pierwszy od ponad 100 lat Turcja wkroczyła na teren, który pozostawał niegdyś pod władzą sułtanów. Dla prezydenta Erdoğana to pewnie ważne, bo czasy imperium darzy on szczególnym sentymentem

Turcja wygrała wojnę domową w Syrii". „W skali regionu Turcja stała się wielkim zwycięzcą, co jednak oznacza, że bierze na siebie odpowiedzialność za powodzenie przemian". „Wpływy Turcji w Damaszku wzrosną; zajmie ona miejsce Rosji i Iranu". „To wielkie zwycięstwo Turcji i genialne posunięcie Erdoğana". Rzadko się zdarza,

eprasa.pl fce8bbc297

by eksperci i komentatorzy, reprezentujący think tanki i media z różnych krajów Zachodu i Bliskiego Wschodu, byli tak bardzo jednomyślni. Turecki prezydent Recep Tayyip Erdoğan, zazwyczaj budzący mieszane uczucia, z dnia na dzień stał się bohaterem, tak zresztą jak sama Turcja. Obalenie reżimu Baszara al-Asada wszędzie przyjęto z radością połączoną z poczuciem, że kończy się czas ponury, krwawy i tragiczny. Nawet jeśli nie sposób dzisiaj powiedzieć, jak będzie wyglądać otwierający się nowy rozdział. Może on również rozwinie się w kierunku, jakiego nikt by sobie nie życzył?

Równie rzadko się zdarza, że jeden kraj, poruszający się na polu, na którym rozgrywki prowadzi wielu innych, i to potężniejszych od niego graczy nagle pociąga za sznurek, który okazuje się tym właściwym. „Genialne posunięcie" – ocena sformułowana w serwisie X przez Timothy'ego Gartona Asha i podzielana, jak się zdaje, powszechnie – to zainspirowanie Hajat al-Tahrir asz-Szam (Organizacji Wyzwolenia Lewantu) do przeprowadzenia antysyryjskiej ofensywy, której błyskawiczny przebieg wszystkich wprawił w osłupienie. Co z kolei rodzi zasadne pytanie: Czy była to tylko inspiracja czy też faktyczny impuls do działania, połączony z rzeczowym wsparciem?

Syryjskiego dyktatora bowiem de facto obaliła Turcja – choć uczyniła to rękami bojowników z HTS. Chociaż Turcy, pomniejszając swój udział, temu zaprzeczają, to chyba nie spodziewają się, że ktoś im uwierzy. Nie jest przecież tajemnicą, że patronują HTS. Gdy parę lat temu, w ramach zabezpieczania przygranicznych terenów Turcji przed atakami partyzantów kurdyjskich, wojska tureckie zajęły 30-kilometrowy pas po syryjskiej stronie granicy, tworząc tzw. strefy bezpieczeństwa – bezpieczeństwa dla siebie oczywiście – zarządzanie tamtejszą prowincją Idlib powierzyli HTS. Podobno to Turcy przekonali przywódców HTS, by zerwali z Al-Kaidą, zmienili nazwę swej organizacji, bo dawna nazwa – Front al-Nusra – źle się kojarzyła, a także, dobrze traktując wyznawców religii innych niż islam, pokazali, że się ucywilizowali.

ZAGROŻENIE EGZYSTENCJALNE

Co zatem kierowało władzami Turcji? Na bieg wydarzeń wpłynęły dwa czynniki o całkiem odmiennym ciężarze gatunkowym: problem kurdyjski i związane z nim względy bezpieczeństwa oraz, pośrednio, ponad 3 mln uchodźców syryjskich, którzy schronili się w Turcji podczas wojny domowej. Ich obecność stała się poważnym obciążeniem finansowym i społecznym: powoduje napięcia, grozi destabilizacją i może fatalnie przełożyć się na perspektywy wyborcze prezydenta Recepa Erdoğana oraz jego partyjnego zaplecza, czyli Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP). Gdyby udało się choć część Syryjczyków skłonić do powrotu, prezydent i partia mogliby zyskać na popularności.

Problem kurdyjski to zupełnie inny kaliber, kwestia o fundamentalnym znaczeniu. Nie przypadkiem to jedyna sprawa, która łączy Turków ponad podziałami, niezależnie od pochodzenia, wykształcenia czy poglądów. W aspiracjach Kurdów Turcy dostrzegają egzystencjalne zagrożenie dla swego kraju. Sama ewentualność powstania już nawet nie państwa, ale choćby autonomicznego regionu kurdyjskiego budzi niepokój. W tle kryje się obawa, jak na sytuację w Turcji wpływa istnienie autonomicznych stref kurdyjskich tuż za granicą, w Syrii i Iraku.

Kurdyjski problem Turcji ma też wymiar międzynarodowy. Gdyby nie przychylna Kurdom polityka Szwecji, Turcja nie blokowałaby tak wytrwale przyjęcia jej do NATO. Finlandia takich problemów nie miała, bo nigdy nie angażowała się tak mocno po stronie Kurdów.

To, co stało się w Syrii na początku grudnia, to tylko ostatnia odsłona całego ciągu wydarzeń. Przedostatnia to polityczna oferta, którą w październiku władze tureckie złożyły Abdullahowi Ocalanowi, przywódcy Robotniczej Partii Kurdystanu (PKK), którą założył na początku lat 80. z myślą o wywalczeniu suwerennego Kurdystanu. Jeśli oficjalnie, z mównicy w parlamencie, Ocalan ogłosi zaprzestanie walki zbrojnej i rozwiązanie PKK, to wyjdzie na wolność. Dla człowieka, który skazany na dożywocie za akty terroru i dążenie do rozbicia Turcji siedzi w więzieniu już 25 lat, to propozycja kusząca. I Ocalan jej nie odrzucił.

Przedprzedostatnią odsłonę stanowiła propozycja skierowana latem do Baszara al-Asada. Turcja proponowała rozwiązanie spornych kwestii, zwłaszcza z zakresu bezpieczeństwa – czytaj: problemu kurdyjskiego – przez rozpoczęcie rozmów, które umożliwiłyby normalizację stosunków, co z kolei otworzyłoby przed uchodźcami drogę powrotu do kraju. Propozycja, złożona dyskretnie, nieoficjalnymi kanałami, została odrzucona. Baszar al-Asad nie widział szansy na negocjacje dopóty, dopóki Turcja nie wycofa swych oddziałów z Syrii, czyli ze stref bezpieczeństwa.

NARESZCIE W ROLI MOCARSTWA?

Ciekawi treści rozmowy prezydenta Erdoğana i sekretarza stanu USA Antony'ego Blinkena, który po obaleniu al-Asada, nie zwlekając, udał się na Bliski Wschód, musieli zadowolić się zdjęciem obu panów na tle wielkiego portretu Mustafy Kemala Atatürka oraz informacją, że spotkali się na lotnisku w Ankarze. Rząd turecki nie zdradził nic, rzecznik Departamentu Stanu zaserwował natomiast ogólnikowe banały, informując, że omawiano sytuację w Syrii i że USA oraz Turcja chcą razem wspierać ten kraj na drodze przemian.

Można się jednak domyślić, że sekretarz stanu USA po raz kolejny musiał wysłuchać żalów Turcji, której bardzo zależy na tym, by USA przestały wspierać Syryjskie Siły Demokratyczne (SDF). Trzon tej organizacji stanowią Ludowe Jednostki Samoobrony (YPG), stanowiące, według Turcji, odłam PKK. Turcja uważa zatem YPG, tak jak PKK, za organizację terrorystyczną; USA i państwa zachodnie na czarnej liście mają tylko PKK.

Problem jest skomplikowany bardziej, niż mogłoby się wydawać, wykracza bowiem poza prosty układ w trójkącie USA – Turcja – Kurdowie. Wśród elementów regionalnej układanki jest przede wszystkim Państwo Islamskie, pokonane przed laty przy dużym udziale SDF, które wzięły na siebie ciężar z nim walki i z tego tytułu mogą liczyć na amerykańską przychylność. Turcy z kolei obawiają się, by ewentualność odrodzenia się ISIS w nowej, radykalnie zmienionej sytuacji – Damaszek w rękach HTS, al-Asad uciekł z kraju, Rosja wycofuje swe oddziały, Iran zaś koncentruje się na konflikcie z Izraelem – nie stała się impulsem do podtrzymywania amerykańskiego wsparcia dla organizacji kurdyjskich.

Według tygodnika „The Arab Weekly", który powołuje się na przedstawiciela

eprasa.pl fce8bbc297

tureckiego ministerstwa obrony, Turcja, nie kryjąc swych obaw, argumentuje, że „aby rozprawić się z jedną organizacją terrorystyczną, nie wolno sięgać po pomoc innej organizacji terrorystycznej". Takie stanowisko, o wymowie pozornie moralnej, przekazują Turcy Amerykanom i innym swym rozmówcom.

Turcji zawsze uważnie słuchano – i za rządów kemalistów, gdy w gronie decydentów bardzo ważny był głos wojskowych, i teraz, gdy o wszystkim decyduje prezydent Erdoğan. Ma zbyt wiele atutów, by można ją było zlekceważyć: od położenia geograficznego, przez udział w NATO, a także w organizacjach islamskich, do – mimo poważnych perturbacji ostatnich lat – niebagatelnego potencjału gospodarczego. Teraz, po zmianach w Syrii, zyskała o wiele lepszą pozycję. Przybliżyły ją one bowiem do roli regionalnego mocarstwa, którą wymarzył sobie Recep Erdoğan. Pytanie oczywiście, jaki użytek będzie on chciał z tego zrobić, a jaki będzie mógł.

HATAY, KURDOWIE I WODA

Chociaż trudno w to uwierzyć po kilkunastu latach otwartej wrogości, to był taki czas, gdy Recep Erdoğan nazywał Baszara al-Asada „bratem". Było to na początku pierwszej dekady XXI w., obaj świeżo objęli rządy – al-Asad w roku 2000, Erdoğan w 2003 – i obaj rozglądali się za sojusznikami. Erdoğan, gorliwy muzułmanin, musiał w dodatku mocno lawirować, by utrzymać się u władzy i realizować swe plany w niechętnym mu otoczeniu politycznym, bo w owym czasie przemożny wpływ na funkcjonowanie państwa tureckiego ciągle jeszcze mieli kemaliści. Tym bardziej więc potrzebował wsparcia.

W owych pionierskich dla obu przywódców latach zbliżenie z Syrią dyktowała Turcji doktryna polityki zagranicznej, sformułowana przez ówczesnego ministra spraw zagranicznych Ahmeta Davutoğlu (wówczas przyjaciela, dziś wroga Erdoğana): „Zero konfliktów z sąsiadami". Nie było z tym łatwo, bo sekularystyczna, prozachodnia Turcja odstawała od swych sąsiadów. Nie bez znaczenia były bliska współpraca z Izraelem, wówczas najbliższym sojusznikiem Turcji w regionie, i gasnące wobec upływu czasu, ciągle jednak istniejące mentalne urazy z czasów osmańskich.

Turcji zawsze uważnie słuchano. Ma zbyt wiele atutów, by można ją było zlekceważyć

Na liście konfliktów Turcji z Syrią jest spór o prowincję Hatay, wspieranie przez Damaszek wrogów Turcji, wreszcie konflikty o wodę, nad której zasobami Turcja panuje dzięki zbudowaniu wielkiego systemu zapór i zbiorników na Eufracie, Tygrysie i innych rzekach południowo-wschodniej Anatolii. I nie są to spory, które łatwo zażegnać i rozwiązać. Hatay, niewielka prowincja wciśnięta między Morze Śródziemne i Syrię, dawna syryjska Aleksandretta, została przyłączona do Turcji w 1938 r., po trwających kilka lat komerażach prawnomiędzynarodowych z udziałem Francji. Syria nigdy nie pogodziła się z tą stratą.

A wrogowie Turcji? Władze Syrii z ochotą udzielały im gościny i nie miało znaczenia, czy były to terrorystyczne organizacje ormiańskie, które w całej Europie przeprowadzały zamachy na tureckich dyplomatów, mszcząc się po latach za ludobójstwo dokonane na Ormianach u schyłku imperium, czy też separatyści kurdyjscy. Na terenach przygranicznych PKK, za wiedzą i aprobatą władz Syrii, zakładała bazy, składy broni i kryjówki, z których dokonywała wypadów na teren Turcji. Turcy nie zamierzali przyglądać się temu bezczynnie i w pogoni za PKK żołnierze tureccy wiele razy wkraczali na teren Syrii. Nic dziwnego, że oba kraje kilkakrotnie były o krok od wojny.

W Damaszku natomiast przez wiele lat, nieniepokojeni przez nikogo, mieszkali przywódcy PKK, w tym sam Abdullah Ocalan. Prawdziwy kryzys wybuchł, gdy Turcja zażądała jego wydalenia. Pod naciskiem Ankary władze syryjskie ustąpiły, co zapoczątkowało kilkumiesięczne peregrynacje lidera PKK po Europie i świecie, od Moskwy i Rzymu do Nairobi, gdzie w lutym 1999 r. został ujęty przez tureckie służby. Żaden kraj nie chciał udzielić mu schronienia.

Bojownicy HTS działali błyskawicznie, nie znaczy to jednak, że to, co nastąpiło po zdobyciu przez nich Damaszku, musi się toczyć w równie zawrotnym tempie. Może nawet nie powinno. Ciekawe zresztą, że w wypowiedziach tureckich polityków, którzy na ogół, nierzadko na wyrost, lubią uderzać w wysokie tony, nie słychać nuty triumfalizmu. Nie słyszymy o wielkich rzeczach, których dokona Turcja w Syrii i wokół Syrii. To mogłoby świadczyć, że sytuację traktują Turcy na tyle poważnie, by starannie ważyć słowa.

W popisach słownych bez większego pokrycia celuje sam Recep Erdoğan. Wspomnianą na wstępie propozycję skierowaną do Abdullaha Ocalana prezydent skwitował stwierdzeniem, że dostrzega w niej „okienko historycznej szansy". „Jeżeli Bóg – dodał – daje nam okazję, by raz na zawsze zamknąć konflikt z Kurdami, to byłoby to prawdziwe ukoronowanie mojej kariery politycznej". Słowa słowami, a przez dwa miesiące, które od tego czasu upłynęły, temat rozwiązania PKK, zakończenia wojny wewnątrztureckiej i pojednania Turków z Kurdami nie wrócił. No, chyba że toczą się jakieś nieznane ogółowi rozmowy...

Wielką niewiadomą są również przyszłe stosunki Turcji z przywódcami HTS. Czy w nowej roli nie zapragną oni przypadkiem wymykać się powoli spod kurateli Turcji? A z Ameryką? Erdoğan rozmawiał z Antonym Blinkenem, jest jednak oczywiste, że oczekiwań i postulatów nie warto przedstawiać administracji, która wkrótce zejdzie ze sceny. A wypowiedzi Donalda Trumpa? Jak rozumieć jego stwierdzenie, że Turcja dokonała „wrogiego przejęcia Syrii"? I podkreślanie zarazem, że Turcja, jego zdaniem, ma w Syrii do odegrania „kluczową rolę". Albo też słowa tureckiego ministra spraw zagranicznych Hakana Fidana, który w wywiadzie dla telewizji Al-Dżazira zauważył, że „region zniszczyła kultura dominacji, dlatego teraz najważniejsza jest współpraca".

Na marginesie nie od rzeczy będzie zauważyć, że po raz pierwszy od ponad 100 lat Turcja wkroczyła na teren, który pozostawał niegdyś pod władzą sułtanów. Dla prezydenta Erdoğana to pewnie ważne, bo czasy imperium darzy on szczególnym sentymentem. Czy jednak świadomość dawnych bliskich więzów ułatwi leczenie ran Syrii? Czy może wprost przeciwnie?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fce8bbc297

FOT. ADOBE STOCK

PŁEĆ I RASA WAŻNIEJSZE

Wielkie amerykańskie korporacje wycofują się z polityki DEI (Różnorodność, Równość, Inkluzywność) w procesie rekrutacyjnym do pracy. Jak orzekł Sąd Najwyższy USA w roku 2023, polityka ta faworyzuje określone grupy społeczne kosztem innych. Kobiety i czarni są traktowani lepiej niż mężczyźni i biali. Z polityki DEI – tyle że pod inną nazwą – nie chce jednak zrezygnować Costco Wholesale, amerykańska sieć sklepów magazynowych. Takie stanowisko zajęło szefostwo tej firmy. Zarząd Costco obwieścił, że różnorodność (co należy rozumieć: parytety płci i rasy) sprzyja kreatywności i innowacyjności.

„INKLUZYWNA" GRA

Ideologia woke dotarła do twórców popularnych gier. Przykładem może być fabularna gra fantasy „Dungeons & Dragons". Teraz ma być ona bardziej „inkluzywna" – tak żeby nikt się nie czuł urażony. Stąd zmiana cech występujących w niej postaci. Krasnolud górski nie będzie już imponował muskularnością i siłą, a wysoki elf – inteligencją i zręcznością.

PORNOBALET

Powszechnie balet klasyczny uchodzi za wysublimowaną dziedzinę sztuki i kojarzy się z kulturą wysoką. W tym kontekście ktoś mógłby pomyśleć, że pewna wiedeńska firma postanowiła przełamywać obyczajowe tabu, które zagnieździło się w umysłach pruderyjnych mieszczuchów. Produkuje ona bowiem filmy pornobaletowe. Występujące w nich tancerki zarabiają na wykonywaniu swojego artystycznego zawodu, ale nie tylko. Zachowując się przed kamerą w sposób wyuzdany, handlują swoimi ciałami jako obiektami pożądania seksualnego.

ZEMSTA WRZĄTKU

Mieszkanka ChRL doznała oparzeń drugiego stopnia po podjęciu próby zamienienia wrzącej wody w lód. To miał być popis młodej kobiety, która wyszła na trzaskający mróz i rzuciła do góry otwarte naczynie z wrzątkiem. Liczyła bowiem na to, że ukrop natychmiast w powietrzu zamarznie. Tymczasem z oczywistych powodów krople wrzącej wody nie zdążyły się zamienić w kryształki lodu. Cóż, lekceważenie praw przyrody boleśnie się mści. Na szczęście tym razem obeszło się bez ofiar śmiertelnych.

PIELĘGNACJA ODCHODAMI

Brazylijska influencerka pochwaliła się na Instagramie, że pielęgnuje swoją skórę własnym moczem. Kobieta znana jest z takich osobliwych zabiegów. Wcześniej zszokowała internautów rozsmarowywaniem na swojej twarzy własnego kału i własnej krwi menstruacyjnej. „Warto opuścić swoją strefę komfortu i znaleźć to, co działa w twoim przypadku" – twierdzi. Lekarze jednak jej metody zdecydowanie odradzają. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Strach przed wojną

Większość Polaków na myśl o roku 2025 odczuwa obawę. Najbardziej boimy się bezpośredniego wciągnięcia Polski w wojnę, eskalacji konfliktu na wschodzie Europy oraz pogorszenia sytuacji finansowej – wynika z najnowszego sondażu United Surveys by IBRiS dla „Dziennika Gazety Prawnej".

Na dwie pierwsze odpowiedzi – strach przed wojną i eskalacją konfliktu – wskazało 51,6 proc. respondentów. Obawy przed pogorszeniem sytuacji finansowej wyraziło 29 proc. ankietowanych. Polacy obawiają się również pogorszenia sytuacji w ochronie zdrowia (23,1 proc. pytanych), a także nasilenia dezinformacji w przestrzeni publicznej (22,3 proc.). 14 proc. respondentów boi się pogłębienia sporów w wymiarze sprawiedliwości, nasilenia kryzysu klimatycznego (12,2 proc.) i konfliktu politycznego (11,2 proc.).

Strach przed wojną odczuwają też inni mieszkańcy Starego Kontynentu. Z sondażu przeprowadzonego w grudniu wśród Niemców wynika, że aż 65 proc. z nich obawia się, iż Rosja może wziąć na celownik inne kraje europejskie.

Obaw związanych z geopolitycznymi napięciami w regionie nie kryją również Szwedzi. Nasi sąsiedzi z północy bardzo pragmatycznie podchodzą jednak do strachu przed konfliktem z Rosją. Władze w Sztokholmie już w listopadzie wysłały do 5 mln gospodarstw domowych broszury z poradami, jak przygotować się na wypadek wojny. Szwedzkie stowarzyszenia pogrzebowe pilnie szukają zaś dodatkowych działek pod cmentarze, na których można byłoby grzebać ofiary nowej wojny. Oby długo nie trzeba było z nich korzystać... ©℗

eprasa.pl fce8bbc297

FOT. CARLOS BARRIA/REUTERS/FORUM

Władca pierścienia

Piotr Włoczyk

Tuż po wyborach prezydenckich do rezydencji Trumpa na Florydzie zaczęli zjeżdżać giganci biznesu i mediów dotychczas wspierający demokratów. Najbardziej zacietrzewieni „obrońcy demokracji" w USA mówią o zdradzie i „całowaniu pierścienia" Trumpa

Trudno o lepszą ilustrację dominacji Donalda Trumpa. Oto Mark Zuckerberg, do niedawna zaprzysięgły wróg byłego/przyszłego republikańskiego prezydenta, zjawia się po wyborach na „audiencji" w Mar-a-Lago i stojąc na baczność, z ręką na sercu, wysłuchuje amerykańskiego hymnu. Nie jest to jednak standardowa aranżacja „Gwieździstego Sztandaru", ale trumpowy „hit" z czasu ostatniej kampanii prezydenckiej – utwór wykonany został przez chór złożony z setek ludzi oskarżonych o udział w zamieszkach na Kapitolu sprzed czterech lat. Trump puszczał go wielokrotnie podczas swoich wieców, a zapowiadający utwór lektor nazywał członków chóru „zakładnikami" Bidena. Niestety, nic nie wiadomo na temat reakcji Zuckerberga, ale jeżeli twórca Facebooka rozpoznał tę wersję hymnu, to musiał się czuć sponiewierany. Multimiliarder, którego platforma społecznościowa pozbawiła Trumpa w 2021 r. dostępu do konta w związku z „poparciem udzielonym ludziom uciekającym się do siania przemocy na Kapitolu", zmuszony był z atencją wysłuchać hymnu zaśpiewanego przez dokładnie tych samych ludzi…

Jakby tego było mało, Zuckerberg postanowił dorzucić się do ceremonii inauguracji drugiej kadencji Trumpa, choć ani grosza nie dał cztery lata temu na podobną uroczystość (nie mówiąc już o wsparciu inauguracji pierwszej kadencji Trumpa). Meta (spółka matka Facebooka i Instagrama) przeznaczyła na ten cel okrągły 1 mln dol., dołączając tym samym do pokaźnego grona wielkich korporacji, które pogodziły się z dominacją Trumpa i postanowiły w ten sposób złożyć mu hołd.

Wizyta Zuckerberga w Mar-a-Lago nie była jednak ewenementem, ponieważ Trump od czasu wygranej gościł już na podobnych „audiencjach" całą plejadę miliarderów opowiadających się wcześniej twardo za drugą stroną amerykańskiego sporu cywilizacyjnego.

Sam Trump z ewidentnym rozbawieniem przyjmuje takie hołdy. „Tym razem wszyscy chcą być moimi przyjaciółmi – powiedział podczas konferencji prasowej w Mar-a-Lago. – W trakcie pierwszej kadencji wszyscy ze mną walczyli. Natomiast tym razem jest o wiele mniej agresywnie. Prawdę mówiąc, to, co się dzieje, jest przeciwieństwem agresji".

Co ciekawe, jeszcze w czasie kampanii wyborczej pojawiały się sygnały zapowiadające odwilż na linii Trump – Zuckerberg. Im gorzej wyglądały perspektywy Kamali Harris, tym bardziej pogodzony z myślą, że Ameryka skręca w zupełnie inną stronę, zdawał się szef Facebooka.

Jeszcze w wakacje Trump groził Zuckerbergowi dożywotnią odsiadką, gdyby ten próbował wpływać na tegoroczne wybory. Zuckerberg niemal od razu wyraził żal, że w czasie poprzedniej kampanii cięte były zasięgi postów na temat skandali wokół syna Joe Bidena, co prawa strona amerykańskiej sceny politycznej odbierała wówczas jako cenzurę korzystną dla kandydata demokratów. Miesiąc przed wyborami Donald Trump docenił dosyć neutralną postawę Zuckerberga, mówiąc: „To miłe, że trzyma się z dala od wyborów".

INSTYNKT SAMOZACHOWAWCZY

Liczne hołdy i „pielgrzymki" do Mar-a-Lago sprawiły, że co bardziej zapaleni

eprasa.pl fce8bbc297

publicyści mediów liberalno-lewicowych z pogardą piszą o miliarderach, którzy „całują pierścień" Trumpa, by zabezpieczyć swoje biznesy przed gniewem nowego gospodarza Białego Domu.

Po wyborach do „całowania pierścienia" poza Zuckerbergiem ustawił się też drugi najbogatszy człowiek świata – Jeff Bezos, szef Amazona. Bezos jeszcze przed 5 listopada wysyłał zresztą pod adresem Trumpa pojednawcze sygnały, rozumiejąc, że polityczny wiatr zmienił kierunek i zwycięstwo kandydata republikanów stało się bardzo prawdopodobne. Po wpisach na koncie Anne Applebaum na platformie X (dawny Twitter) widać, jak ta była publicystka „Washington Post" przeżywała decyzję kierownictwa swojej dawnej redakcji w sprawie wyborów prezydenckich. Waszyngtoński dziennik, należący do Jeffa Bezosa, postanowił w tym roku nie popierać kandydatki demokratów i po raz pierwszy od 36 lat wstrzymał się od wskazania swojego faworyta. Dwudziestu dziennikarzy i publicystów pracujących dla tego tytułu podpisało się pod krytycznym oświadczeniem, w którym kierownictwo gazety oskarżone zostało o „porzucenie fundamentów redakcyjnych przekonań dziennika, który kochamy". „Washington Post" natychmiast straciło 10 proc. subskrypcji, ale kierownictwo redakcji nie zmieniło zdania. Bezos również wpłacił na inaugurację 47. prezydenta 1 mln dol. choć – jak zwróciły uwagę amerykańskie media – cztery lata temu przekazał na ten cel Bidenowi zaledwie 277 tys. dol.

Natomiast tuż przed świętami Bożego Narodzenia Mar-a-Lago odwiedził Tim Cook, który pod względem ideologicznym jest bodaj najbardziej na lewo z całej wierchuszki big-techowych gigantów. Szef Apple'a do wściekłości doprowadził najbardziej oddanych zwolenników Harris, gdy nazajutrz po wyborach prezydenckich napisał na platformie X gratulacje dla Trumpa. Jak donoszą amerykańskie media, w Mar-a-Lago pojawić się ma niedługo również szefostwo Google'a, a tuż przed sylwestrem Trump pochwalił się na platformie X, że o spotkanie z nim zabiega Bill Gates.

Po wyborach do „całowania pierścienia" ustawił się m.in. drugi najbogatszy człowiek świata – Jeff Bezos, szef Amazona FOT. INSTAGRAM/@BONA_EUNJAE_, X/@MICHAELSCOLLURA

Traumatycznym przeżyciem dla fanatyków lewej strony musiała być wizyta Trumpa na Wall Street, gdy przed świętami Bożego Narodzenia prezydent elekt otworzył sesję giełdy. A konkretnie – sposób, w jaki został tam przyjęty. Trump uderzył bowiem w dzwonek przy wielkim entuzjazmie zgromadzonych tam rekinów biznesu, a jakby tego było mało, gospodarze wywiesili za jego plecami wielką planszę z twarzą 45./47. prezydenta na okładce „Time'a" – amerykański tygodnik uznał go właśnie za Człowieka Roku. Wielki amerykański biznes musiał przyjąć do wiadomości, że Trump po raz drugi w Białym Domu nie jest żadnym „wypadkiem przy pracy" i jego poparcie społeczne daje mu legitymację do wprowadzania głębokich zmian w systemie.

„Instynkt samozachowawczy odgrywa tu swoją rolę – wszystkie te firmy nie chcą tracić rządowych kontraktów i nie chcą też narażać się na furię człowieka znanego z tego, że potrafi grozić swoim krytykom. Przez lata Trump nie był przyjacielem firm z sektora tech i vice versa. Teraz, gdy Trump przygotowuje się do swojej drugiej kadencji, szefowie techu chcą wkraść się w łaski prezydenta elekta i otworzyć nowy rozdział w relacjach z nim, który wymaże przeszłość" – podsumował „całowanie pierścienia" tygodnik „The Atlantic".

MIKA OTWIERA KANAŁ

Co gorsza jednak, do grona zdrajców „demokratycznych wartości" dołączył tuż po wyborach prezydenckich czołowy publicystyczny duet amerykańskiej telewizji – Mika Brzezinski (córka Zbigniewa Brzezinskiego) i jej mąż Joe Scarborough, prowadzący na antenie MSNBC popularny program „Morning Joe". Dwa tygodnie po wyborach para publicystów odwiedziła Trumpa w Mar-a-Lago, by „zresetować" wzajemne relacje. Krok ten był o tyle zaskakujący, że jeszcze miesiąc wcześniej Brzezinski przekonywała widzów, iż Trump prowadzi politykę faszystowską (nawet nie neofaszystowską czy quasi-faszystowską, ale po prostu faszystowską) i „zabija nas – kobiety" (oczywiście chodziło o wyrok Sądu Najwyższego w sprawie legalności aborcji).

Po tym, gdy o spotkaniu Brzezinski/Scarborough-Trump zrobiło się głośno i na dziennikarską parę spadła z lewej strony lawina krytyki, publicystka postanowiła wytłumaczyć się przed kamerą.

„Tym, którzy pytają, dlaczego chcieliśmy porozmawiać z prezydentem elektem w tak napiętym czasie, sama chciałabym zadać pytanie: »A dlaczego mielibyśmy nie rozmawiać?«. Czas już na inne działania, a zaczynają się one nie tylko od rozmawiania o Donaldzie Trumpie, lecz także o rozmawianiu z nim samym". Brzezinski i Scarborough mieli całkiem dobre relacje z Trumpem jeszcze w czasie jego pierwszej kampanii wyborczej, ale później atmosfera między nimi mocno się pogorszyła i z obu stron padały najcięższe słowa – Trump stwierdził np., że publicystka ma bardzo niskie IQ, a jej mąż jest „psycholem".

Prezydent elekt serdecznie skomentował ich ostatnie spotkanie podczas wywiadu na antenie Fox News. „Mówiliśmy o wielu sprawach i bardzo się cieszę, że chcieli otworzyć kanał komunikacji. Wielka szkoda, że nie stało się to wcześniej" – powiedział Trump.

Natomiast Joe Scarborough bronił się przed atakami antytrumpowych radykałów, sugerując, że również ich ulubieńcy gotowi są na „reset" z nowym gospodarzem Białego Domu.

„Powiem wam, że mnóstwo przywódców Partii Demokratycznej, z którymi rozmawialiśmy po wyborach, powiedziało Mice i mnie, że czas na nowe podejście. A gdy mówię »przywódcy«, to naprawdę mam na myśli samą »górę«" – stwierdził Scarborough. Czyżby również po stronie demokratów pojawiła się refleksja, że Trump to tak silny fenomen, że lepiej nie iść z nim na walkę na noże?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fce8bbc297

Plantator z misją

Święty Jan Paweł II oraz Jimmy Carter darzyli się wzajemnym szacunkiem

FOT. HISTORICAL/CORBIS/GETTY IMAGES

Jacek Przybylski

„Niech będzie Bóg pochwalony" – tymi słowami, wypowiedzianymi po polsku, Jimmy Carter powitał w Białym Domu papieża Jana Pawła II. Był pierwszym przywódcą USA, który przyjął papieża w Białym Domu. Trzydziesty dziewiąty prezydent USA przyczynił się też do powstrzymania sowieckiej inwazji na Polskę i upadku komunizmu nad Wisłą

Były prezydent Stanów Zjednoczonych Jimmy Carter zmarł 29 grudnia. W mocno podzielonej politycznie Ameryce hołd oddali mu najważniejsi politycy obu głównych partii. Trzydziestego dziewiątego prezydenta USA pochwalił m.in. Donald Trump, który choć w kampanii wyborczej nazywał go „miłym człowiekiem", ale „straszliwym prezydentem", to w komunikacie wydanym po śmierci polityka stwierdził jednoznacznie, że Carter „zrobił wszystko, co było w jego mocy, aby poprawić życie wszystkich Amerykanów", i podkreślił, że Amerykanie mają wobec niego za to „dług wdzięczności". Z kondolencjami pospieszyli także George W. Bush – republikanin zauważył, że „jego wysiłki, mające na celu stworzenie lepszego świata, nie ograniczały się do jego prezydentury" – oraz przywódcy najróżniejszych państw świata i papież Franciszek.

FARMA, ARMIA I RELIGIA

1 października James Earl Carter Jr. obchodził 100. urodziny. Niemal całe życie spędził w małym miasteczku Plains w południowo-zachodniej Georgii. Jego matka była pielęgniarką, a ojciec prowadził sklep i farmę orzeszków ziemnych. Zanim Jimmy Carter trafił do wielkiej polityki, dorastał w biednym domu na prowincji. Jako nastolatek był gwiazdą szkolnej drużyny koszykówki. Po zdobyciu dyplomu szkoły średniej ukończył Akademię Marynarki Wojennej w Annapolis. Służył jako oficer na okrętach podwodnych, a do jego obowiązków należało m.in. serwisowanie znajdujących się na nich reaktorów jądrowych. Miał duże szanse na kolejne awanse, w tym na zostanie kapitanem okrętu. W roku 1953, po śmierci ojca, przerwał jednak wojskową karierę i powrócił w rodzinne strony, aby pomóc rodzinie w prowadzeniu podupadającej farmy. Pierwszy rok – głównie z powodu suszy – zakończył fatalnie. Później udało mu się jednak doprowadzić do rozkwitu gospodarstwa.

Karierę polityczną rozpoczął już jako zamożny biznesmen od najniższego szczebla. Wybierany najpierw do rad szkolnych i bibliotecznych szybko zdobył popularność wśród lokalnej społeczności i w 1962 r. wygrał miejsce w Senacie stanu Georgia (w jego ławach spędził dwie kadencje). W roku 1970 był już gubernatorem. Jako pobożny baptysta i reprezentant Partii Demokratycznej odciął się od poglądów ojca popierającego segregację rasową, potępił niewolnictwo i ogłosił, że „czas dyskryminacji rasowej już się skończył".

JAKI JIMMY?

Gdy w grudniu 1974 r. w Waszyngtonie oficjalnie ogłosił zamiar startu w wyścigu do Białego Domu, drwin ze strony oponentów nie było końca. Nie był wówczas najbardziej znanym politykiem na szczeblu krajowym, a w prawyborach musiał pokonać aż 16 rywali. Wielu z nich pytało ironicznie: „Jimmy who?" („Jaki Jimmy?"). Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. „Nazywam się Jimmy Carter i ubiegam się o prezydenturę". Z tym prostym, powtarzanym hasłem Carter przemierzył ponad 80 tys. km, odwiedził 37 stanów i wygłosił ponad 200 przemówień. Opublikował też autobiografię zatytułowaną „Why Not the Best". Strategia okazała się skuteczna. Nieznany wcześniej polityk ze stanu Georgia zdołał wygrać kluczowe głosowania w Iowa i New Hamshire. W marcu 1975 r. był już zaś zdecydowanym faworytem prawyborczego wyścigu po nominację Partii Demokratycznej. Kilka miesięcy później „Jimmy who?" pokonał urzędującego prezydenta Geralda Forda, zdobywając 50,1 proc. głosów w wyborach powszechnych (i 297 głosów elektorskich).

Ameryce przewodził od 20 stycznia 1977 r. do 20 stycznia 1981 r. Do Białego

eprasa.pl fce8bbc297

Domu wniósł „pragmatyczną mądrość plantatora orzeszków ziemnych, etykę pracy budowniczego domów oraz niezachwianą wiarę nauczyciela szkoły niedzielnej" – zauważył spiker parlamentu stanu Georgia Jon G. Burns. I rzeczywiście na kartach historii zapisał się nie tylko jako ten prezydent USA, który dożył najpóźniejszego wieku, lecz także jako polityk, który do końca cieszył się opinią „dobrego człowieka", choć – co zauważali Donald Trump i wielu politologów – dość słabego przywódcy. Mimo wdrożonego programu mającego na celu pobudzenie gospodarki i zmniejszenie bezrobocia, przy jednoczesnej walce z wysoką inflacją (wynoszącą na początku jego prezydentury ok. 7 proc.), zwykli Amerykanie mieli wrażenie, że za rządów Cartera żyje im się coraz gorzej. Ostateczny cios politycznym szansom prezydenta zadali islamscy rewolucjoniści w Iranie, którzy pojmali personel ambasady USA jako zakładników.

PROPOLSKI BIAŁY DOM

Po pierwszej kadencji w Białym Domu Jimmy Carter poniósł druzgocącą klęskę w rywalizacji z Ronaldem Reaganem (zdobył zaledwie 49 głosów elektorskich, a jego przeciwnik zgarnął ich aż 489).

Trafił tym samym do grona zaledwie 13 byłych prezydentów USA, którzy swe rządy zakończyli już po pierwszej kadencji. Jego prezydentura nie była jednak wcale jedynie pasmem porażek. Carter próbował wyciszyć wiele konfliktów i ograniczyć wyścig zbrojeń z Sowietami. Doprowadził do podpisania w Wiedniu 1979 r. przez Leonida Breżniewa układu SALT II, zmniejszającego arsenały środków przenoszenia broni jądrowej.

Carter przyczynił się również do upadku reżimu komunistycznego w Polsce, zatrudniając w Białym Domu Zbigniewa Brzezińskiego w charakterze doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. W administracji pracował również drugi Polak o polskich korzeniach: Ed Muskie (wpływowy senator i syn imigrantów urodził się w stanie Maine jako Edmund Marciszewski), który od 7 maja 1980 r. do 20 stycznia 1981 r. piastował funkcję szefa amerykańskiej dyplomacji (dzięki Carterowi został on pierwszym Amerykaninem polskiego pochodzenia, który pełnił tak wysokie stanowisko).

Polska była jednym z pierwszych państw, do których Jimmy Carter przybył jako prezydent

Biały Dom aktywnie wspierał również polską opozycję demokratyczną. Polska była też jednym z pierwszych państw, do których Carter przybył jako prezydent. Na lotnisku w Warszawie amerykański Air Force One wylądował wieczorem 29 grudnia.

Opozycja – a zwłaszcza członkowie Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela czy KSS „KOR" – spodziewała się, że wizyta umożliwi jej realizację celów, zwłaszcza że I sekretarz KC PZPR Edward Gierek liczył na uzyskanie kolejnych pożyczek zagranicznych, więc starał się sprawiać wrażenie, jakby prawa człowieka były w PRL przestrzegane. Amerykański prezydent dał też lekcję wolności słowa: wystąpił bowiem na transmitowanej na żywo w telewizji i niecenzurowanej konferencji prasowej. Nie udało się na nią dostać przedstawicielom opozycji, ale zdołali przekazać przygotowane przez ROPCiO pytania z pomocą attaché prasowego ambasady USA. I otrzymali na nie pisemną odpowiedź prezydenta Cartera.

Polskiej opozycji – i nie tylko opozycji – Jimmy Carter pomógł również już po przegranych przez siebie wyborach, w ostatnich tygodniach swego urzędowania. W pierwszych dniach grudnia 1980 r. Zbigniew Brzeziński pokazał gospodarzowi Białego Domu wstrząsający raport CIA: co najmniej 20 sowieckich dywizji osiągnęło gotowość natychmiastowego wkroczenia do Polski. Według danych amerykańskiego wywiadu „bratnia" interwencja mająca na celu zniszczenie „polskiego wirusa" miała się rozpocząć w ciągu maksymalnie 48 godzin. Dzięki stanowczej postawie prezydenta USA Sowieci się dowiedzieli, że nie mogą liczyć na efekt zaskoczenia, że USA są „zdecydowanie przeciwne użyciu siły przez Związek Sowiecki w Polsce" i że za planowaną inwazję Rosjanie zapłacą wysoką cenę na arenie międzynarodowej.

W walce z komunistycznymi aparatczykami w Polsce Jimmy Carter miał wyjątkowego sprzymierzeńca: św. Jana Pawła II. To właśnie on 6 października 1979 r. jako pierwszy amerykański przywódca przyjął papieża w Białym Domu, witając go po polsku słowami: „Niech będzie Bóg pochwalony". Jak zauważył arcybiskup Atlanty Gregory J. Hartmayer, prezydent USA i papież Polak darzyli się wzajemnym szacunkiem i obaj stawali w obronie pokoju oraz praw człowieka.

Cartera ogromnym szacunkiem darzą również Węgrzy. To on w 1978 r. podjął bowiem decyzję o przekazaniu Węgrom korony św. Stefana – insygnium koronacyjnego królów Węgier od XI w. do 1918 r.

WIERNY BOGU I ŻONIE

Jimmy Carter, który mocno podupadł na zdrowiu w lutym 2023 r., na kartach historii zapisał się również jako prezydent, który podczas trwających 12 dni tajnych negocjacji doprowadził do zawarcia porozumień z Camp David między Egiptem a Izraelem. Dwa dokumenty podpisane 17 września 1978 r. w Białym Domu przez prezydenta Egiptu Anwara Sadata i premiera Izraela Menachema Begina stały się zalążkiem oficjalnego traktatu pokojowego między oboma państwami. Anwar Sadat i Menachem Begin otrzymali za to Pokojową Nagrodę Nobla w grudniu 1978 r. Jimmy Carter dołączył do grona laureatów tej prestiżowej nagrody w roku 2002.

6 stycznia ciało Cartera przetransportowano na Kapitol, gdzie hołd 39. prezydentowi USA oddawali zarówno politycy i dyplomaci, jak i zwykli Amerykanie. Państwowa ceremonia pogrzebowa została zaplanowana na czwartek 9 stycznia w Katedrze Narodowej w Waszyngtonie. Tego dnia w Stanach Zjednoczonych będzie obowiązywała żałoba narodowa. Ciało byłego prezydenta zostanie pochowane na należącym do rodziny Carterów prywatnym terenie nad brzegiem stawu w Plains.

Jimmy Carter spocznie obok ukochanej żony Eleanor Rosalynn Carter (z domu Smith), która zmarła w wieku 96 lat 19 listopada 2023 r. Para przez 77 (sic!) lat tworzyła niezwykłe małżeństwo – przez lata promowali demokrację i prawa człowieka, własnymi rękoma pomagali budować domy wraz z Habitat for Humanity i poświęcali czas, ucząc w szkółce niedzielnej w rodzinnym Plains. We współczesnym świecie wyróżniali się również, pozostając wiernymi wyznawanym zasadom religijnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fce8bbc297

Plaga opuszczonych domów

Jakub Wozinski

W Japonii kryzys demograficzny sprawił, że aż 14 proc. wszystkich domów jest już opuszczonych. W podążającej jej śladami Europie, którą coraz bardziej dotyka plaga ekologizmu, to samo zjawisko może wkrótce przyjąć jeszcze bardziej dramatyczne rozmiary

Japonia jest krajem, który swoją przygodę z niską dzietnością rozpoczął wcześniej niż Polska, bo już w latach 80. Od tego czasu Kraj Kwitnącej Wiśni znajdował się w ścisłym gronie 20 państw o najmniejszej dzietności na świecie, a jednocześnie ograniczał napływ imigrantów. W ostatnich latach zaczął więc odczuwać, co oznacza depopulacja, znacznie szybciej niż inni.

WYMARŁE DOMOSTWA

Na dokonujące się w Japonii procesy warto spoglądać z wielką uwagą, ponieważ historia nie zna właściwie żadnego przypadku wymierania społeczeństw na taką skalę w warunkach pokojowych. Jednym z najbardziej widocznych symptomów tego zjawiska w krajach rozwiniętych stają się opuszczone nieruchomości, które w Japonii określa się mianem akiya. Wcześniej terminem tym określało się z reguły budynki zlokalizowane na obszarach wiejskich, ale w ostatnich latach problem zaczął dotyczyć także największych metropolii, na czele z samym Tokio.

Japońskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zaktualizowało w ubiegłym roku dane dotyczące opuszczonych nieruchomości i okazało się, że od poprzedniego spisu w 2018 r. przybyło ich aż pół miliona. Obecnie w całym kraju jest ich prawie 9 mln, a tylko 330 tys. oferuje się do sprzedaży. Cała reszta jest formalnie do wynajęcia lub ma nieuregulowany status.

Dane te obrazują niestety, na czym polega istota dramatu wymierania: od lat w Japonii nabrzmiewa problem samotnego umierania, dotykający nawet 30 proc. osób. Towarzyszący depopulacji rozpad więzi rodzinnych i społecznych sprawia, że po zgonie właściciela nie ma najczęściej nawet komu zaopiekować się daną nieruchomością. W japońskim systemie podatkowym stawka podatku od nieruchomości jest niższa dla zabudowanych działek, dlatego w większości przypadków z domem zmarłego nie opłaca się robić absolutnie nic. O ile oczywiście ktoś w ogóle upomni się o dany dom czy mieszkanie, ponieważ status własnościowy i prawny wielu akiya jest po prostu nieznany.

W pewnej ograniczonej części przypadków opuszczone domy należą do osób posiadających więcej nieruchomości lub przebywających na stałe za granicą, lecz zasadniczo na wzrost ich liczby pracuje najmocniej śmierć. Wedle danych firmy konsultingowej Nomura w 2038 r. tego rodzaju nieruchomości będzie już 23 mln, co będzie stanowiło niemal trzecią część wszystkich domów.

ZNIKAJĄCE SPOŁECZNOŚCI

Obecnie plaga pustostanów jest mimo wszystko dość rozproszona, lecz w najbliższych latach zacznie szybko rozprzestrzeniać się po całym kraju. Według danych japońskiej Rady Strategii Populacyjnej do połowy wieku całkowicie zniknąć może nawet 43 proc. gmin. Zanik ten będzie się najprawdopodobniej dokonywał poprzez szybki przyrost pustostanów. Nagromadzenie ich w danej okolicy zacznie się przekładać na upadek lokalnego handlu i usług, a szukający dostępu do nich mieszkańcy będą się coraz szybciej przenosić do bardziej rokujących na przyszłość okolic. Występowanie tego samego zjawiska w większej skali będzie prowadziło wręcz do zaniku całych dzielnic, miejscowości, a w konsekwencji całych gmin.

Już samo sąsiedztwo opuszczonych pustostanów przyczynia się do zauważalnych szkód finansowych dla całego otoczenia. Tygodnik „Nikkei Asia" przedstawił dane wskazujące, że krajowy

eprasa.pl fce8bbc297

FOT. ADOBE STOCK

rynek nieruchomości zanotował wskutek tego zjawiska stratę w wysokości ok. 24 mld dol. ze względu na spadającą atrakcyjność okolicy. Stale zagrażające Japonii trzęsienia ziemi sprawiają ponadto, że pustostany zagrażają całemu otoczeniu ze względu na swój niejasny stan techniczny.

W ostatnich latach w mediach społecznościowych zapanowała moda na rewitalizację wybranych akiya. Specjalizujący się w remontach lub podróżach youtuberzy przekonują widzów na całym świecie, że japońskie pustostany mogą znów stać się atrakcyjnym miejscem czasowego lub stałego pobytu. Wykreowana w ten sposób moda nie zmienia jednak tego, że Japonia ma coraz większy problem i wciąż nie potrafi sobie z nim poradzić.

WYSYCHAJĄCY STRUMIEŃ

Analogiczna moda na kupowanie pustostanów zapanowała także w krajach południowej Europy. We Włoszech wciąż działają programy, w ramach których można kupić nieruchomości za symboliczne 1 euro. Śródziemnomorskim krajom w skrywaniu narastającego problemu pomaga wydatnie turystyka, gdyż tracące właścicieli domy i mieszkania w wielu regionach stosunkowo łatwo przerobić na cele turystyczne.

Jako najstarszy naród Europy Włosi wkrótce zaczną jednak silniej niż do tej pory doświadczać, co w praktyce oznacza depopulacja. W całej Italii jest już ok. 2,5 tys. opuszczonych wsi, a łączna liczba pustostanów sięga 2 mln. Najszybciej wyludnia się południowa część kraju, mimo że najgorszą dzietność notują środkowe Włochy. Tym samym jeszcze bardziej wzmaga się problem odwiecznej dysproporcji w statusie ekonomicznym północnej i południowej części kraju.

Zazwyczaj sądzi się, że związany z demograficznym kryzysem ekonomiczny kolaps nie sięgnie nigdy wielkich metropolii, w których ceny za nieruchomości pozostają wciąż na zawrotnie wysokim poziomie. W praktyce może się jednak okazać, że postępujący upadek prowincji przełoży się w końcu także na sytuację w największych ośrodkach, dla których ewidentną korzyścią było zawsze zasysanie siły roboczej z gorzej usytuowanych ekonomicznie regionów. W 2023 r. we Włoszech urodziło się zaledwie 379 tys. osób, co stanowi najniższy wynik od 163 lat, gdy powstało zjednoczone państwo. Strumień migracji wewnętrznych zaczyna coraz szybciej wysychać, a bez niego duże miasta są skazane na regres. Przekonanie, że masowa imigracja z obcych kulturowo krajów zaradzi temu problemowi, jest – delikatnie mówiąc – złudne.

PLAGA KLIMATYZMU

Wielkim europejskim paradoksem jest to, że obok siebie współwystępują dwa duże problemy: dużej liczby osób, które nie mają domu, oraz dużej liczby domów, które nie są zamieszkiwane przez ludzi. Prawie co trzeci mieszkaniec Starego Kontynentu mający 25–34 lata żyje wciąż z rodzicami, a jednocześnie w wielu krajach pustostany stanowią więcej niż 10 proc. ogółu zasobów mieszkaniowych. To dobitny argument na rzecz tezy, że depopulacja rozgrywa się przede wszystkim w ludzkich głowach. Zachodnia cywilizacja nie wykorzystuje efektywnie swoich mieszkaniowych zasobów, ponieważ triumfują w niej błędne idee i wzorce kulturowe.

Jedną z takich błędnych idei jest klimatyzm czy też ogólnie pojęty zrównoważony rozwój, który w najbliższym czasie przyczyni się do spotęgowania kryzysu pustostanów. Zgodnie z przyjętym w Unii Europejskiej harmonogramem przechodzenia do zeroemisyjności cały kontynent czeka w najbliższych latach bezprecedensowy program dostosowywania budynków do pseudoekologicznych norm. Każdy budynek uzyska już wkrótce odpowiednią klasę energetyczną (od A do G) i jeśli nie będzie stale podnoszony do najwyższych standardów, nie będzie mógł być eksploatowany. Już samo wycofanie z użytkowania kotłów grzewczych na paliwa kopalne do 2040 r. wymusi na milionach osób znaczne wydatki, a przecież szczegółowe przepisy wymuszą także przeprowadzenie wielu innych prac. Szacowany koszt wdrożenia dyrektywy EPBD w Polsce to nawet 1,5 bln zł.

W całej Italii jest już ok. 2,5 tys. opuszczonych wsi, a łączna liczba pustostanów sięga 2 mln

Wymuszany przez Unię Europejską morderczy plan sprawi, że pokaźne grono właścicieli nieruchomości zwyczajnie nie będzie już w stanie eksploatować budynku. Obecnie wiele mówi się na temat wysokich kosztów ograniczających konstrukcję nowych budynków, lecz wydaje się, że zdecydowanie większym problemem będzie masowe porzucanie nieruchomości. Teoretycznie każdy będzie mógł się ubiegać o odpowiednie wsparcie finansowe ze strony pań-

eprasa.pl fce8bbc297

stwa, lecz rozpisany przez eurokratów biznesplan pozwala mieć sporo wątpliwości, czy rzeczywiście wystarczy na to pieniędzy.

NIERUCHOMOŚCI. WCIĄŻ DOBRA INWESTYCJA?

Jedną z najbardziej sprawdzonych metod na zabezpieczenie kapitału jest lokowanie go w nieruchomościach. To prawidło nie straci na aktualności praktycznie nigdy, lecz w naszych czasach jeszcze większą różnicę niż do tej pory będzie robiło znalezienie odpowiedniej lokalizacji i klasy budynku. Kraje, w których populacyjny kolaps będzie następował w najbardziej dynamiczny sposób, będą musiały się liczyć z równie szybkim odpływem kapitałów, a przez to także ze spadkiem cen nieruchomości. Mniejsza populacja to mniejszy popyt na domy i mieszkania, a dodatkowo dzieła zniszczenia dopełni stagnacja gospodarcza wywołana brakiem rąk do pracy i ograniczeniem akcji kredytowej.

Właściwie już dzisiaj widać pierwsze symptomy tego, jak może w przyszłości wyglądać rynek nieruchomości. Po ostatnim kryzysie finansowym z 2008 r., gdy w wielu krajach pękła bańka mieszkaniowa, zauważono wyraźny wzrost zainteresowania nieruchomościami luksusowymi. Od tego czasu zainteresowanie nimi nie gaśnie, co oznacza, że rynek już teraz przewiduje, iż w sytuacji zapaści demograficznej wysokie ceny uda się zachować przede wszystkim w najwyższym segmencie. Takie lokalizacje jak Dubaj, Nowy Jork czy Sydney mogą się w przyszłości przerodzić w rzadkie enklawy pozwalające skromnej liczbie wybranych zachować posiadany kapitał.

Rzecz jasna, nie sposób dziś przewidzieć, które dokładnie miasta, regiony i kraje zapewnią większe szanse na dokonanie właściwej inwestycji. Co do zasady można jednak stwierdzić, że polska katastrofa demograficzna będzie coraz bardziej przekładała się na występowanie coraz większej liczby „wysp dobrobytu" przy powszechnym spadku cen i atrakcyjności nieruchomości znajdujących się z dala od dużych ośrodków.

Obecne ceny nieruchomości w Polsce wydają się w żaden sposób nie wskazywać na przyszłe problemy związane z szybkim wymieraniem. W pierwszym kwartale 2024 r. wzrosły aż o 10,9 proc., choć na zachodzie kontynentu odnotowały w większości spadki. Warto jednak pamiętać, że w ogarniętej plagą pustostanów Japonii w latach 80. na rynku nieruchomości również panowała euforia. Wartość tamtejszego rynku nieruchomości przekraczała nawet w szczytowym momencie wartość całej amerykańskiej gospodarki. Japońskie podmioty zaczęły nawet agresywnie wkraczać na amerykański rynek i przejmować najsłynniejsze wieżowce.

Pęknięcie bańki nastąpiło na początku lat 90. i miało wiele wspólnego z tym, że właśnie w tym okresie Japonia odnotowała swój szczyt, jeśli o chodzi o liczbę osób zdolnych do pracy. W 1995 r. w Kraju Kwitnącej Wiśni zatrudnionych było ponad 67 mln osób, po czym zaczęło ich stopniowo ubywać. Lata 90. stały pod znakiem ogromnych przecen na rynku nieruchomości, a ceny działek budowlanych spadły o 70 proc.

W Polsce liczba zatrudnionych osób jeszcze niedawno wciąż wznosiła się na kolejne szczyty, w czym znaczny udział miał masowy napływ pracowników z Ukrainy oraz większa niż wcześniej aktywizacja zawodowa kobiet. W ostatnim kwartale 2023 r. mieliśmy w Polsce zatrudnionych 17,4 mln osób, co stanowiło o pół miliona lepszy wynik niż przed rokiem. Narastające w minionych miesiącach zwolnienia grupowe sprawiają jednak, że w 2024 r. liczba pracowników zaczęła powoli spadać – w pierwszym kwartale ubyło ich aż 112 tys.

Japoński kryzys z lat 90. był oczywiście spowodowany nie tylko kwestiami demograficznymi, lecz także nieostrożną polityką kredytową Banku Japonii. Polsce nie grozi więc tego rodzaju kryzys finansowy, niemniej jednak zawrotny wzrost cen nieruchomości wcześniej czy później napotka ograniczenia związane z kryzysem demograficznym.

POWTÓRKA Z DETROIT?

W trwającej w naszym kraju gorącej debacie na temat masowej imigracji coraz wyraźniej wybrzmiewa przekonanie, że dla masowego napływu ludności z innych krajów zwyczajnie nie ma alternatywy, jeśli nie chcemy popaść w stagnację czy wręcz biedę. Borykająca się od lat z analogicznymi problemami Japonia nie ugięła się jednak pod presją i wciąż ogranicza imigrację, tworząc głównie programy pracy tymczasowej dla obcokrajowców. Kraj Kwitnącej Wiśni dysponuje wciąż ogromnym majątkiem, który pozwoli mu osłodzić sobie gorycz powolnego wymierania, a kulturowa homogeniczność jest dla niego wartością nadrzędną. Dzięki niej można bowiem przynajmniej liczyć na zachowanie tożsamości i szybsze przezwyciężenie trwającego kryzysu.

Klasycznym przykładem demograficznej zapaści połączonej z wielką zmianą etniczną i degradacją ekonomiczną pozostaje od lat miasto Detroit. Po drugiej wojnie światowej klasyfikowano je jako czwarte największe w całych Stanach Zjednoczonych, lecz upadek przemysłu doprowadził do wielkiego wyludnienia. Obecnie w mieście liczącym nieco ponad 600 tys. mieszkańców aż 30 proc. nieruchomości stanowią pustostany. Na początku XX w. 90 proc. osób mieszkających w Detroit stanowili przedstawiciele rasy białej, którzy masowo uciekli do innych ośrodków i dziś stanowią zaledwie 10 proc. mieszkańców. Nowa, imigrancka ludność miasta żyje przeciętnie biedniej niż reszta stanu Michigan, a ceny nieruchomości są niższe nawet niż w mniejszych ośrodkach.

Przykładem demograficznej zapaści połączonej z wielką zmianą etniczną i degradacją ekonomiczną pozostaje od lat miasto Detroit

Przykład Detroit może się wydawać wyjątkowy i bardzo różny od naszych realiów, ale to tylko pozory. Unijna polityka klimatyczna uderza silnie w polski przemysł, który bardzo szybko przestaje być konkurencyjny. Eurokraci pracują pilnie nad tym, aby produkcja jak najszybciej przenosiła się do innych części świata, w czym niestety mają już pewne sukcesy. Jeśli Polska nie powstrzyma narzuconych jej ograniczeń, to może wkrótce powtórzyć błędy innych i dorobić się własnej plagi pustostanów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fce8bbc297

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Będzie pięknie! Będzie pięknie?

Wiatrak przy każdym domu, solar na każdym dachu i na każdym balkonie, ba, bodaj na każdej ścianie, na każdym skrawku każdej ściany – jak Polska długa i szeroka.

Po lewej wszystkie pola po horyzont zamienione w gigantyczną farmę fotowoltaiczną, a po prawej – takoż po horyzont – w takąż farmę wiatraków; tak że nieba nie widać, tylko ptaki co chwila padają nieżywe po zetknięciu ze śmigłem któregoś z nich.

No – po prostu – bajka! Po prostu – żyć, nie umierać! Polska wreszcie przemieniona w jeden przeogromny fotowoltaikowiatrak. Już nie zaledwie kilkadziesiąt wind nad kilkudziesięcioma kopalniami węgla kamiennego, już nie tu i ówdzie kopcący komin elektrowni lub ciepłowni zasilanej węglem. Nie, zamiast nich setki tysięcy, miliony paneli i wiatraków, szczelnie przykrywających całą, calutką, calusieńką Polskę – wszystkie jej góry i pagórki, wszystkie jej doliny i niziny, wszystkie jej pola i miasta; tylko lasy i rzeki jeszcze spod nich widać.

Wszystkie polskie wsie i wszystkie polskie miasta, nad którymi górują wyłącznie wiatraki, jeden większy od drugiego, pełne są wyłącznie domów niemal całkowicie, od parterów do zwieńczenia dachów, szczelnie przykrytych panelami fotowoltaicznymi. Panel przy panelu – na dachach spadzistych i płaskich, na ścianach – od samej góry do samego dołu, na balkonach i tarasach, na garażach i przybudówkach; i tylko okna jeszcze od nich wolne, ale wszyscy już czekają niecierpliwie na folię fotowoltaiczną, żeby i je nią przykryć od początku do końca i od końca do początku.

Tak, ta wizja Polski – wreszcie nowoczesnej i postępowej, wreszcie przewodzącej w klimatystycznej rewolucji, a nie marudzącej w tyle – aż by się prosiła o swego wielkiego pejzażystę, o swego Chełmońskiego. O swoje „Bociany… i wiatraki", „Babie lato… na panelach", „Polną drogę… między solarami".

Tylko – co z tą Polską? Dlaczego to wszystko tu tak wolno idzie? Dlaczego Polacy znów marudzą i nie chcą ścigać się z Niemcami i Francuzami w zapanelowywaniu i zawiatarakowywaniu Europy? Dlaczego dają tyły nie tylko w montowaniu paneli solarnych i wiatraków, lecz także w instalowaniu pomp ciepła? Tak, jakby widok nowoczesnej Polski do cna przysłoniętej panelami i wiatrakami był im obojętny. I, niestety, nie inaczej rzecz się ma z wymienianiem starych, smrodzących samochodów na benzynę i diesla, na te jedyne nowoczesne i postępowe, do których tak gorąco zachęcał (i dalej zachęca czy już jednak nie zachęca?) premier Morawiecki – czyli autka na baterie. Bo jakoś tak się porobiło, że Polacy także ich nie chcą, i to tak mocno, że bardziej od nich nie chcą ich w UE tylko cwani Czesi. Ot, Polacy – dziwacy. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Na krawędzi

Bywa czasem, że polityk czy urzędnik pomyśli o tym, jak zostanie zapamiętany, i nie chce, żeby na jego wizerunku ciążyła już zawsze wina o rozmiarach przekraczających jakąkolwiek sprawę osobistą. Wina za chaos w państwie. Tak było z Jarosławem Gowinem, który faktycznie poświęcił swoją karierę i zapłacił wysoką osobistą cenę za sprzeciwienie się szalonemu planowi wyborów kopertowych w 2020 r. To dzięki niemu wówczas nie dało się kwestionować wyboru Andrzeja Dudy, bo wybory ostatecznie odbyły się w prawie normalnym trybie (jedynie z pewnym opóźnieniem).

Nie wiem, co działo się w głowach dwóch członków Państwowej Komisji Wyborczej, którzy w przedostatni dzień ubiegłego roku wstrzymali się od głosu, tym samym umożliwiając przyjęcie uchwały realizującej orzeczenie Sądu Najwyższego w sprawie subwencji dla PiS. Być może reprezentanci Polski 2050 i PSL kierowali się względami najczyściej koniunkturalnymi. Może zaczęli kalkulować, czy prywatnie opłaca im się przyczyniać się do być może nawet wojny domowej, która mogłaby wybuchnąć, gdyby PKW konsekwentnie kontestowała Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. Jedyną instancję uprawnioną do rozpatrywania odwołań od decyzji PKW oraz do orzekania o ważności bądź nieważności wyborów.

Chciałbym jednak wierzyć – aczkolwiek zapewne nigdy się tego nie dowiem – że tych dwóch prawników zaczęło rozumieć, do jakich skutków może doprowadzić ich postawa, tak zresztą gorliwie zalecana przez przedstawiciela Lewicy, pana mecenasa Ryszarda Kalisza. Chciałbym wierzyć, że nie chcieli, aby na ich życiorysach i sumieniu – bywa, że nawet prawnicy takie mają – na zawsze będzie ciążyć nakręcenie sporu przekraczającego wszystkie dotychczasowe miary. Oczywiście nie wiadomo, jak będą wyglądać najbliższe miesiące, ale mimo wszystko ta decyzja daje nadzieję, że jako państwo nie skoczymy w przepaść. ©℗

eprasa.pl fce8bbc297

MERCEDES EQB 350 4MATIC

FOT. JAP

Elektryczny SUV z gwiazdą na przodzie to jeden z nielicznych siedmioosobowych, rodzinnych samochodów wyłącznie na prąd. Oczywiście Francuzi mają swoje praktyczne e-vany, ale choć może są praktyczne, to bądźmy szczerzy: każdy z nich wygląda istotnie gorzej od propozycji niemieckiego producenta samochodów premium.

EQB ma 468,4 cm długości, 202 cm szerokości (183,4 cm, nie licząc z lusterkami) oraz 166,7 cm wysokości. Prezentuje się naprawdę godnie i w przeciwieństwie do niektórych aut konkurencji nie krzyczy z bardzo daleka, że jest zasilany wyłącznie energią z gniazdka. Jest tu co prawda inny grill niż w wersjach spalinowych, bo zamiast na chłodzenie projektanci „elektryków" stawiają nacisk na zmniejszenie oporu aerodynamicznego. Gdy patrzymy z boku, uwagę zwraca wysoko zarysowany tył, który sprawia, że EQB jest bardzo podobny do swojego odpowiednika z silnikiem benzynowym. I bardzo dobrze!

Miłośników nowoczesnych technologii powinno zadowolić wnętrze pojazdu. Najważniejszym elementem deski rozdzielczej są cyfrowy wyświetlacz oraz 12,4-calowy ekran infotainment. Ekskluzywnego wyglądu wnętrzu dodają nie tylko miękkie materiały wykończeniowe, lecz także elementy rurowe o wyglądzie aluminium i dysze w stylu turbin.

Miejsca jest dużo zarówno w pierwszym, jak i w drugim rzędzie. W wersji siedmioosobowej ostatni rząd to już raczej symboliczny dodatek, ale pozwala wybrać się w podróż nawet dużą rodziną (pod warunkiem że pasażerowie w trzecim rzędzie będą mierzyli mniej niż 165 cm wzrostu).

Czas na najważniejsze pytanie: Jak się jeździ? Najwyższy model EQB jest bardzo dynamiczny. 292 KM i maksymalny moment obrotowy na poziomie aż 520 Nm sprawiają, że na osiągnięcie setki na liczniku trzeba czekać od startu zaledwie 6,2 s. Precyzyjny układ kierowniczy sprzyja sportowym emocjom. Jak jednak na rodzinnego SUV-a przystało, EQB ma zawieszenie zestrojone głównie z myślą o komforcie pasażerów, a nie o sportowych szaleństwach na drodze. Auto zauważalnie utwardza się jednak w trybie Sport.

Teoretycznie maksymalny zasięg na jednym ładowaniu wynosi 464 k. W warunkach zimowych (z włączonymi światłami, wycieraczkami i ogrzewaniem) trzeba go raczej szacować na ok. 400 km.

Atrakcyjności EQB dodaje też to, że ten elektryczny model został przez szefów Mercedesa rozsądnie wyceniony. Najtańsza wersja z silnikiem o mocy 190 KM i napędem na jedną oś, który zapewnia przyspieszenie od zera do 100 km/h w 8,9 s, kosztuje 224,9 tys. zł. Na zakup wersji 350 4Matic z napędem na wszystkie koła i mocą 292 KM trzeba przeznaczyć co najmniej 267,8 tys. zł. Testowany egzemplarz o najwyższej mocy i z wieloma dodatkami wyceniony był na 341 tys. zł. ©℗

HUAWEI WATCH ULTIMATE GREEN

Wysoka jakość wykonania, długi czas pracy na baterii, zaawansowane funkcje zdrowotne, wodoodporność, ponad 100 trybów sportowych, w tym nowy tryb dla miłośników gry w golfa – to największe zalety inteligentnego zegarka chińskiej firmy Huawei.

Wzornictwo jest minimalistyczne i eleganckie. Świetne wrażenie robi 1,5-calowy ekran wykonany w technologii LTPO AMOLED o rozdzielczości 466 x 466 pikseli, który został pokryty szafirowym szkłem. Wyświetlane kolory są żywe, czerń czarna, a animacje płynne i dopracowane. Solidnie wykonany smartwatch wyróżnia nanoceramiczny bezel. W zestawie są też trzy różnego rodzaju paski (w tym jeden tytanowy). Można więc szybko dostosować styl zegarka do okazji. Testowany model smartwatcha sprawdzi się zarówno wtedy, gdy na zaproszeniu na kolację widnieje dopisek „black tie", jak i na siłowni, polu golfowym czy podczas zaawansowanych treningów na basenach (można się z nim zanurzyć na głębokość do 100 m, a smartwatch zamienia się wówczas w kolorowy komputer nurkowy). Najnowszy wariant zegarka z serii Ultimate ma również bazę danych 15 tys. pól golfowych. Miłośnicy tego sportu mogą na zegarku podejrzeć, gdzie się znajdują, sprawdzić kierunek nachylenia pola etc. Jest też ponad 100 innych dyscyplin, od marszu na dworze przez bieganie i kolarstwo do narciarstwa i wspinaczki górskiej. Na ekranie można śledzić liczbę spalonych kalorii, przebyty dystans oraz pokonaną trasę.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Huawei Watch Ultimate Green oferuje też wiele funkcji zdrowotnych. Zegarek potrafi nie tylko śledzić puls, lecz także m.in. sprawdzić saturację krwi, zrobić podstawowe EKG (z opcją wykrywania migotania przedsionków), analizować jakość snu, monitorować poziom stresu, a nawet (przynajmniej w teorii) sprawdzić sztywność tętnic.

Jak na inteligentny zegarek przystało, testowany model pozwala również na prowadzenie rozmów telefonicznych (ale tylko w pobliżu sparowanego smartfona, bo nie da się do niego włożyć karty SIM). Bateria o pojemności 530 mAh na jednym ładowaniu wytrzymuje 8–10 dni intensywnego użytkowania. Bezprzewodowe ładowanie zajmuje mniej więcej godzinę.

Wady? Niektórym może się też nie podobać dwukolorowa ceramiczna ramka, a zwłaszcza że jednym z tych kolorów jest akurat zielony.

Cena: 3496 zł. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl fce8bbc297

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Splądrowane skarbce

JACEK KOMUDA

Skarbiec to pomieszczenie albo osobny budynek, które znaleźć można było w dawnej Polsce w każdym prawie majątku szlacheckim, w mieszczańskim domu, w pałacu czy zamku, a czasem nawet w chałupie bogatego sołtysa. Najsławniejszym i dostępnym dzisiaj jest oczywiście skarbiec koronny na Wawelu, znajdujący się w północnym skrzydle zamku. Jak podaje Gloger, znajdował się on początkowo w Gnieźnie, jednak tuż przed 1320 r. został przeniesiony na Wawel przez Władysława Łokietka, który koronował się tutaj 20 stycznia tego roku. W skarbcu przechowywano klejnoty koronacyjne kolejnych władców Polski, ważne dokumenty, kosztowności i przedmioty szczególnego znaczenia, jak słynny miecz – szczerbiec.

RYS. QBA

Skarbiec wawelski wzbogacił się bardzo po śmierci Zygmunta Augusta, który podarował państwu swoje dzieła sztuki i precjoza. Już w XVI w. krążyły o nich legendy. Jak pisał o tym jeden z biskupów, Zygmunt „w klejnotach bardzo się kochał. Pokazał mi zbiór swój tajemnie, nie chciał bowiem, żeby do wiadomości Polaków doszło, ile na to łożył. W skrytym pokoju na stole było szkatułek 16, wszystkie pełne klejnotów. Z tych 4, szacowane 200,000 szkudów, dostały się mu po matce, 4 przez króla kupione za 550,000 szkudów złotych, między niemi rubin szpinel (jasnoczerwony), niegdyś cesarza Karola V, za 80,000 szkudów. Reszta szkatułek po przodkach: klejnotów w nich niezmierna moc, rubinów".

Od początku XVI w. skarbiec na Wawelu uznany został za państwowy, dokonano bowiem rozdzielenia regaliów, czyli klejnotów używanych w oficjalnych ceremoniach, od prywatnych kosztowności króla. Na Wawelu znajdowały się zatem oficjalnie dwa skarbce. Chociaż Zygmunt III Waza przeniósł stolicę do Warszawy, to koronny pozostał oficjalnie na zamku w Krakowie. „W trzech sklepach dolnych, w dziedzińcu pod kolumnadą południową zamku królewskiego na Wawelu, mieściły się połączone skarby Korony, Litwy i Rusi, Piastów i Jagiellonów" – pisał o nim Gloger.

Jak jednak je zabezpieczano? Skarbcem zawiadywał podskarbi wielki koronny mający własny klucz do wrót, ale do otwarcia potrzeba było jeszcze siedmiu kluczy otwierających kolejne zamki. Były one w posiadaniu siedmiu senatorów – wojewodów: krakowskiego, poznańskiego, kaliskiego, wileńskiego, trockiego, sandomierskiego oraz kasztelana krakowskiego. Dodatkowo przy każdym wejściu do skarbca asystować musiał jeszcze ksiądz sprawujący godność kustosza koronnego, gdyż insygnia i szaty królewskie uznawano za sprzęty kościelne. Aż do 1792 r. kosztowności koronne nie były wystawiane na widok publiczny, jedynie co jakiś czas przeprowadzano ich inwentaryzację, sporządzając dokładny spis, a czasem i rysunki.

Skarbiec na Wawelu przeżył burzliwe chwile, kiedy do Polski przyjechał jeden z dwóch wybranych na elekcji władców – elektor saski Fryderyk August – i chciał koronować się przed konkurentem, księciem Conti. Ponieważ sześciu dygnitarzy koronnych wspierało Francuza, brakowało ich kluczy, a wyważenie drzwi poczytano by za świętokradztwo. Dlatego stronnicy Augusta wybili dziurę w murze i w ten sposób – nie naruszając sacrum – wydobyli klejnoty koronacyjne. Skarbiec ograbiony został w 1795 r. przez żołdaków króla Prus Fryderyka Wilhelma II. Wywieziono wówczas i przetopiono najcenniejsze klejnoty koronacyjne – koronę Bolesława Chrobrego, węgierską Stefana Batorego, szwedzką koronę dynastii Wazów, berła, jabłka i relikwiarze.

Nie był to jednak jedyny taki obiekt w Rzeczypospolitej. Drugim, mniej zasobnym, był skarbiec książęcy Wielkiego Księstwa Litewskiego mieszczący się na Zamku Dolnym w Wilnie. Niestety, przepadł on w czasie potopu moskiewskiego w 1655 r., kiedy wojska cara zdobyły i złupiły miasto. Kolejnym zbiorem kosztowności był skarbiec wileńskiej katedry, który w znacznej części ocalał – został wówczas wywieziony i po odbiciu Wilna znowu złożony w świątyni. W 1939 r. ukryto go w podziemiach katedry, gdzie przeleżał aż do lat 80., kiedy odkryto go ponownie, ale fakt ten ujawiono dopiero po odzyskaniu przez Litwę niepodległości.

Innym znanym obiektem był skarbiec ratuszowy miasta Lwowa, gdzie szlachta podczas wojen składała kosztowności i depozyty finansowe. Na przykład książę Zasławski z Ostroga w roku 1630 powierzył miastu złoto, srebro i klejnoty. Kolejne, już prywatne, znajdowały się w licznych majątkach szlacheckich – zwykle jako osobne, murowane budowle. Nieliczne ocalały i można było obejrzeć je jeszcze pod koniec XIX w. W Nohorodowiczach, w powiecie słonimskim, dziś na Białorusi, znajdował się unikalny skarbiec szlachecki. Z kolei drewniany ocalał w Adamowej. Na terenach obecnej Polski znajdował się piękny skarbiec w Horostyciu koło Włodawy. Dziś już nie istnieje. ©℗

eprasa.pl fce8bbc297

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Czas karnawału

Święto Trzech Króli zamyka w Kościele katolickim cykl świąteczny Bożego Narodzenia. Wchodzimy w nowy rok z mocą i z przytupem, mamy swoje noworoczne postanowienia, życzenia i niechaj się spełnią. Styczeń to czas, kiedy pogoda nie sprzyja. Chociaż dni są coraz dłuższe i jest to dla nas odczuwalne, to na kuchennym stole pojawiać się będą potrawy z wykorzystaniem tego, co mamy dostępne i sezonowe. Sięgnijmy więc po to, co obecnie jest najtańsze, to znaczy: kasze, warzywa korzenne, kapusty i owoce cytrusowe.

Doskonale sprawdzą się ciepłe zupy pełne warzyw i pełnowartościowych kasz, duszone mięsa, gulasze warzywne. Kasze powinny być obowiązkowe zarówno na śniadanie, jak i na obiad, są odżywcze i bardzo rozgrzewające, z dodatkiem warzyw czy chudego mięsa. Dania mogą być lekkie, ale pamiętajmy, aby były ciepłe, rozgrzewające i odżywcze. Nie zapominajmy o przyprawach – aby dodać aromatu naszej potrawie, możemy dodać tymianek, oregano czy rozmaryn. Imbir i kurkuma mają właściwości rozgrzewające i bakteriobójcze, sprawiają, że nasze danie będzie nieco orientalne.

Styczeń to również czas kolędowania. Dawniej w tym okresie na Pomorzu przygotowywano szczodraki. To takie swoiste rogale z różnym nadzieniem. Można było je nadziewać grzybami, mięsem albo kapustą. Wszystko według uznania. Pamiętajmy, że od Trzech Króli zaczyna się okres karnawału – czyli staropolskie zapusty – który trwa aż do Wielkiego Postu. To czas zabawy i świętowania.

FOT. ADOBE STOCK (X2)

Szczodraki z grzybami

• 500 g mąki pszennej • 2 jajka, rozmiar M • 40 g drożdży • 1 szklanka mleka • łyżeczka soli • łyżeczka cukru • 100 g suszonych grzybów • 1 szklanka orzechów laskowych lub włoskich • pół pęczka natki pietruszki • 1 cebula • 1 duża łyżka masła • sól, pieprz, tymianek

Grzyby opłukane i namoczone przez noc gotujemy, odcedzamy i kroimy. Cebulkę podsmażamy na maśle, dodajemy pokrojone grzyby i je dusimy. Orzechy prażymy na suchej patelni, siekamy i dodajemy do grzybów. Następnie dodajemy natkę pietruszki i tymianek, wyrabiamy farsz i doprawiamy do smaku solą i pieprzem.

Robimy rozczyn z drożdży, jednej czwartej mleka i łyżeczki cukru oraz łyżki mąki. Odstawiamy na 15 min.

Do przesianej mąki dodajemy rozczyn, resztę mleka, jajko, sól. Wyrabiamy ciasto ręcznie albo mikserem. Odstawiamy je do wyrośnięcia. Następnie je rozwałkowujemy, odcinamy po kawałku, rozpłaszczamy rękami i nadziewamy farszem na wzór rogalików. Dokładnie dociskamy brzegi i smarujemy roztrzepanym jajkiem. Układamy na blaszce i jeszcze raz zostawiamy do wyrośnięcia. Pieczemy ok. 30 min w temperaturze 180 st. C do zarumienienia. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

To wszystko już mamy

Kiedy urządza się Wigilię na 25 osób, największym wyzwaniem jest nie gastronomia, ale – wbrew pozorom – prezenty. Oznacza to, że każdy musi położyć pod choinką 24 prezenty. Która choinka wytrzyma? Który budżet? Kto ma czas to wszystko zdobyć?

Po latach mniej lub bardziej udanych prób uporania się z tym bądź co bądź obowiązkowym rytuałem zmieniliśmy system. Teraz losujemy: na początku grudnia ktoś z nas zaawansowany w komputerach pisze program i potem każdy dostaje e-mail z jedną wylosowaną osobą. Jeden prezent dla jednej osoby. Dzieci do lat 18 wyłączamy z loterii. Kto chce, może im kupić prezent, ale nie musi.

Pozornie sprawy się uprościły, jednak stos paczek pod choinką niewiele się zmniejszył. Polak wolny ptak, nie będzie słuchał, co tam komputer mu rozkaże. Drugi obieg prezentowy pojawił się natychmiast. Nikt nie liczył, ile tego jest, ale ewidentnie zasada: jedna osoba na jeden prezent została złamana.

Widząc, jak pod koniec wieczoru wigilijnego pan Bojańczyk brodzi w morzu papieru z niebieskim workiem, zastanawiam się, czy ta materialistyczna orgia to objaw hojności, serdeczności i niezłego statusu finansowego naszej rodziny czy też symptom jej degeneracji konsumpcyjnej.

Nic bardziej niż ta fiesta wigilijnego wieczoru nie prowokuje do pytania: Mieć czy być? Czy można mieć i być jednocześnie?

To znana prawda, że więcej radości daje dawać, niż dostawać. Kiedy mam fajny prezent, długo wyobrażam sobie radość tego, kto go dostanie. Sama wspominam najprzyjemniejsze prezenty, oczywiście są z dzieciństwa. Niebieski plastikowy piórnik z kompletem ołówków i pachnącą gumką w środku – ciocia z Francji przysłała mi we wczesnych latach 60., kiedy do Polski plastik jeszcze nie dotarł.

Buty do jazdy figurowej, tzw. figurówki. Radość wielka, chociaż były czarne, nie białe, o jakich marzyłam, ale nie było mego numeru... Zawsze miałam za dużą stopę.

Dzisiaj dziadkowie nie wiedzą, co sprawiłoby przyjemność wnukom, bo nie bardzo rozumieją ich zabawy i zainteresowania. Sprawy „Minecraftów" i Lego Technics jeszcze nie zostały przez moje pokolenie obczajone i nie wiadomo, czy kiedykolwiek zostaną. Wiadomo, że piórnik nie sprawia już radości.

Moja kuzynka poszła z sześcioletnią córką do sklepu z zabawkami po prezent na urodziny koleżanki. Dziewczynka przeciągnęła wzrokiem po regałach i westchnęła: to wszystko już mamy. ©℗

eprasa.pl fce8bbc297

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Benzynowa kołomyja

Nie wiem czemu, ale plemię uśmiechniętej Polski upodobało sobie stacje benzynowe jako demonstrację przywiązania politycznego. Przed uśmiechniętą zmianą niejaki Markowski – profesor rzecz jasna – sprawdzał swoim gościom, czy nie mają przypadkiem w portfelach wrogich kart rabatowych Orlenu. Jeśli wykrył, to takiego zdrajcę wypraszał z domu. Pomijając fenomen profesora rewidującego gości, widać było, że mamy do czynienia z politycznym odjazdem. W dodatku powielanym przez pokolenie ośmiogwiazdkowe. Orlen był dla nich – i profesora – uosobieniem PiS-owskiej ofensywy złodziejskiego obciachu. Ciekawe, jak jest teraz i jakie karty po zmianie władzy wyciąga z portfela nasz wzmożony profesor?

No bo sytuacja się zmieniła. Orlen przeszedł do innego obozu naprzemiennej władzy i teraz chyba jest politycznie koszerny. Ale jakąż to cenę przyszło zapłacić za ten stan? Za pierwsze dziewięć miesięcy 2024 r. koncern osiągnął 3 mld zysku, podczas gdy za czasów złodziejskich siepaczy PiS-owskich, tych gospodarczych nieudaczników spod znaku Tourette'a, w analogicznym okresie roku ubiegłego zyski wyniosły ponad 20 mld. Ale to nie chodzi o to, ile zarabia Orlen, ale o to, czy jest nasz, nawet kosztem utraty 17 mld. A przecież pomstowało się, że te dęte zyski Obajtkowskiego Orlenu to był efekt zawyżania marży na stacjach. Ale to się słabo dziś trzyma, ponieważ ceny, nawet z PiS-owską marżą, pozostały praktycznie takie same, tylko zysk gdzieś wyparował. Ale kto bogatemu zabroni nawet odpalać Owsiakowi złotówkę z każdej orlenowskiej kawy?

Jednak benzynowo-stacyjnego szaleństwa jeszcze nie koniec. Teraz już wiadomo, że Orlen jest OK, ale że życie nie znosi próżni, trzeba było tę pustkę czymś wypełnić. Po udzieleniu azylu uciekinierowi Romanowskiemu przez Orbána okazało się, że teraz „be" jest węgierski MOL. W Internecie pełno deklaracji o bojkocie tej sieci, coś jak za czasów przed zmianą rządu, gdzie największym aktem bohaterstwa było jedynie sikanie na Orlenie, by ten zbierał tylko odchody, nie dochody Polaków, tankujących nawet i na Łukoilu, byleby na złość Kaczyńskiemu odmrozić uszy Obajtkowi.

Teraz dowiadujemy się, że poczciwy MOL to i tak zawsze był ruski. Co w ogóle nie przeszkadzałoby wcześniej tankującym zwolennikom uśmiechniętej wersji Polski, gdyby tylko ten straszny Orbán swym azylowym posunięciem nie przechrzcił nagle zwykłej benzyny na onucowe paliwo. Stadko poputczyków wytresowane jest – wystarczy tylko jedno gwizdnięcie i wskazanie obiektu ujadania. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Konfesjonały w likwidacji

Tuż przed świętami zrobiło się głośno o petycji podpisanej przez 12 tys. osób dotyczącej zakazu spowiedzi dzieci do 18. roku życia. Nie będę przytaczał całej argumentacji, ale najciekawszy jest zarzut, że „dziecko przedwcześnie jest konfrontowane z kategorią Dobra i Zła". No i mamy wysyp anonimowych świadectw, gdzie różne osoby wspominają straszne traumy, których doświadczyły w konfesjonale.

W odpowiedzi prawnicy, m.in. z Instytutu Ordo Iuris, nie zostawiają suchej nitki na projekcie. Piszą, że niekonstytucyjny, że ogranicza wolności sumienia i wyznania, ingeruje w prawa człowieka, prawa rodziców, narusza konkordat itp. I co? Czy po roku rządów Tuska i Bodnara te argumenty robią na kimkolwiek wrażenie?

Prawnicy podkreślają, że w demokratycznym państwie prawa nie jest możliwy zakaz praktyk religijnych, że państwo nie ma prawa ingerować w formę sprawowania kultu religijnego. Pełna zgoda. Ale czy najwyższe władze kościelne nie zgodziły się na drastyczne ingerencje? Czy protestowały, gdy cztery lata temu zwykłym rozporządzeniem premiera pozamykano kościoły, karano kapłanów za nierespektowanie limitów wiernych na mszach, nie dopuszczano w szpitalach kapelanów do umierających? Czy zatem zuchwałość autorów petycji nie bierze się także z tego, że hierarchia pozwoliła na tak drakońskie wtargnięcie w sferę autonomii sprawowania kultu?

Sprawa ma głębszy wymiar. Atak na praktykę indywidualnej spowiedzi (na razie tylko w grupie dzieci i młodzieży) to atak na kwestię fundamentalną. Dotyka naszego stosunku do świętych tajemnic wiary: łaski uświęcającej, uzdalniającej nas do spotkania z Bogiem obecnym w Najświętszym Sakramencie. W krajach, gdzie podważono zasadność praktyki wyznania win wobec kapłana, zostawiając kwestię pokuty i pojednania wiernym, by indywidualnie rozstrzygali swą grzeszność i bezgrzeszność w sumieniu, zanika kult Eucharystii i Kościół usycha. Traci witalność. Okazało się, że Kantowska koncepcja „prawa moralnego we mnie" pozwoliła zrelatywizować obiektywne kategorie Dobra i Zła. To nie tylko uzus liberalnej części zachodniego Kościoła. Dziś w obrębie katolickiej teologii moralnej podważa się encyklikę Jana Pawła II „Veritatis splendor" („Blask Prawdy"), która w sposób zintegrowany przedstawia doktrynę moralną Kościoła opartą na fundamencie Prawdy i istnieniu obiektywnych norm moralnych. Ze Stolicy Apostolskiej płyną głosy, by właśnie ten jeden z najważniejszych dokumentów Kościoła krytycznie reinterpretować.

Zatem już nie tylko dzieci, lecz także pewnie dorosłych też nie powinno się „konfrontować z kategorią Dobra i Zła". ©℗

eprasa.pl fce8bbc297

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Zacząłbym od kiełbasy

Zaznaczyć muszę, że nie jestem historykiem i niektóre fakty mogą nie zgadzać się w jakichś drobiazgach albo w całości. Stop. Pewne jest jednak, że On chciał zrobić z konia konsula, z konia, który uciesznie podskakując, rżał: „Kto nie skacze, ten Wizygot! Kto nie skacze...", aż się mu kaszkiet na rasowym łbie przekrzywiał. Stop. Było tak ponad wszelką wątpliwość, gdyż zachowały się freski! Stop. Koń był Romana, lecz Roman ponoć sprzedajny czy tam wyprzedawał wszystko jak leci, bo musiał się ukrywać przed prokuraturą gdzieś w Italii. Stop. I tak oto służący jak pies koń Incitatus przegalopował do historii. Stop. Potem Kaligula zaczął wykańczać przeciwników politycznych, nie szanował Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego i Państwowej Komisji Wyborczej, gdyż posiadając przerzedzające się złoto włosów, niezwykle chciwy i zazdrosny był o kasiorkę. Stop. Z urzędu Kaligula odszedł przedwcześnie, dokładnie 24 stycznia, a jak wiemy, 24. dzień stycznia jest po 20. dniu stycznia, a 20 stycznia Trump nie zaprosił Kaliguli na zaprzysiężenie, bo przecież Trumpa nie było wtedy na świecie. Stop. Coś pomieszałem? Stop. Kaliguli przypominamy, że podziurkowali go ludzie, którym ufał. Stop. Słuchaj, Kaligula, jeszcze nie jest za późno, żeby przerobić konia na kiełbasę. Stop. Od tego zacząłbym odnowę, gdyby można było się cofać w czasie. Stop.

31 grudnia Tusk wystąpił na posiedzeniu rządu, mówiąc o 2024 r.: „To był pierwszy rok, kiedy polska gospodarka obudziła się". Stop. Ta przerażająca wypowiedź z kina grozy wskazuje, że rządzi nami pan, który nie ma pojęcia, w jakim stanie są spółki Skarbu Państwa, jakie są ceny energii, masła, jaka jest dziura budżetowa itd. Stop. Czy szef polskiego rządu nie powinien przejść kompleksowych badań?

Proszę sądów, prokuratur i policji: kilka lat temu oszust Rafał Gaweł związany z Ośrodkiem Monitorowania Zachowań Rasistowskich w Białymstoku uciekł z Polski z obawy przed więzieniem. Stop. Dostał azyl, bo podobno wstrętny PiS nie gwarantował mu uczciwego procesu. Stop. No, ale to było kilka lat temu. Stop. Oszust z Norwegii dalej kpi z polskiego prawa, a przecież PiS nie rządzi już od ponad roku i – jak rozumiem – bodnarowcy są mu w stanie zagwarantować uczciwe więzienie. Stop. Więc dlaczego potraficie ścigać po klasztorach i Hiszpaniach swoich politycznych przeciwników, a nie potraficie ściągnąć do Polski oszusta? Stop. Bo co? Bo to użyteczny i wasz oszust? Stop. A to bardzo przepraszam. Stop. Kwestii nie było. ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Zakupy w globalnej wiosce

Jedną z najważniejszych umiejętności współczesnych mediów jest oburzanie się, kiedy trzeba. Moralizujący jazgot podniósł się jak na rozkaz, gdy w internetowym wpisie Donald Trump ogłosił chęć kupienia przez Stany Zjednoczone Grenlandii. Jak uzasadnił przyszły prezydent USA, „własność i kontrola nad Grenlandią jest absolutną koniecznością". Zamieszkujących zlodowaciałą nieruchomość Eskimosów nikt, na tym etapie transakcji, o zdanie nie pytał. Zapewne był to rezultat świątecznej zakupowej gorączki, ale podobnych towarów ma prezydent Trump całą listę. Podoba mu się Kanada, której przyłączenie do USA nazwał „świetnym pomysłem". Wyraził przy tym przekonanie, że „wielu Kanadyjczyków chce, aby Kanada została 51. stanem". Pozostający w klimacie „Black Friday" prezydent Trump napomknął w sieci o prawach Stanów Zjednoczonych do Kanału Panamskiego, zamieszczając zdjęcie kanału pod flagą USA wraz z komentarzem „Witamy w Kanale Stanów Zjednoczonych".

Kiedy w roku 1867 kupowano od Rosji Alaskę, nie znano mediów społecznościowych, co wymuszało umiar w entuzjazmowaniu się przy kasie. Samo przejmowanie cudzych terytoriów nie zdążyło jednak wyjść z mody. Całkiem niedawno, bo w roku 1959, kolejnym zjednoczonym stanem Ameryki stały się Hawaje, którymi aż do 1893 r. rządziła królowa Lili'uokalani. W tym czasie powstała na Hawajach strategiczna baza wojskowa. Poważne dyskusje toczyły się na temat przyłączenia do USA zajętej w 1943 r. Sycylii. Transakcję popierało wielu lokalnych polityków lub – jak kto woli – mafiosów. Znawcy tematu twierdzą, że gdyby powojenne wybory we Włoszech udało się wygrać komunistom, pomysł secesji Sycylii wszedłby w fazę realizacji.

Choć przyłączanie terytoriów zamorskich różni się od zakupu nieruchomości, to reguły handlu gruntami bywają podobne. Dlaczego więc, zamiast Grenlandii, Amerykanie nie dorzucą do swojej zakupowej „listy życzeń" Ukrainy? Zainwestowali w nią wiele, zwyczajowy zadatek zapłacili z nawiązką. Najcenniejsza część działki, grunty orne, należy już do międzynarodowych korporacji, finalizują się właśnie umowy o kontroli nad metalami ziem rzadkich. Czyżby apetyt na ukraińskie inwestycje opuszczał Amerykanów wraz z prezydentem Bidenem? Być może Donald Trump udziały w dokonanych już zakupach nad Dnieprem opylić zamierza, po potrąceniu należnej pośrednikowi prowizji, Europejczykom, wraz z zobowiązaniami? Czy oszczędzonych w ten sposób środków wystarczy na zakup Kanady? Ukraińców też tam mieszka bez liku. ©℗

eprasa.pl fce8bbc297

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Amerykańska lista zakupów

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Chesterton zauważył, iż „grozi nam dzisiaj, że ludzie nie zdołają myśleć na skalę wystarczająco wielką, by dostrzec sprawy oczywiste". Od napisania tych słów przez wielkiego Anglika minęło niemal 100 lat. W tym czasie groźba stała się smutną rzeczywistością panującą na wielu obszarach życia społecznego i kulturowego zachodniego świata. Dość wspomnieć urągające zdrowemu rozsądkowi ideologie, które w naukowym przebraniu grasują od lat w naukach humanistycznych i społecznych.

Słowa Chestertona można również rozumieć jako diagnozę prowadzącą do wniosku, że miarą wielkości myślenia jest umiejętność dostrzegania rzeczy oczywistych. Stosując to kryterium zaproponowane przez autora „Ortodoksji", można powiedzieć, że na prawdziwie wielką skalę myśli prezydent elekt Donald Trump, który już pod koniec ubiegłego roku zapowiedział, że jego administracja uznawać będzie istnienie tylko dwóch płci, że skończy się wspieranie przez rząd federalny „krytycznej teorii rasowej" oraz ideologii woke (Woke is bullshit), że zostaną wprowadzone regulacje prawne skutecznie blokujące biologicznym mężczyznom udział w kobiecych zawodach sportowych.

W naszych czasach niewiele trzeba, aby być wielkim myślicielem. Wystarczy wiedzieć, że jest kobieta i mężczyzna, że słaby to sport, gdy bokser masakruje na ringu broniące się przed nim kobiety, że czymś fatalnym jest okaleczanie dzieci w ramach „operacji zmiany płci". A właśnie na tak wielką skalę myśli Donald Trump, który niejednokrotnie mówił o tym, że jego program to nic innego jak „rewolucja zdrowego rozsądku".

No ale – powiedzą krytycy amerykańskiego prezydenta po obu stronach oceanu – co wspólnego ze zdrowym rozsądkiem ma zgłaszany ponownie przezeń postulat zakupu przez USA Grenlandii? Ma bardzo dużo wspólnego, zwłaszcza z historią Stanów Zjednoczonych. To jedyne w dziejach świata supermocarstwo, którego większość terytorium pochodzi z zakupów. Na początku XIX w. Amerykanie kupili od Napoleona całe dorzecze Missisipi (francuska Luizjana). Potem na liście zakupów była Floryda (od Hiszpanii) i Alaska zakupiona od Rosjan. Manu militari Amerykanie przejęli jedynie Teksas, Arizonę i Kalifornię (wojna z Meksykiem w 1846 r.).

To nie w Rosji w 1812 r. Napoleon poniósł strategiczną klęskę w globalnej geopolitycznej rozgrywce. To nie klęska w wojnie z Japonią (1904/1905) była śmiertelnym uderzeniem w imperialne plany rosyjskiego samodzierżawia w rejonie Pacyfiku. Paryż i Moskwa sprzedały swoje geopolityczne atuty dosłownie za grosze, jeśli porównać to z zyskiem, który z tych transakcji wynieśli Amerykanie.

Grenlandia – autonomiczne terytorium należące do Danii – to największa na świecie wyspa, która kryje bogate złoża rzadkich metali szczególnie ważnych w przemyśle zaawansowanych technologii. Misje geologiczne wysyłały na wyspę Chiny, ciągle „głodne" surowców. A kto wie, jakie jeszcze złoża kryją się pod powierzchnią tej wyspy? Może przypomniane przez Donalda Trumpa hasło „Drill, baby, drill" znajdzie na Grenlandii nowe uzasadnienie.

Niewykluczone, że w niedalekiej przyszłości będziemy świadkami amerykańsko-chińskiego wyścigu o formalnie jeszcze duńską wyspę. Ostatnie wypowiedzi amerykańskiego prezydenta elekta wskazują na to, że innym obszarem rywalizacji Waszyngtonu i Pekinu może być strefa Kanału Panamskiego. Jego oddanie Panamie przez prezydenta Cartera pod wieloma względami przypomina „interes", który niemal wiek wcześniej zbiła carska Rosja na sprzedaży Alaski Amerykanom.

Po 20 stycznia okaże się, czy zarysowane przez Donalda Trumpa geopolityczne priorytety wpisujące się w globalną rozgrywkę amerykańsko-chińską wpłyną na amerykańską obecność polityczną i militarną w naszej części Europy. Czy za amerykańską Grenlandię nie zapłaci Ukraina swoimi terytoriami na wschód od Dniepru? Czy za powrót Kanału Panamskiego do USA nie zapłaci Polska jeszcze mocniej wtłaczana do nowej „Mitteleuropy" przez nowego, „proamerykańskiego" kanclerza RFN? A może w tej wielkiej rozgrywce tak naprawdę nie chodzi o Grenlandię i Panamę? ©℗

Czy za amerykańską Grenlandię nie zapłaci Ukraina swoimi terytoriami na wschód od Dniepru? Czy za powrót Kanału Panamskiego do USA nie zapłaci Polska?

eprasa.pl fce8bbc297

KANAŁ

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Kanał Panamski łączy Ocean Atlantycki (przez Morze Karaibskie) z Oceanem Spokojnym. Statki nie muszą opływać Ameryki Południowej – droga morska z San Francisco do Nowego Jorku jest krótsza o 14,5 tys. km.

Teren pod kanał wydzierżawili Amerykanie i w roku 1914 ukończyli budowę. Panama nie wyłożyła na tę budowę ani dolara, natomiast czerpała zyski z biznesu prowadzonego przez USA. Strefa Kanału Panamskiego znajdowała się pod jurysdykcją amerykańską ponad 75 lat. Dopiero naiwny prezydent-ciapa Jimmy Carter, ku zaskoczeniu samych Panamczyków, oddał Panamie prawa do Strefy Kanału, podpisując w imieniu USA traktat, którego podpisywać nie musiał, ale przede wszystkim nie powinien. Formalne przekazanie kanału i terenów przyległych odbyło się w roku 1999. Byłem, widziałem, włos się jeżył na głowie, a zęby zgrzytały ze złości – Amerykanie opuszczali doskonale utrzymane zabytkowe budynki, a na teren opuszczony przez Amerykanów wdzierały się hordy szabrowników. Wyrywano drzwi i okna, zdejmowano dachówki, rwano kable ze ścian, rynny… W ciągu 24 godzin pięknie utrzymana infrastruktura zamieniona została w ruinę. Rząd Panamy nie był w stanie temu zapobiec. Nie miał dość policji ani wojska.

***

Strefa Kanału to nie tylko szlak wodny i śluzy, to także infrastruktura wojskowa służąca zabezpieczaniu kanału jako obiektu strategicznego dla świata. Panama nie ma armii i gdyby ktokolwiek zdecydował się na atak w celu zniszczenia lub wrogiego przejęcia albo na atak terrorystyczny, Panama nie będzie w stanie obronić kanału. Amerykanie, owszem, byli w stanie – poza wojskiem, które stacjonowało na terenie Panamy, strzegli też szlaków morskich prowadzących do obu wejść na kanał. W trakcie drugiej wojny światowej wyspy Trynidad i Tobago położone na granicy Atlantyku i Karaibów były tak obsadzone amerykańskim wojskiem, że mówiono o nich „lądowe krążowniki".

Panama nie jest w stanie bronić kanału przed ŻADNYM zagrożeniem. Konstytucja Panamy zabrania tradycyjnego wojska – zamiast armii mają jedynie siły porządkowe. 12 tys. funkcjonariuszy zawodowych i zero rezerwistów. Uzbrojenie Panamy składało się w 2014 r. (późniejszych danych brak) z 65 pojazdów bojowych i ośmiu okrętów do obrony wybrzeża – po cztery na każdy wlot do kanału, czyli w przypadku ataku, np. chińskiego: WIELKIE ZERO.

Panamskie siły powietrzne posiadały uzbrojenie w postaci 15 samolotów transportowych, 4 samolotów szkolno-bojowych oraz 10 śmigłowców. Kanał ma długość ok. 80 km, dwa śmigłowce są zawsze zepsute (norma w każdej armii), a reszta służyć może raczej do zbierania rannych niż do aktywnej obrony, bo te śmigłowce nie mają czym strzelać. Cały budżet obronny Panamy to 145 mln dol. Amerykanie mieli budżet liczony w miliardach i mogli ściągnąć do obrony strategicznej dla świata drogi morskiej dowolną liczbę sprzętu i wojska, w tym siły NATO. Teraz, gdy Kanał jest pod jurysdykcją Panamy, nie broni go nikt.

***

Panama nie radzi sobie też z utrzymaniem kanału w dobrym stanie technicznym. Część szlaku wodnego prowadzi przez tereny bagienne. Bagno oznacza zamulanie – aby szlak komunikacyjny był drożny, pogłębiarki muszą pracować CODZIENNIE. Panama po odejściu Amerykanów nie była w stanie tego robić. W tę próżnię z wielką radością weszli Chińczycy. I w takim kontekście należy odczytywać niedawne oświadczenie Donalda Trumpa, że odzyskanie przez USA kontroli nad Kanałem Panamskim jest „absolutnie niezbędne".

W tym oświadczeniu Trump wymienił także zakup Grenlandii oraz przyjęcie Kanady jako kolejnego stanu USA. Światowi liderzy są często zwyczajnie głupi, więc ich komentarze zawierały stwierdzenia, że „to przecież absurdalne i niedorzeczne". Tymczasem w każdym z trzech wymienionych krajów stopa życiowa skoczyłaby w górę. Na temat Kanady Trump napisał wprost: gdyby Kanada została 51. stanem USA, jej podatki spadłyby o ponad 60 proc., biznesy natychmiast zwiększyłyby się dwukrotnie, a ponadto zyskałaby ochronę militarną lepszą niż gdziekolwiek na świecie. Wszystko prawda i z powyższych powodów od XIX w. istnieje w Kanadzie ruch polityczny, który pragnie połączenia z USA. I nic w tym dziwnego, bo przyłączenie Kanady do Unii, którą jest USA, to rzecz taka, jak przyłączenie Polski do UE.

Grenlandia – najpierw była częścią Danii; serią kolejnych kroków uzyskała autonomię; w przeciwieństwie do Danii nie jest członkiem Unii Europejskiej; geograficznie należy do Ameryki Północnej, etnicznie także – 90 proc. mieszkańców to Eskimosi (grupa rdzennych ludów zamieszkujących Alaskę, Kanadę i Grenlandię). Po zakupieniu Grenlandii przez USA jej mieszkańcy mieliby lepiej niż teraz – ich stopa życiowa byłaby taka jak na Alasce.

***

Centralnym punktem gospodarki Panamy jest kanał – generuje ok. 4 mld dol. przychodu rocznie, ale są jeszcze koszta prowadzenia tego przedsięwzięcia (oczyszczanie, odmulanie, poszerzanie). Panama zarabia na Kanale tylko pół miliarda dolarów na czysto. W czasach gdy wszystkie koszta były po stronie amerykańskiej, Panama i Panamczycy zarabiali więcej niż dziś. W czasach amerykańskich pracę w Strefie Kanału znajdowały tysiące zwykłych Panamczyków i dostawali stawki amerykańskie, pracując dla wojska – kucharki, sprzątaczki, elektrycy, pielęgniarki… A do tego były jeszcze firmy zewnętrzne realizujące zlecenia na dostawy żywności, prądu… Mówiąc krótko: w czasach gdy kanałem rządzili Amerykanie, wszyscy zarabiali więcej niż dziś.

Prezydent Panamy odpowiedział na oświadczenie Trumpa słowami: „Suwerenność naszego kraju nie podlega negocjacjom". Ale Trump nie mówił nic o suwerenności całego kraju, a jedynie o Strefie Kanału. W dodatku Ameryka ma asa w rękawie. Zanim wykopano Kanał w Panamie, istniał plan przekopu na terenie Nikaragui. Obecnie rządzi tam komunistyczna junta, ale kraj jest tak biedny i zadłużony, że inwestycję w postaci nowoczesnego kanału dla kontenerowców przyjmie z pocałowaniem ręki. ©℗

eprasa.pl fce8bbc297

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

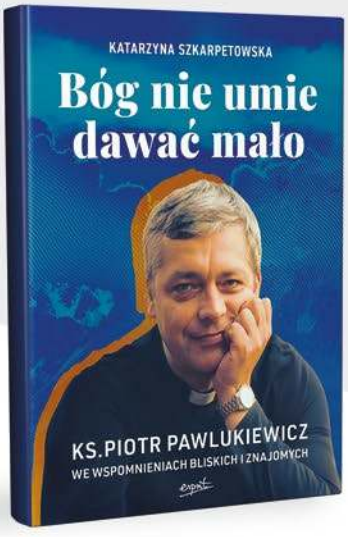

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KATARZYNA SZKARPETOWSKA: „BÓG NIE UMIE DAWAĆ MAŁO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~933~~ ZŁ

467,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 466 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl fce8bbc297

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

SKANDALIŚCI II RP

Ekscesy polskich gwiazd – alkohol lał się tu strumieniami, a rzadkie przypadki abstynencji tylko potwierdzały regułę. Elity artystyczne przedwojennej Polski szokowały swoimi ekscesami

Pożary serc – w obozie piłsudczykowskim pełno było skandali obyczajowych, zaczynając od samego Marszałka, który miał spore doświadczenie w zarządzaniu równoległymi związkami

Czarni przeciw czarnym – gdyby nie współpraca afrykańskich pośredników z handlarzami z Europy, nigdy tak wielu ludzi zakutych w kajdany nie trafiłoby za Ocean Atlantycki

Poszukiwanie arcydzieł Matejki – latem 1945 r. grupa polskich muzealników przemierzała ówczesny polski Dziki Zachód wśród sowieckich maruderów i niedobitków z Wehrwolfu

Drakula na tronie – życia Włada Palownika nie trzeba już niczym ubarwiać. Prawdziwa historia krwawego hospodara przeraża bardziej niż gotyckie opowieści o wampirach

Najdziwniejsza wojna świata – wysłanie wojsk na drugi kraniec świata wiązało się z wielkim ryzykiem, ale Margaret Thatcher nie mogła opuścić mieszkańców Falklandów

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl fce8bbc297